A. PIWARSKI i Ska.
KSIĘGARNIA,
Skład i wypożyczalnia Nut
Kraków, św. Jana 3.

Juliusz Słowacki, * 1809, † 1849.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM V.

Do udostępnienia
tylko w Czytelni

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
Radom

25903
884-1

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 25903
BGZs 25903

POEZYE
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

OGŁOSZONE ZA ŻYCIA POETY.

WYDANIE DRUGIE ILLUSTROWANE JUBILEUSZOWE

PRZEJRZAŁ

KS. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM I.

MIKOŁÓW—WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI, SP. Z OGR. POR.
1911.

Juliusz Słowacki.

Juliusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu 4 września 1809 r. Ojciec jego Euzebiusz (ur. 1772) w owym czasie był profesorem języka i literatury polskiej w liceum wołyńskiem w Krzemieńcu, a od r. 1811 przy wszechnicy wileńskiej. Matka Salomea z Januszewskich (1791—1855), kobieta niezwykle wykształcona, po przedwczesnej śmierci męża (1814), wyszła r. 1818 po raz drugi za dr. Bécu, także profesora uniwersytetu, wdowca mającego dwie córki Aleksandrę i Hersylię. Państwo Bécu prowadzili w Wilnie dom otwarty; w salonie p. Salomei spotykały się wszystkie wybitniejsze osobistości wileńskie, Mickiewicz np. bywał częstym gościem. Najbliższe stosunki jednak łączyły rodzinę Bécu z Śniadeckimi, Janem i Jędrzejem, sławnymi uczonymi. Wcześnie więc Juliusz wyrósł w otoczeniu kulturalnem i literackiem, a Mickiewicz chwalił pierwsze próby kilkunastoletniego chłopca.

Między rówieśnikami Juliusz nie miał przyjaciół. Do ówczesnych towarzystw młodzieży nie należał, a koledzy jak Odyniec i Januszkiewicz zwykłą zazdrością ludzi miernych odpłacali się jego wyniosłości. Jedynie z starszym Ludwikiem Szpicnaglem zawiązał stosunek serdeczny. Uzdolniony chłopiec z łatwością postępował tak w gimnazyum jak i na uniwersytecie, którego wydział prawny ukończył z odznaczeniem. Miał dużo czasu na czytanie ksią-

żek i sposobności w bibliotece ojcowskiej i dosyć bystrości, aby ocenić co czytał, więc zapoznał się z literaturą i filozofią, wielkie wrażenie wywarły na niego zwłaszcza Homera Iliada, Swedenborga, mistyka szwedzkiego, dzieła, poezye Anglika Byrona i Mickiewicza. Jedno jeszcze silne uczucie wywarło na niego wpływ na całe życie — miłość do Ludwiki, córki Jędrzeja Śniadeckiego. Ludwika, przyjaciółka sióstr przybranych a sama również bajronistka, igrała z młodszym od siebie Słowackim; kochała się w synu gubernatora wileńskiego Korsakowie a później wyszła za mąż za Sadyka baszę Czajkowskiego († 1866). Samobójcza śmierć Szpicnagla r. 1827 wstrząsnęła Słowackim zupełnie.

W takiem usposobieniu pisał pierwsze utwory, z których posiadamy dzisiaj Dumę ukraińską (1826) Szanfarego (1828) i pomniejsze wiersze.

Po ukończeniu nauk i podróży do Odessy (1827), Słowacki przeniósł się jako urzędnik w ministerstwie skarbu (1828) do Warszawy. Do licznych spisków i kółek rewolucyjnych nie czuł pociągu, w kancelaryi nudził się, nadto chorował w tym czasie. Niechęć do świata i pesymizm wzmógł się jeszcze. Ślady jego widzimy w Hugonie (1829), Mnichu (1829), Mindowem (1829), którego czytał Niemcewiczowi, Maryi Stuart (1830), Bieleckim (1830). Wybuch powstania (29 listopada 1830) zwrócił myśl poety na inne tory. Tworzy lirykę patryotyczną Odę do wolności (1830), Hymn (1830), Kulik (1831), Pieśń legionu litewskiego (1831). Zaczął uchodzić za poetę rewolucyi; wtem spowodowany zapewne nienawistnymi zarzutami Lelewela, wielkiego historyka

a większego demagoga, przeciwko ojczymowi, dawno spoczywającemu w grobie, (od r. 1827) nagle wyjechał z Warszawy do Drezna. Tutaj napisał Żmiję (1831), który okazuje zupełną obojętność na wypadki warszawskie. W Dreznie polecenie go doszło Rządu narodowego, aby przewiózł depesze do Londynu. Korzystając z tej misyi, zatrzymał się kilka miesięcy w ślicznej Anglii.

Kiedy wrócił do Paryża, powstanie upadło, a tysiące Polaków skompromitowanych napływało do Francyi. Znaleźli się tutaj i Mickiewicz i Lelewel i koledzy wileńscy jak Januszkiewicz, wydawca i księgarz, muzycy jak Chopin, poeci jak Goszczyński i Zaleski, wojskowi jak Różycki i Kołysko, sejm warszawski, politycy jak Adam Czartoryski i Niemojowski, słowem cała ówczesna inteligencya prawie. Wśród tego tułactwa, nie mającego co robić, walki partyjne, obwiniania wzajemne o klęskę zaszłą, próby wywołania nowego powstania, próby zorganizowania emigrantów, wreszcie walka z nędzą, bo szczupły zasiłek od rządu francuskiego często nie wystarczał na życie, świat zamieniały na piekło. Dwa stronnictwa utworzyły się między tułaczami: arystokratyczne dokoła X. Czartoryskiego i demokratyczne dokoła Lelewela. Jedni chcieli odbudować Polskę w porozumieniu z rządami, drudzy za pomocą powszechnej rewolucyi. Ani Mickiewicz ani Słowacki nie należeli do żadnego stronnictwa.

Słowacki mógł był wrócić do kraju, utwory rewolucyjne wydał bezimiennie, w powstaniu czynnego udziału nie brał; wolał pozostać na emigracyi. Stosunki jego majątkowe w porównaniu z innymi tułaczami były korzystne: po ojcu przypadał nań

kapitał, matka wróciwszy do Krzemieńca r. 1827 pobierała podwójną pensyę jako wdowa po dwóch profesorach, a wkrótce otrzymała spadek po zmarłych rodzicach (Aleksandry z Dumanowskich † 1833 i Teodora † 1837) i krewnych; siostry przybrane miały przyszłość zapewnioną: Aleksandra wyszła za dr. Mianowskiego, († 1832) później rektora Szkoły głównej w Warszawie, Hersylia za brata Salomei Teofila Januszewskiego, trochę malarza, początkowo urzędnika przy wszechnicy kijowskiej, później gospodarza. Miał więc Słowacki nietylko na skromne życie, ale i na to, że mógł własnym nakładem wydawać poezye i odbyć dwuletnią podróż na Wschód; pod koniec życia zaś z powodzeniem spekulował na akcyach kolejowych.

W Paryżu Słowacki zaprzyjaźnił się z Michałem Skibickim, oficerem amerykańskim, któremu poświęcił wiersz, napisał Lambra, Paryż i Dumę o Wacławie Rzewuskim. Ale i tutaj ścigała go niechęć ludzka. Kiedy nadto Mickiewicz w Trzeciej części Dziadów powtórzył zarzuty Lelewela, Słowacki rozgoryczony wyjechał do Genewy r. 1832.

W Genewie znalazł bardzo miłe przyjęcie w pensyonacie p. Pattey, a z córką jej Eglantyną zaprzyjaźnił się nawet. Zdala od gwaru stolicy, nienagabywany od nikogo, w samotności ducha, dojrzewając z latami, powoli zmieniał usposobienie. Godziną myśli 1833 niejako rachunkiem sumienia, zamknął okres pesymistyczny, pisze dramat patryotyczny Kordyan 1833, Mazepę 1834, bajeczną Balladynę 1835, Horsztyńskiego 1835, poemat W Szwajcaryi 1835. Wpływ Byrona ustąpił zupełnie; za to widać, że poeta wczytywał się pilnie w Szekspira. Już nie przedstawia swoich własnych osobistych wrażeń jak dawniej, lecz tworzy rozmaitych żywych ludzi.

Tymczasem Teofilostwo Januszewscy dokonali danego zamiaru, wybrali się do Włoch. Tam uzyskawszy paszport staraniem p. Nakwaskiej, podążył zimą 1836 Słowcki. Zwiedził Rzym, Neapol, Pompei. Poczciwi lecz zupełnie nierozumiejący poety krewni znudzili go wkrótce. Tembardziej zaprzyjaźnił się z Zygmuntem Krasińskim, którego poznał w Rzymie 1836. Stosunek z Krasińskim pogłębił znacznie ducha Słowackiego a mianowicie zwrócił go do religii, którą zaniedbał dotychczas. Podróż na Wschód tj. do Grecyi, Egiptu, Ziemi świętej, a osobliwie Grób Chrystusa w Jerozolimie, gdzie noc całą przepędził na modlitwie, dokonały tej zmiany, a przypieczętowała ją spowiedź z całego życia, którą odbył u Jezuity O. Ryłły w klasztorze Betcheszban w Syryi na Wielkanoc r. 1837. Od tego czasu codziennie czytywał Pismo św.

Bądź podczas podróży, bądź wskutek niej dzieła powstały: Podróż na Wschód 1836 i Ojciec zadżumionych 1836. Zatopiony w chrześcijaństwie Słowacki karmił się teraz największym poetą chrześcijańskim Dantem. Więc też skoro wrócił do Europy, osiadł w dantejskiej Florencyi wiosną 1837. Tutaj stworzył ogromne dzieło, poemat prozą Anhelli. Zaklął w niem tułactwo polskie we Francyi i wygnańców na Sybirze, głęboką wiarę i religijność, rozmyślania nad Dantem i rozmowy z Krasińskim, wreszcie ideę ofiary jako wyzwolenia narodu. — Pod widomym wpływem Danta

napisał tutaj jeszcze Poemat Piasta Dantyszka o Piekle i Wacława, a razem z niemi wydał Balladynę, poświęcając Krasińskiemu.

We Florencyi poeta otrzymał smutne wiadomości: umarł ojciec jego matki. Rok później zaś pod zarzutami przestępstw politycznych więziono Salomeę przez pięć miesięcy w Kijowie, Januszewskich zaś wywieziono do Permu. Na szczęście w październiku 1838 Krasiński przybył pocieszając go. Tutaj też o mało co Słowacki nie ożenił się z Anielą Moszczeńską. Wreszcie pod koniec r. 1838 udał się do Paryża.

Z tułactwem się nie łączył. Należał tylko do „Towarzystwa polskiego literackiego" i nawet miał w nim jakiś urząd. W Paryżu zaprzyjaźnił się z Leonardem Niedźwiedzkim. W 1840 zapoznał się i pokochał w Joannie Bobrowej, znowu bez wzajemności, bo okazywała mu tylko przyjaźń. Pojechał nawet za nią do Frankfurtu r. 1841. Wydał dzieła: Lillę Wenedę (1840) oraz już dawno napisanego Mazepę, napisał Beatryx Cenci, fragmenty prozą Święcone i Preliminarya podróży I. O. X. Radziwiłła Sierotki oraz pomniejsze rzeczy wierszem i prozą.

Mimo całego szeregu dzieł pierwszorzędnych Słowackiego nienawiść tułaczy ścigała a utwory jego głuche milczenie otaczało, rzadko przerywane zjadliwemi uwagami. Jedyny Krasiński umieścił o Anhellim ocenę zachwytu pełną, nawet taki Libelt nie rozumiał Balladyny, nie pojmował Słowackiego nawet Mickiewicz ze swą genialną jednostronnością; cóż dopiero rzesza emigrancka. Szczególną nienawiść do niego mieli ci, których

Słowacki prześcignął w zawodzie poetyckim jak Zaleski i Odyniec, oraz wielbiciele Mickiewicza zazdrośni mniemający, że sława Słowackiego umniejszy Mickiewiczowską, nakoniec osobiści nieprzyjaciele; organem ich stała się wydawana w Paryżu przez Ropelewskiego i Januszkiewicza Młoda Polska. Słowackiemu nienawiść i milczenie nie były jeszcze wówczas obojętne. Pomimo to wspaniałe dzieło Mickiewicza Pan Tadeusz (r. 1834) tak wpłynęło na Słowackiego, że puścił w niepamięć dawniejsze urazy i niechętne milczenie, a nawet wziął udział w uczcie na cześć jego, wydanej 24 grudnia 1840 r. Na tej uczcie pojednanie nastąpiło między obu poetami, ale przyjaciele Mickiewicza, którym to nie było na rękę, opisali ja fałszywie a uwłaczająco dla Słowackiego po gazetach, Mickiewicz zaś nie prostował. Do żywego oburzyło to Słowackiego. A że właśnie pracował nad Beniowskim (1841), zmienił gotowe już zakończenie z hołdem dla matki i umieścił zaczepkę, szlachetną zresztą, wymierzoną przeciwko Mickiewiczowi. Ponieważ wogóle w Beniowskim, idąc za radą Krasińskiego, dopiekł swym przeciwnikom, zawrzało jak w ulu w literaturze ówczesnej, a Ropelewski wyzwał go na pojedynek. Słowacki wyzwanie przyjął, ale Ropelewski w ostatnej chwili stchórzył i przeprosił. Słowacki nabrał rozgłosu. Że jednak w tak osobliwy sposób pozyskana sława nie zawróciła mu głowy, świadczy dramat Fantazy (1841) którym sam siebie przedstawia ironicznie i śmiesznie.

R. 1840 przybył do Paryża Andrzej Towiański. Człowiek dobrej wiary, przedstawiał się jako odnowiciel religii chrześcijańskiej i Kościoła. Pozy-

skawszy zaufanie Mickiewicza, utworzył sobie Koło zwolenników. Do nich r. 1842 przystąpił także Słowacki i starał się matkę, choć daremnie i Krasińskiego pozyskać. Ale to się nie powiodło, a nawet stosunki między nimi przerwały się. Towianizm przeobraża go do gruntu. Dawna ironia, złośliwość, gorycz ustępują, natomiast pokój wewnętrzny, miłość do Boga i do ludzi, słodycz, pokora przenikają jego duszę. Z przeciwnikami godzi się, nawet Mickiewicza odwiedza. Pogrąża się w rozmyślaniach, które go prowadzą do zachwyceń i do widzeń. Wypracowuje własny oryginalny i głęboki system filozoficzny, zgłębia historyę i warunki bytu narodowego. Pogrąża się w poecie hiszpańskim Calderonie, w Ewangelii i w Objawieniu św. Jana. W pierwszej chwili uniesienia pisze dramaty ksiądz Marek 1842 i Sen srebrny Salomei 1842.

Już r. 1842 policya wydaliła Towiańskiego do Szwajcaryi Zastępcą mistrza Mickiewicz został. Wkrótce potem 1843 lub 1844 Słowacki wystąpił z Koła i założył protest przeciwko jego działalności, zapewne dlatego że Koło myślało o pogodzeniu się z cesarzem Mikołajem. Nowej „wiary widzącej“ jednak nie porzucił, lecz rozbudowywał samodzielnie Znajduje zwolenników Rembowskiego, młodego prawnika, Ludwika Norwida, Reitzenheima, Szczęsnego Felińskiego, późniejszego Arcybiskupa warszawskiego, zaznajamia się z Kornelim Ujejskim, Wojciechem Stattlerem, malarzem, Cypryanem Norwidem, zawiązuje przyjaźń z Zofią Węgierską. Z pod jego pióra wychodzą najwspanialsze utwory: dramaty Agezylausz, Samuel Zborowski, Zawisza Czarny, Książę Michał Twerski, poemat prozą Genesis z Ducha, przekład Księcia Niezłomnego Calderona, i ustępów Iliady, poematy Poeta i Natchnienie Teogonia, Rozmowa z Matką Makryną, wreszcie największy Król-Duch. Oprócz tego pisze wielkie dzieło filozoficzne, z którego zachowały się urywki jak List do Rembowskiego i Wykład nauki.

W samotnych rozmyślaniach, daleki od kraju, podniecony ówczesną atmosferą, widząc wszystko przez barwne szkła swego zachwycenia, Słowacki wyrobił sobie o narodzie i o ludzie polskim pojęcia górne idealne, do których nie dorósł naród ani wtedy ani później. Więc kiedy broniąc przeszłości od napadów ówczesnych demokratów-fanatyków Krasiński wystąpił ze swem historycznie mylnem ubóstwieniem przeszłości i zapatrywaniem na Polskę jako Chrystusa narodów w Przedświcie i Psalmach Przyszłości 1845, Słowacki napisał swój wiersz Do autora trzech Psalmów. Mimo woli autora ten wiersz licznie się rozszedł. Tymczasem rzeź galicyjska r. 1846 przyznała raczej słuszność Krasińskiemu. Teraz Krasiński tryumfował, ogłaszając nowe Psalmy r. 1848. To rozdzieliło dwóch przyjaciół ostatecznie.

Sprawy polityczne wogóle zaczęły zaprzątać umysł Słowackiego. Wydaje rozprawy polityczne do księcia A. C. i do emigracyi o potrzebie idei, w r. 1848 myśli zawiązać Konfederacyę celem skupienia tułactwa. Skoro wybucha rewolucya w Poznaniu (wiosną 1848), wraca do kraju. W Poznaniu zamieszkuje u Bukowieckich Wydalony przez poli-

cyę wyjeżdża do Wrocławia. Tam spotyka się z matką. Latem wraca na Ostendę do Paryża. Tutaj wśród pracy wytężonej zwłaszcza nad Królem Duchem uległ tej samej chorobie co ojciec suchotom. Przyjąwszy Sakramenty św. umarł na ręku Felińskiego 3 kwietnia 1849 r. w czterdziestym roku życia. Pochowany na cmentarzu Montmartre, gdzie mu matka wystawiła pomnik.

POEZYE MNIEJSZE.

HYMN.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos, rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie, i tam mają duszę. —

Noc była. Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy...
Słuchajcie! zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże.
Spojrzał, i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini,
Jeśli w Gedymina grodzie

Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini
Ten naród, gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzawiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi!?
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach

Do broni, bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie.
Z ciemnej pognębienia toni,
Z popiołów Fenix nowy
Powstał lud błogosław, Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
I wolnych płynie krew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron

Warszawa 1830.

KULIK.

Oto zapusty! dalej kulikiem
Każdy wesoły a każdy zbrojny
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej! kulika w przyjaciół chaty —
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą
Nie trzeba wdziewać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.

Tak jak jesteśmy, dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z bicza, niechaj śpi licho.
Szybko po drodze, tak jak upiory,
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą
Jak błyskawica,
W okrąg księżyca
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.
Cha! cha! cha! jak nam wesoło.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać, więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie, my bez pomocy
Tak jak jesteśmy, dalej i dalej — etc.

Stójcie tu! stójcie! oto dwór biały
I światło w oknach, dam znak, wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały,
Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele,
Tu szlachta pije, wyprawia gody;
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodej panny, chodź, panie młody.
Lecz nie patrz na nią, zalana łzami,
A łzy kobiece zmiękczą ci serce.
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce,
Teraz za nami, tak z bukietami
Tak jak jesteście... dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica:
Dam znak, wystrzelę... nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy.
Przebóg! tu pogrzeb, błyszczy gromnica...
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi trumna, a koło trumny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło...
Ha! ha! co robić? tu nie wesoło.
Lecz poco długie prawić androny,
Mój panie synu, prosimy z sobą.
Daj na pacierze, zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół... Z czarną żałobą
Tak jak jesteście, dalej i dalej... etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę...
Zielonem suknem stolik wybity,
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do dyabła karty,
Dalej do broni! a karty w kąty.
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I Delfin grają; może kto czwarty
Do gry zasiędzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną... Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie,
A my do koni, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maskary;
Panowie bracia, to maskarada,
Szaty i dziwaczne lepione wzory...
Słuchaj no! słuchaj! mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?

Nie — mniejsza o to — Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna:
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę, nie — poco hasło,
Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
„O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
„Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
„Wyszli na czele zbrojnej czeredy;
„A teraz cicho, pusto we dworze,
„Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?“
Widzicie, bracia, mylą pozory;
Takiemu panu błogosław, Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca,
Droga skończona, oto granica.
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa...
Oto jest kulik Polaka.

Warszawa 1831.

PIOSNKA DZIEWCZYNY KOZACKIEJ.

I.

Dzisiaj, i co dnia, z blaskiem miesiąca
Idę w las krętą drożyną,

Wybieram kwiat ten z kwiatów tysiąca,
Nad którym rosła brzoza płacząca,
Nad którym łzy moje płyną.
Jak z obłąkanej ludzie się śmieją,
Nie znają ciężkiej mej straty;
Ja zbieram kwiaty, kwiaty więdnieją,
Ja znowu idę po kwiaty.

II.

Nieraz łza płynie gorzka, ukryta,
Bo ciężkiej płaczę ja zguby;
Patrz, oto róża polna rozkwita,
Biała konwalia z różą uwita.
Mój drogi! drogi! mój luby!
Czy na ślub śpieszysz, czy tam w kościele
Czekają druhy lub swaty?
Ach! kwiaty zwiędły — nie na wesele,
Ja zawsze idę po kwiaty.

III.

Nie od rycerskiej zginął on stali —
Wznieśli mogiłę wysoką,
A ile garści piasku sypali,
Tyle mu przekleństw z piaskiem posłali —
Mój ludu, śpi on głęboko.
Przekleństw nie słyszał, nie słyszał płaczu,
Nikt nie widział żałobnej szaty,
Piasek pokrywa grób na tułaczu —
Ja co dzień idę po kwiaty!

Warszawa 28 grudnia 1829.

PIEŚŃ LEGIONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
Słońce dla niej błyszczy chwałą,
Tyle serc dla Litwy bije,
Tyle serc już bić przestało.

Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią;
Myśmy się za nie mścili żelazem,
I wolną myślą, i wolną pieśnią.
Zadrżały wrogi,
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi,
Jezus, Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony
Śpiewać, jako nam śpiewali,
Legiony! Legiony!
Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!
Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
Jakże się rozstać z Ojców grobami?
Chyba odwiecznym powiemy prochom:
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!
Zemsta na wrogi, etc.

Gdy Car groził Olgierdowi,
Odrzekł posłom Olgierd stary:
„Nieście pochodnię Carowi,
Nim zgaśnie, powitam Cary.“
I za posłami tej samej nocy
Obozem stanął na Moskwy górach,
Panował miastu jak orzeł w chmurach,
Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkanocy.
Zadrżały wrogi,
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi.
Na grom Perkuna! naprzód! hop, hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewicy,
Pomieszany śmiech ze łzami.
A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży

Może się zerwie, do stóp przybieży
I Giedymina wnuków powita.
Dalej na wrogi, etc.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
Czy jeszcze żyją Litwini?
Oto Pogoń nasza świta!
Lecz nie pytajcie, czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcej nas było — lecz z tego drzewa
Burza nie jeden liść oberwała.
Zemsta na wrogi, etc.

Ho! zaszummy proporcami,
Co wolności barwą świecą;
My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.
Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy — legion umiera,
Jak laur zdobiący grób bohatera —
Kto chciwy sławy — rwie lauru liście.
Zemsta na wrogi —
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi:
Jezus Marya! naprzód hop! hop! urra!

Warszawa 1831.

DUMA

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem;
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
Odwiedzał Proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy,
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,

I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie,
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę, wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stal Damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
„Żyj długo, bądź zdrowa, dziewico stepowa,
„Twój sztylet położy mię w grobie.

„Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
„Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
„Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
„Twój sztylet mieć muszę przy sobie."

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... O Lachu!...

I nocą obaczył kraj miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą,
Posnęli, gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nie znany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu

Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem, gdzie orzeł żył biały,
I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał, z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia; więc każdy oniemiał,
I był jakby głazem pod Cara rozkazem,
A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
Połamał opłatek i spożył.

A potem, jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
„Żyj Polsko wiek sławy!“ Wtem goniec z Warszawy
Przyleciał — zawołał: „kraj ożył!“

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;

Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą: „ho urra! nasz Emir!“

Do Cara pieśń doszła, wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał, że w kraju z hordami Nogaju
Czyngiskan szedł, Batt, lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się, bić i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem,
I chmurom proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskalów, straż przednią i Dońce.
Mur działa, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże. —

I cicho. — Wtem bomba śmierciami ciężarna
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna!
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali: „O Boże!

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękłe wrącemi ciskały czerepy,
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ściskał, w żelazne brał skręty,
Przedniemi nogami na bagnet koń wspięty,

Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny —
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
„Konnica na skrzydła!“ zwinęli wędzidła,
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wmięszał. Ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale. *)

On może, wśród bolów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma łzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni,
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczerby nić miecza
Powlokły, jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.
„Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz, mój koniu
„Gdy w ziemi staniemy tureckiej.“

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
„Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
„Czyś złaman w kul wiatrze? stój, koniu, opatrzę
„Czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiej?“

„Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno.“
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony zalegał na ziemi. —

*) Orlikowski, kapitan artyleryi, dowodzący działami w bitwie i Daszowem. Skończył, jak powyżej duma opisuje.

I zasnął głęboko, bo trud go osłabił —
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała.
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.

Paryż 1832.

PARYŻ.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem,
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzie niegdzie ulic przeświecone śladem.
Gmachy skręconym wydają się gadem,
Zębatą dachów łuską się najeża.
A tam, czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie,
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz boży, nie zamknięty w gromie,
Sto dział go pośle. — A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga . . .

I już nad miastem wisi ta dział chmura,
Dlatego ludu zasępione tłumy,

Dlatego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągle toczą się rozmowy . . .
A straż ich przednia, już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy,
po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,
Co kiedy śmieli pomyśleć, wyrzekli.
Lud cały kona, katy i obrońce,
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawej zorzy końce,
Jak Jozue wołali: „dnia trzeba, stój, słońce!“

I nie stanęło, pomarli przedwcześnie,
Lecz zostawili pamiątki po sobie:
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie,
Krwi trójcę w jednej wcieloną osobie.*)
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma
Sięgnął, tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
Każdemu było dosyć, nadto było . . .
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,
I pod kolumną spiżu wszyscy posną**);
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną
Chwasty i z lilijami Burbonów porosną.

*) Napoleon. **) Kolumna Vendome.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy . . . i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
I całej nędzy nie wyjawię światu . . .
Twarze z marmuru, serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod niem głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

. . . . . .

Zdala od miasta szukajmy napisów,
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze.*)
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże.
A pod stopami, dalej, miasto w chmurze
Topi się we mgłach gasnących opalu;
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz, znów w mgłę miejską, oto wież ostatki,
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana.**)
Rzekłbyś, że zmarła matka twojej matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Osyana.
Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali
Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana***)
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali. —

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły;
Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jej ludzie snuli się jak karły;

*) Cmentarz Pere la Chaise. **) Kościół katedralny Notre-Dame.
***) Most Zgody albo Ludwika XVI z białymi posągami.

Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią, był to król narodu.
I aksamity krew mu z czoła starły,
Lecz jego dzieci umierały z głodu...
Zaczął dynastyę trupów, był ostatnim z rodu.*)

Paryż 1832.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata; a ten hymn posępny,
Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy,
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić,
I ścigać okiem światła obrazu i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozaik kamienie.'
Tam, pod okiem pamięci, pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny wązkim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska,
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzcona imieniem,
Większa nad inne, miastu panująca cieniem;
Stary, posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty, chmur łamany wirem;

*) Po wzięciu Luwru na królewskim tronie lud położył trupa.

I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy, jak korona kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed niem,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
I bladem przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali,
Siedziało dwoje dzieci, niezmieszani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał,
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz, „on umrze" mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy,
I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.

Bo w czarnych oczach dziecka promień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię:
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na niem nadzieje budowali szczytne,
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody.
Trawił się; jego oczy ciemne i błękitne
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte.
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostemi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzał w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli, lecz skazy
Żadnej dostrzedz nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha.
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem.
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną, wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem,
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze umalowane zimnemi kolory
Obracali na stronę, skąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,
Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną, dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanej wody;
Z cichej fali wstawała każdego wieczora,

Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią, dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezya duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem, silną wolą, rzucał je przed siebie,
I stawały, i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził, i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowem zamknięta przezroczu,
Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą
Składali jedne, piękne całością obrazy.
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
Gdzie nad niemi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wiśnie jak dziewice, w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne,
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,

Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowemi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,
I świat tworów w dwa takie rozłamane ruchy
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita, i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów.
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych Aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskiemi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.
I co dnia, z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie kryształi i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzawiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

W duszy dziecinnej, woli czarnoksięska siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijania snuciem,
Niewyjawiona słowy, często w ludzi biła.
Zaczarowanie wolą nazwali zaczuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,

Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
I pośród tłumu ludzi, jej wzrok w zadziwieniu
Nieobłędnie rzucony na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: „słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy;
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszemi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte; moje myśli gasną,
Słów nie cierpią, lecz nieraz w godzinie tajemnic
Tłumnemi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
Abym je wywiódł na świat, słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezyę, dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami,
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłem gniciem
Myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami,
Stanę się myśli grobem, lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja, niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów."

Gdy tak marzył, to wiśnie i kwiaty ogrodu
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła
I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,

Gdzie długo patrzał w Koran, zwierciadło Kalifów;
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła,
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła,
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia, jako karta biała,
Czernila się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia, chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy, i czczym chwilom ziemi;
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile, i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów,
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani, marzący jak we śnie.
A dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu,
I biegło w ciemne lasy; tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą, sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą; wtenczas na oblicze
Padało światło lasów, promień słońca złoty,
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach, ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłómaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,
I rzekł: „odjeżdżam na wschód, w krainę palmową.“
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka; pobladł — jego oczy
Obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny,
Widać, że myśl co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,
I wbija go do ziemi; jakaś tajemnica
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.
Mało mówił, i tylko raz, wśród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: „Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.
Chcą mię zabić!“ a potem uśmiechnął się blado,
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał — i w drugiego dziecka imionniku,
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił

Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci."

Wkrótce potem, pamiętam, o księżyca wschodzie,
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy,
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy;
Z drzew opadały liście, i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się, i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody Anioł zginął...
Wzniósł twarz, już nad nim młodej nie było dziewicy;
Długo dumał, bo księżyc pół nieba przepłynął,

I patrzał drugą stroną dębowej ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady,
Młodzieniec zadumany patrzał w księżyc blady,
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy
Na nieznajomym liście podpis nieznajomy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił,
Niewinnej wesołości długie puścił wodze,
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie, strzemienne podano kielichy...
Żegnał się, za łzy dawał wesołe uściski,
I puharem o nasze puhary uderzył.
Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził blizki,
Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył.
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni;
Spoczywa na rozdrożu, wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu;
Ten wypadek dom cały napełnił żałobą."

Oto jest romans życia, niekłamany w niczem:
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci konia,
A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny...

Genewa 1833. Powieść nieskończona.

DO

MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO

PODPUŁKOWNIKA

WOJSK RZECZYPOSPOLITEJ KOLUMBIJSKIEJ

POŚWIĘCAJĄC MU POWIEŚCI WSCHODNIE

MNICHA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara
Z Kolumbijskiej krainy, z grobu Boliwara;
Z nowych światów żadnemu nieuległych panu,
Gdzie pył tronów nie spada jako proch wulkanu,
I nie pokrywa grodów, ani grom tronowy
Szuka pomiędzy tłumem wyższej nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeczuli,
Myśl nie śmiała biedz skrajem przewróconej kuli.
Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzyma.*)
Myślano, że Bóg ziemię tamtą stroną trzyma,
Jak czarę wrącym stworzeń napełnioną tłumem;
Dopiero Genueńczyk przeniknął rozumem
Tajemnicę tej dłoni i z jej skrzepłych palców
Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.
Europejska zbrodnia napełniła lasy,
Pod Kortezów mieczami padały Inkasy,
Czarni misyonarze duchownemi berły
Z łona muszl zakrwawionych nieraz pruli perły,
Potop krwi religijnej świat wyludnił młody,
Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody,
Snadź płodne serce nowej ziemi nie ostygło.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą.
Zwracała się na północ... Przebywasz otchłanie,

*) Na kartach, przed odkryciem Ameryki kreślonych, na ogromnej przestrzeni Altantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartymi palcami. Ta dłoń przerażała rozognioną podówczas fanatyzmem imaginacyę ludzi.

Drogą, po której niegdyś biegli Luzytanie,
Myślą budzisz tajemnic tłum na dnie korali,
Oczyma Kamoensa czytasz w drżącej fali.
I może przed delfinem napierśnym okrętu
Powstał duch Luzyady, ów olbrzym odmętu,*)
Co niegdyś wróżbą nieszczęść tłukł Hiszpanów statki,
A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki.

To ląd! czy słyszysz stamtąd jaki gwar i wrzawa?
To stary świat! spróchniały jak rozbita nawa;
Żagiel, który ją nosił przez wypadków fale,
Spróchniał dziś na odległej mórz zatknięty skale;
Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,
Długowieczną płodnością ziemia się pożarła.
Walcząc o skąpe reszty płodów się wysieczem,
Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.
Z tą dziką ziemią kraj twój porównywaj złoty,
Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty.
Jak struś, co głodny gardziel żwirem pustyń dławi,
Tu człowiek kamień wzgardy połyka i trawi.
A to, co na świat stary zbladłem patrzy licem,
Słońce Europy, pięknym nazwałeś księżycem.

Tyś smutny! o szaleństwo! ciemnej twarzy rysem
Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.
Skłoń lica do uśmiechu, w tej szalonej zgrai
Zamaskowana boleść łatwo się utai.
Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem
Gorżko; niszczę się, skonam i nie powiem: „żyłem.“

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,
Jeśli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;
Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku,
Teraz się wahasz lekko w jedwabnym hamaku,**)

*) W Luzyadzie olbrzym, duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż odważają się zapuszczać w jego królestwo.

**) Rodzaj krzeseł używany w Kolumbii i stósowny do gorącego klimatu tej krainy; jest to siatka jedwabna zawieszona na dwóch kwiecistych drzewach.

Tu magnolii róże, a pod palmy cieniem
Skrzą czarne oczy światła przecięte promieniem,
Jak gwiazdy nad odbiegłym od kraju żeglarzem.
Teraz płocha z piór złotych uwitym wachlarzem
Prysnęła wonią kwiatów, czyta myśli z czoła,
Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.
Tyś ją opuścił?... jako perła odrzucona
Będzie gasła powoli, i zamrze, i skona.
Gdy pamięć za daleko w kraje marzeń wkroczy,
Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy;
Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistej burzy.
Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.
Wzmagaj siłę ciężarną pracującą w ziemi,
Dawniej fanatyzm, wolność czasy niedawnemi;
A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,
Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;
Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów
Rzuca zgon, nakarmiona pożarami domów.
Czy maską tajemniczej zemsty osłoniony,
Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony
Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.
Czekaj! może muezin*) z szczytów minaretu
Ogłosi pacierz zemsty wśród murów Stambułu.
Czekaj! może z dzikiego w Kaukazie Aułu,**)
Ujrzymy błyskawicę... Ciszej!... Zdradzam myśli,
Które mi wyobraźnia, które zemsta kryśli:
Zemsta chciwa pokarmu, drżąca jak zmysł głodu.

Chcąc myśl odbłąkać, czytam dziką powieść Wschodu,
A choć odbiegniesz treści, dźwięk rymów powrótny
Będzie jak szmer fontanny bezmowny, lecz smutny.

*) Muezin zwołujący pieśnią lud na modlitwę proroka.
**) Auł, wioska Czeczeńców.

LIST
DO ALEKSANDRA HOŁYŃSKIEGO.

(PISANY NA ŁÓDCE NILOWEJ.)

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru:
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,
Razem oczy w Nilowe rzucać wodospady,
I razem, jako dawniej, kończyć spór zacięty:
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty,
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz;
Wiatrem, który mię niesie za tobą, ucickasz;
A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.
Nad leniwą więc myślą używając musu,
Już zapisałem listem listek papyrusu.
Kupcząca ludzkiem ciałem łódź, płynąca z Nubii,
Dostarczyła posłańca, co błękitem lubi
Nosić listy, wracając pod rodzinne palmy;
Tak więc piszmy do siebie; przeczytawszy — spalmy.

A naprzód, pytam ciebie, gdzie mułowy wrątek
Wezbranych fal na Nilu ma bieg i początek?
Bo gdym o tem rozmawiał z nad-nilowym żeńcem,
Rzekł mi: „Nimfa, lotusów ustrojona wieńcem,
Siedząc smutna pod skałą czarnych Etyopów,
Ostrożnie sączy dzbanem ojca naszych snopów;
Lecz kiedy się zapatrzy twarzą na kochanka,
Wtenczas z przechylonego Nil wybiega dzbanka,
Aż się na polach naszych strumieniem roztoczy.“
Powiedz mi, czy widziałeś tę Nimfę na oczy?
Czy taka, jak wiezione Abissy na sprzedaż?
Czy nie zostaniesz przy niej? czy serca jej nie dasz?
Lękam się, że ta Nimfa do zniknienia skora,

Zblizka widziana, w błotne zmieni się jeziora,
Z których każde w dolinie, bez kwiatów i drzewa,
Przez rok cały deszczami tropików nabrzmiewa;
Aż zwiększone ulewą i skalnymi ścieki,
Rzuci wszystko Nilowi gardłem białej rzeki.

Wreszcie wszystko to twoje „positive“ rozwiąże,
Ja wiem tylko, że dla mnie — Nil dotąd wód książe;
Piękny, kiedy błękitem żeni się z palmami,
Co stoją wiatrem lekko wahane nad wsiami;
Piękny, gdy pokazuje płaskie pustyń lądy,
Gdzie o słońca zachodzie przechodzą wielbłądy,
Mrówki pustyni. Piękny dla oka poety,
Gdy stojące nad sobą białe minarety
Podwójnie i w błękitach pokaże odwrótne;
Gdy ma senne bociany, jak za Polską smutne,
A jeszcze bardziej oczy i duszę zachwyca,
Gdy w nim za-palmowego widzę wschód księżyca.

Piękność Nilu dla ciebie małą jest zaletą,
Którego Nilem wiodą Strabo i Manetho.
Epok nie mierzysz dniami, ni wypadków calem.
Era Franków: „gdy jeszcze cesarz był kapralem“
Małą dla ciebie, który dziś patrzysz z wysoka
Dalej, niż ludzie krótszej pamięci i oka.
Ja także będę z tobą jak w rozmowie szczery:
Należę do liczących czas na krótsze ery.
Ja chcę prędkich rozkwitnień owoców i zgonów!
Gniewa mię nieruchomość długa Faraonów;
Wolę dzisiejsze czasy burzliwsze, choć dla nas
Król jest każdy, jak dziwnie rosnący ananas:
Zerwiesz koronę, owoc odkąsisz... o wiośnie
Z korony odkąszonej nowy król odrośnie.

Dla mnie rzecz mało-ważna i z niczem ta sama,
Że Manes był zjedzony przez hipopotama;
Chciałbym tylko dziś widzieć królobójcze zwierzę.
Mało dbam, że ze wschodu przybyli pasterze,

I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,
Kładli na piasku kamień pierwszej piramidy.
Że z Egiptu wygnani przez rodzime syny
Założyli w Judei straszne Filistyny;
I tam mniej twardą sztuką stawiali budowy,
Kiedy je hardy Samson mógł rzucać na głowy.
Jednak widzę wypadek jeden... okiem wieszcza:
Mojżesz królowi wolę Jehowy obwieszcza!
Pomiędzy rzędem Sfinxów czoło wzniósł ogniste,
Król go słucha... nad królem słońce idzie mgliste,
Obłąkane w szarańczy zwichrzonej motylu.
Tam dalej Nil, lecz zobacz, co niesie? krew w Nilu!
Przy tronie Faraona, z pokręconym słupem,
Stoją królewskie syny... jeden pada trupem.
Krzyczą matki, pobladły starych ludzi twarze,
Takich obrazów... stary już świat nie pokaże.

Wielkie czasy, gdy w królów zaniesione lochy,
Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy.
I stała się na ziemi Bogów różnodzielność,
I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność!
I pod ręką, ważących głazy robotników,
Zaczynała się wieczność światowa pomników.
Na ziemi trup odbywał sądzenie Erebu,
Można było królowi zaprzeczyć pogrzebu:
A że znalazł się człowiek tak wielkiej odwagi,
Świadczą w łonach piramid próżne sarkofagi!

Ten wniosek, może wniosków uczonych nie blizki.
Rzuciłem w porfirowe umarłych kołyski,
Gdy wejściem pod sklepienia piramidy dumny,
Przy świeczniku Araba zaglądałem w trumny.
A ty może zaprzeczysz zdań uczonych różność,
Rzucając w gadającą piramidy próżność?
I wielkie echa, ludzi nie mogąc przekonać,
Będą w łonie grobowem budzić się i konać.
Wyznam ci, że mi widać głębiej i wyraźniej
Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.

Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni:
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni!
Ludziom na nią wchodzącym bledną z trwogi twarze.
Płaczesz nad piramidą nieszczęścia w Learze.
Z niczego, a zazdrością już szatana blizki,
Otello, jak bodzące niebo obeliski.
Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,
Skąd gwiazdy niebios człowiek wyśledzał tajemny,
W Szekspira gmachach równie zostawiona droga
Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Jako skarby zaklęte, strzeżone przez gryfy,
Stoją dotąd nieznane światu hieroglify.
Trup od wieków uśpiony, gdy zeń wieko spada,
Zdaje się, że w balsamach śpi i przez sen gada,
Lecz nie możesz zrozumieć! Z długimi przestanki
Idąc, prawie połowę drogi uszli Franki.
Już wiadomo, że w tamtę stronę czytać znaki,
W którą lwy ryte patrzą, w którą lecą ptaki.
Sto razy napisane Psametyk i Psychon,
Wyświeciły dziwaczny wieków akrostychon,
Od zwyczajnego pisma narodów odrodek,
Zlany z liter, wyrazom trzymających przodek.
Lecz taki sposób pisma miał sobie zaletą,
Że pisarz mógł się zrobić w literach poetą.
Tak w imieniu wyrytem nad marmuru brusem:
L rycerskie lwem było, dziewicze, lotusem.

Piękna dziś, gdy się skreśli na łonie błękitu
Mumia myśli, z jednego wycięta granitu,
Strażniczka niemyślących grobowców od wieka,
Która na dawnych panów zbudzenie się czeka
Z dawnemi wspomnieniami! Kiedy patrzę na nią,
Chciałbym z tobą wiekową nurkować otchłanią;
Być tam, gdzie pod palmową zrobiła się chatką
Sais, będąca niegdyś Ateńczyków matką.
Pojąć, jak ci wychodnie, nazwawszy się Grecy,
Od mglistych horyzontów palmowych dalecy,

Smutni, że kolumn żywych brakowało oku,
Zaczęli ją z kamieni malować w obłoku.
Porównać Luxor z domem współczesnym Ewandra,
Egipt dać Persom, Persów bić przez Aleksandra;
Widzieć wojsko w egipskim pogrzebane pyle,
Króla synem Jowisza — i prochem w mogile.
I Egipt odkruszony w Ptolomejów dłoni,
Laur naukowy długo noszących na skroni:
Aż zanurzeni w czasu i wypadków rzekę
Oddali się z berłami w Cezarów opiekę.

I patrz, człowiek zrodzony w Tentyrze nad Nilem
W rzymskiej sadzawce walczy z wrogiem krokodylem!
Płaz olbrzymi nań leci, już go chwyta w paszczę,
Ilot nań wskoczył, zabił... Koloseum klaszcze.
Na płazie pokonanym usiada gladyator:
Palmy, Nil, kolumnowy kościół boskiej Athor,
Żonę, dzieci i chatę przypomniał glinianą;
Na płazie, pod klaszczącą z żywych ludzi ścianą,
Oczy zakrył przed ludźmi, czy przed słońca blaskiem,
I pojął, że się można urągać — oklaskiem.

Wzięty z pomiędzy ruin, prochów, pogorzelisk,
Poszedł po obcych krajach błąkać się obelisk,
Wygnaniec, już jakoby samolub z kamienia,
Żebrakowi na czoło nawet... nie da cienia!
Z nikim nie gada, stoi myślą w krajach ducha;
Gdy na księżyc fontanna rzymska pod nim bucha.

Dziś gorsi i podobni do Mojżesza plagi,
Cudzoziemcy wynoszą z grobów sarkofagi.
Anglik dumny w sterlingi zmienione na piastry,
Rzuca trupy, trumiane bierze alabastry,
I w Londynie zachwyca zgrają zadziwioną,
Wstawiwszy świecznik w próżne alabastru łono.
Rzekłbyś wtenczas, że wszystkie płaskorzeźby rusza
Chrystusową nauką ożywiona dusza,
Że pełny nauk, ciemną przyszłością straszliwych,
Grobowiec oświecony stał się lampą żywych.

„Nie ma go tu,“ powiedział anioł Magdalenie
Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.
Taką odpowiedź tobie Araby wyniesą
Z pustych katakumb: „nie ma ich tutaj,“ lecz gdzie są?

Zamiast balsamu tego, co trupy przechował,
Chrystus nam łona naszych dusz nabalsamował;
I duszę ludzką... duszą namaściwszy własną,
Uczynił ją na wieki niezgonną i jasną.
Już na palmie egipskiej naukę zaszczepił,
Już się był tym balsamem Egipcyanin krzepił;
Już z grobowców, nauki uczyniwszy pszczelnik,
Na Tebaidzie święty zamieszkał pustelnik,
Czyniąc mogiły... wiary podobne latarniom,
Gdy Omar straszny głowom, gmachom i księgarniom,
Kraj, sto razy różnymi pługami przeoran,
Pod ognisty proroka dał bułat i koran!

Lecz dosyć już, bo sądzę, nowy księżyc przyjdzie
Oświecać nas w grobowców pełnej Tebaidzie;
Tam niech inni o życia rozmawiają fraszce,
Paląc świecę w pożółkłej pustelnika czaszce.
My, chcąc pojąć, jak niegdyś żyli ludzie sławni,
Staniemy się myślami i rozmową dawni,
Aż się tak obłąkamy w wypadkowym lesie,
Jak w palmach biały gołąb, co ten list poniesie!

Rok 1836.

DO AUTORA TRZECH PSALMÓW.

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu,
Głosem dziecka wołasz: czynu!
Czynu — czynu naród czeka.
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn,

Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka.
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy,
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym Bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Jam spróbował na mej głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie,
I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy

I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli . . . me domowe
Duchy — serce — moją głowę —
Każdy włos poprzeklinali . . .
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.
Ani na rozstajnej miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniej tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgrają —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy . . . a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu . . .
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo.
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd . . . mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły! . . .

A ty, jasny jakiś Panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,

Wieszcze rymy, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem,
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By goścince Irydyona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła,
Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To jak słońce w półobłoku
Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku,
Albo lekki sylf bez wiosła.
Jakaż siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron . . . lecz za sobą;
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,

Nie duch-duchem, lecz osobą,
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „na Boga żywego!
Ty, kto jesteś? nie rżnij szlachty!!..“

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całem dawnem Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! — wódz szlachecki!! —

Może tylko w noc półjasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpalił w błyskawicę,

Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztery głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.
— A ty zaraz — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała ponad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!!

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga?
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
„Stójmy tak — na Ojców kości!“
I twój anioł już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka;
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu!
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcej.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Nie myśl, że wszystko na naszej łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.

Nie tak, tu nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orła i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga-Rodzica
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotemi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność, z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej! —
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą!
I zgromadzą się włodarze,
Z kosami na roli;

Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobrej woli . .

Bądźże żywotniejszej cery.
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Maryusze.
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy . . . i w oczy bije,
I bezsennym się urąga. —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój!
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świecę —
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże,
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem,
Rzucające się na lud
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

Więc się bój: — bo duch się wdziera
I podważa zewsząd wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiera:
A czy wiesz, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet, wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, lufce, konie,
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie.
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje Imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A duchaśmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „nie ciśnij“ —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą! . . . błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się i z daleka:
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata! . . .

A tu niżej
Pan poniży
Namiętnych.

Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach,
Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór przychodzi,
Zda się w łodzi,
O brzegi trąca.
Nad smętnemi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.
Zegar świata,
Ptak Pilata,
Godzinę pieje.
Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny
Świat, co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła,

Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze! —

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara...
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiecy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

Paryż 1845.

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona,
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,

I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera. —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych;
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tententu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej...

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;

Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju, gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli mężc nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę,
A wstań jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce, lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

1836.

POWIEŚCI POETYCZNE.

HUGO.

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze
Bogu na całe poświęcona życie,
Gdy odrzucała świeże wianku róże,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa
Jak w chwilę śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowemi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę
Chowało w morza Baltyckiego wody;
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone Boskich tajemnic ofiary.
Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy nie widać, ale znać ze zbroi,
Że to obrońca chrześcijańskiej wiary.
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — Nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słychać? — To odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru.
A rycerz zadrżał, to może ze strachu?
W tak ciemną porę! w tak posępnym gmachu!

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
I patrzał w ciche klasztoru ustronie.
Wychodzi rycerz, z rycerzem ktoś drugi;
Oba skoczyli z pośpiechem na konie;
Pewnie miał giermka, pazia do posługi;
Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potem nagle gniew gorzkiemi słowy
Wyrwał się z piersi gorącej Krzyżaka:
„Z radosnem sercem jam rzucić gotowy
Kraj ten przeklęty; chciałbym lotem ptaka
Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie
Grożą tajemnych wyroków sędziowie.“

„Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy;
Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy;
Lasy mi słodsze nad ciągłe obawy.
Jagiełło z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzierżawy;
Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
A ufny w silnej i licznej załodze,

Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady;
I sąd, co trzymał mych czynności wodze,
Puścić je musiał i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zdradnym nie otoczy,
W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen szeroki przed nami!“
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
Parskał i pianę mieszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory,
Srebrnemi nocy uwieńczone mgłami.
Księżyc posępny, płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali, nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las sosnowy!
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy;
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy.
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze
Rozległe książąt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącem słońcem witały się wierze,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny;
Niejeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.
Słońce, przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;

Już cień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury.

„Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,
To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża, to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidła obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica
Patrzą się jasnym, brylantowym wzrokiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze?
To Trocki zamek! a to Trockie morze!“

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złocą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głuche więzienie,
Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa,
Jej głębie wieczne zalegają cienie;
A setne z ziemi wybiegłszy filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów dzieląc na setne konary,
Wspierają różnie łamane sklepienie;
A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory
W dzień dają światło słabe jak o świcie,
Inne, okrągłe lśnią w tęczy kolory,
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
A jedno w sklepień zasępionych szczycie
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;
I dwaj rycerze czuwają na sali,
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.
Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;

A ile razy do światła się zbliża,
Na piersiach miga krzyż dyamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi...
Znam go! to komtur zakonu Krzyżaków,
To młody Hugo... Lecz kto jest ten drugi?
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swej piersi krył ciężką kolczugą;
Ubiór miał pazia, lecz pan mu się zwierza,
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą,
Słowa Hugona skryte, tajemnicze;
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
Spojrzenia pazia tak czułe, dobitne,
I oczy, jasne jak niebo błękitne,
Ćmią długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
Włos jego spływa w złociste pierścienie,
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
Czarną miał, ściśle zamkniętą przyłbicę,
I czarny pancerz i naramiennice;
Olbrzymią postać żelazo okrywa,
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
Stanął w milczeniu i załamał dłonie.
„Czegoś tu przyszedł?“ rzekł Hugo ponuro,
„Czyś jest brat rycerz chrześciańskiej wiary?
„Co mi przynosisz?“ — „Twoją śmierć, Hugonie!“
Czoło komtura okryło się chmurą,
I rzekł do siebie: „Wybadać go muszę...
„Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
„Czyliś gdzie widział Bodelszwingu *) gruszę?
„Czyli z Sandkirchen powracasz cmentarza?“

*) Pod gruszą Bodelszwingu i na cmentarzu Sandkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolno-mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,
I milcząc, tylko dwakroć głową skłonił...
Pielęgnowany troskliwie w wazonie
W oknach zamkowych kwiat róży się płonił *).
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy — milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada.
Czoło Hugona posępniej się chmurzy,
Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
„Powiedz, rycerzu, czyliś jest bogaty?
Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?“
„Bogactwem mojem jedna złota sztuka **),
Bogactwem mojem są trzy miary wina;

A brat mój tutaj na mieczu wyryty.
W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
A w drugiej sztylet, co w krwi wroga tonie.
Tacy rycerze są braćmi mojemi,
Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi***).
Czy dosyć na tem? czy znasz mię, Hugonie?

Znasz mię! i dom mój i moją rodzinę.
Słuchaj więc, krótkie są wyroku słowa:
Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
Znasz wielkość zbrodni, umrzesz za godzinę!
A ty, co pazia pożyczasz ubioru,
Ażeby kazić ludzi świętej wiary;
Tam, skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru:
Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.“

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
„Czy słyszysz, luba, odgłos jego kroków?

*) Róża była godłem trybunałów.
**) Każdy przyjęty do bractwa tajnych sędziów, powinien był wkupić się jedną sztuką złota i trzema miarami wina.
***) Tak nazywała się Westfalia, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
O łatwiej! łatwiej było skonać wczora,
Dziś szczęśliwszemu trudniej mi umierać.
Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać,
Słyszysz, jak szumią tam fale jeziora;
Księżyc mię żegna, żegnają mię fale.
A sen mój jaki będzie za godzinę?...
Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę!
Mieliżby życiem zarządzać zuchwale?
Czekaj tu, Blanko, zostawiam w tej sali
Ten płaszcz, on w boju płatałby mi dłonie,
Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,
I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
Weź, moja luba, i krzyż brylantowy,
On długo, długo błyszczał mi na łonie,
Może ci kiedy przypomni po zgonie...
Nie, ja żyć będę, chcę żyć, moja luba!
Wszak ja w krzyżackim zhodował się domie,
I nieraz sławy szukałem za domem;
Mam miecz, co zdziwia Polaków ogromem;
Mam zbroję, której stal tak twarda, gruba,
Że jej żelazo żadne nie przełomie.
Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi.“

„Jest jeszcze inna ocalenia droga:
Może w świątyni pogańskiego boga,
Można się ukryć w jej lochach podziemnych,
W krętych przechodach i kryjówkach ciemnych;
Ta droga bardziej pewna i ostrożna,
Wszak zdradą zdrady uchronić się można.“

To rzekł i wyszedł. Straszną zbroję wkłada,
W której już nieraz występował w szranki;
Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,
Do świątyń boga, który gromem włada.
Tu ogień Znicza dymny i ponury,

Czarne filarów łamały się cienie.
Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury,
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przebóg! zadrżał: kamienne bożyszcza,
Stojąc wokoło święconego zgliszcza,
Żywemi w niego patrzały oczyma.

III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.
Przy świetle blado tlejącej pochodni
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
Ofiara śmierci. Znany płaszcz komtura
Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
Na hełmie znane kołyszą się pióra,
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
I dobrze znany miecz u jego boku.
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?
Hugo ów śmiały, mężny przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dlaczegoż kryje lica w obie dłonie,
Czy łzy zasłania, co po twarzy płyną?
Cichość ponura. „Czyś gotów, Hugonie?
Biada ci! milczysz?“ Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
Spojrzał i z wolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem.
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
Cały hartownem odziany żelazem,
Męstwem młodzeńcze płonęły jagody
Wszedł, spojrzał bystro: „Blanko! Blanko droga!
„Poco ten ubiór? te pióra? ta zbroja?

„Czemu tak milczysz? Ach! na miłość Boga
„Odpowiedz słowo? droga! luba moja,
„Odpowiedz słowo! przebóg, twarz jak sina?
„Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
„I sztylet w piersiach! Więc biła godzina!
„On był tu!...“ Zamilkł, tak boleść głęboka
I żal tak ciężki jego serce ścisnął!
Piersi pracują jak wzburzone fale;
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczęśliwa,
„Że mnie swym zgonem do zgonu zachowa?
„Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
„Ja mam żyć? luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!“

Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona.
Zbójeccy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona
Cała się służba rozbiegła z wieczora...
Hugo już nigdy nie postał w zakonie.
Gdzież się więc podział? niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Płakały po nim, a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jęszcze ich łzy brylantowe
Na srebrnych liliach lśniły się przed słońcem.

Warszawa 1829.

MNICH.

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinai w Arabii trudniący się, zwyczajem średnich wieków, przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej karcie przepisanej księgi dodaje następujące słowa.

W samotnej celi w Sinaju klasztorze
Czekam posępny, aż wiek mój przeminie.

Modlę się, patrząc na Czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika;
Oto na białym księgi pargaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzeszone myśli, które się zatarły,
Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa,
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy.
Różnie barwiłem początkowe słowa,
Po ścianach błyszczą święcone obrazy.
Purpurę, złoto i drogie błękity
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką,
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana,
Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.
Było to w roku — Narodzenia Pana —
W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady;
Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą,
Brat jeden konał, posępny i blady,
Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

W zakonnej celi pod habitem mnicha
Konam samotny. Włóż kamień pod głowę,
Niech na nim zasnę. Noc ciemna i cicha.
Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę.

Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne.
Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,

Pogardy okiem patrzałem na nędzę.
A gdy mnie rozpacz przyciśnie gwałtowna,
Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem;
Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,
I cisnę sztylet; stal jego hartowna,
Tak można było pisać na nim złotem,*)
Jako ty piórem piszesz w swojej księdze.

II.

Marzyła dusza. Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy;
Często myślałem, że już niedaleki
Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy;
Płoche to było i marne złudzenie.
Ale raz z wiatru zachodnim powiewem
Doszło mnie dzikie, melodyjne pienie,
Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła,
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła,
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili.
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jej czole złoty liść rozkwita,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła;
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,

*) Jest to oznaką prawdziwej damasceńskiej stali, iż potarta złotem, zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcu.

Widziałem tylko, że anioł nademną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moją ciemną...
W ten czas rzuciłem ojców moich wiarę...

III.

Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty?
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę:
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty,
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął... „Idź, wyrodne dziecię!
„Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!“
Przeklął, i wszyscy przede mną pomarli.

IV.

Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wyryta!
Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu,
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu
Utonie kiedy do mogiły piasku,
Jeśli ją tuman nakryje stepowy,
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,
Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy,
Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni;
Tak postać Zary kwitnącą od skazy
Mogiła myśli gasnących ochroni...

Pamiętam dotąd jej dziecinne słowa,
Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,
Raz mnie pytała: „Tam, pod gwiazd błękity,
„Co to za lampa błyszczy kryształowa?
„Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonął:
„Zapewne księżyc w ich łono utonął,
„I w alabastrach błyszczy się ukryty...“

Nie przeszła chwila, już byłem na górze
Wśród śniegów lodu; i w tak prędkim biegu

Wróciłem nazad, że doliny róże
Kwitły utknięte w wazonie ze śniegu.

V.

Ja miałem brata... Całe pokolenie
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,
Dzieliło razem i głód i pragnienie;
A teraz każdy z braci mię przeklina,
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

Raz zapędzony na łowach daleko,
Wracałem w skwarne pustyni południe.
Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrący,
Chwiał się znużony pragnieniem i spieką,
W rozwarte nozdrza chwytał wiatr gorący.

Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia.
Rzekłem do niego: „Słuchaj, bracie młody!
„Musisz mieć wodę, daj mi kroplę wody.
„Widzę, że pełne twe juki podróżne,
„Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia.“

A on mi na to: „Czary moje próżne,
„Ostatnia pełna, ciskam ją o głazy;
„Umieraj, zdrajco! Giaur niech nie żyje!
„Gdybym gdzie wiedział poblizkie oazy,
„Z których ty pijesz, albo koń twój pije,
„Zatrułbym wody. — Bogdaj nie ochłódło
„Niebo, skąd chłodu twa dusza wygląda.“

Krzyknąłem wściekły: „W żywocie wielbłąda
„Dla mego konia znajdę wody źródło!“

I oba zbrojni zwarliśmy się razem,
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.
Upadł przeciwnik przebity żelazem...
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga zlata,
Patrzę się, przebóg! ta twarz z pod turbanu
Dobrze mi znana. — Już nie miałem brata.

VI.

Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,
Koń, który myśli Araba przenika.
Jak struś na stepach, gdy skrzydła rozwinie,
Ledwie się ziemi stopami dotyka;
I grzywa konia z wiatrami igrała.

Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójecka strzała . . .

Ojcze mój! Ojcze! okropna to zdrada!
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

Rumaka mego przeszło śmierci drganie,
Parsknął i głowa na piasku zaległa.
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa . . .
Stepy bez końca . . . Już nie miałem konia.

VII.

Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury
Wleciał do smutnej celi zakonnika?
Motyl nie strojny w złoto ni w lazury,
Ledwo z jedwabnej dziś zmartwychwstał trumny,
I znów tak blizko pogrzebu świecznika.
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,
I ma na skrzydłach pisany gniew Boży*)
Co mu tak ciąży, że je w ogniu pali . . .
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,
Lśni przed nim jasność samobójczej stali,
Patrzy posępny na niebios sklepienia,
Twarz ma pobladłą i wzrok zapalony,
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,
Silne jak drżenie głodu lub pragnienia.

*) Na skrzydłach wielu motyli a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki; lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie i że zawierają napis: gniew boży.

VIII.

Piękny nasz kościół! u stóp jego wały
Spienione miecą na głazy ukropy;
Stoi na skale, jego krzyż nad skały
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy;
A cudne palmy, pustyni królowe,
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;
Czołem zmiatają ganki marmurowe,
Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła . . .

Lecz wczoraj! wspomnij godzinę przestrachu,
Kiedy na kościół napadli Araby.
Straszliwy odgłos rozbiegł się po gmachu,
W klasztornej sali zebrały się mnichy,
Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?
Już miano wydać kościelne kielichy,
Gdy ja stanąłem: „Bracia! czyż niegodnie
„Mamy się poddać? niech nas Bóg ośmiela!
„Weźcie do ręki psalmy i pochodnie
„I czarne szaty i krzyż Zbawiciela.“
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem
W sam tłum Arabów, niosłem ślepe ciosy.
Za mną się światła snuły długim rzędem,
I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.
Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca;
A kiedy wodza spotkałem na błoni,
Mnichu, widziałeś! on poległ z tej dłoni;
W twarz mu zaglądam . . . Już nie miałem ojca.

A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,
Rzekł mi konając: „Synu! kryłem lica!
„Abyś się w boju nie wahał uderzyć,
„Abyś wyrzucał sobie śmierć rodzica.
„Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj
„O zmarłych, ciesz się z temi, co zostali . . .
„Ona . . . umarła . . . od zgryzot? od stali?
„Nie wiem, nie pytaj . . . lecz ojca przeklinaj!“

IX.

I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka, gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia,
Ale łza moja pamięć przodków plami.
Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,
Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita,
Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;
Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,
Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy;
I znów się głębiej oko moje wkrada,
I znowu patrzy, znowu dziko marzy:
Z łona księżyca wykwita twarz blada,
I znów poznałem . . . to były jej rysy;
Smutne pamiątki wzrastają bez końca,
I tak się krzewią jak czarne cyprysy;
Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

Po moje życie . . . Teraz śmierć się zbliża
I w sercu czuję nieznaną tęsknotę;
Wyznam ci, mnichu, choć ściskam znak krzyża,
Noszę na piersiach amulety złote,*)
Przez nią mi dane, jej ostatnie dary.
A w nich koranu drzemie myśl zamknięta.

Nie drżyj . . . myśl godna chrześciańskiej wiary,
Tak mówi prorok: „Dusza wiernych święta
„Niechaj miłością nienawiść odpłaca;
„Niech jako muszla srebrzystego łona,
„Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,
„Morderce swoje perłami zbogaca.“
Mnie przyjaciele zdradzili najszczersi . . .

*) Amulety są rodzajem talizmanów, urobione z drogiego kruszcu, zamykają najczęściej wiersz koranu.

Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,
Więc zerwij, zerwij talizmany z piersi! . . .
Muzułman, gdy się z amuletem dzieli,
Słyszy ostatnie westchnienie anioła . . .
Zerwij! . . . Co słyszę! czy to wiatr w tej celi
Smutnie zaszumiał? . . . Słyszałem westchnienie!

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIEJ.

Ciebie głos westchnień stłumionych zasmucił?
Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,
A obraz drżący i zbladły powrócił
Do twojej myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
Aby cię znowu do snu ukołysał.
Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,
A ty się wiersza pozbywasz koranu?
O luby! pomyśl, kto ten wiersz napisał!
Wspomnij na piękne krainy Iranu!
I patrzaj na mnie . . . tu jestem, tak blizko!
Czyliż ci moje nie znane wyrazy? . . .

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko,
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miły podróżnego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozpływa: *)
W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
Blady jak iskra gasnącej pamięci.

Oto przybyłam na blasku księżyca,
Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi;
Śmiertelna bladość twarzy mi nie kazi.
Chciałam być piękną, ukrasiłam lica
Kolorem róży czarownego kraju;

*) Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem często spostrzega w pustyni niedalekie jeziora a nawet obrazy palm, które za zbliżeniem się wędrowca nikną . . . Są to może krainy duchów.

Chciałam być piękną, ożywiłam oczy
Promieniem rosy; woń moich warkoczy
Jest tak łagodną, jak tchnienie róż maju.

Pomyśl, mój luby! chwila już się zbliża,
Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?
Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
On nas rozdziela, odrzuć go daleko!
Pójdziemy błądzić — para błędnych cieni —
W błędne krainy... Tam przed skwarną spieką
Wiecznie nas skryją z mgły uwiane drzewa;
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnemi kwiatami powiewa;
Inne tam słońce lśni nad tą krainą,
Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;
Jak eter czysty wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe;
A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje.

A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
Będziemy żyli samotni w tym raju;
Ani Araba koń nas nie dogoni,
Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi;
Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystej fali,
Kraj nasz czarowny i mieszkańce kraju,
Spłyniemy w stepy! coraz dalej! dalej!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

Ach! pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem,
Powiedz mi słowo?... sen twój nie daleki...
Ty milczysz!... Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl!... już nigdy nie będziemy razem,
I nigdy nasze nie złączą się duchy...
Ty milczysz!...

MNICH.

Boże! zniknęła... O mnichu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,

Albo mi powróć święty wiersz korannu!
Słyszałeś! smutna to była rozmowa!
Słyszałeś...

SPOWIEDNIK.

Bracie, ufaj w niebios Panu.
Ty sam się łudzisz... swoje myśli, słowa
Brałeś za płonne wyrazy dziewicy...

XII.

MNICH.

Ojcze! zgrzeszyłem... Gniew boskiej prawicy
Rozkruszy serce obłąkane, wrące...
Mnichu! gdzie koń mój? gdzie koń mój stepowy?
Koń, co tak prędko pustynie przelata,
Miecąc kamienie i piaski kipiące...
Wody dla konia! choćby ze krwią brata.

Ach szybkie! szybkie odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie.

Mnichu! gdy potok lat prędki przeminie,
Zdaje się krótkim jako przelot konia.
A jam tak prędko śpieszył się przez błonia,
Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja... z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu
I orszak mnichów; niosą kir, kobierce,
I światła w rękach i zakryte czoła...
Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru
Niema boleści... Zimne mnicha serce!
I modły zimne jak mury klasztoru! ..

Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca,
Miło umierać wśród kwietnej oazy.

Widziałem drzewa, co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży, drżą radości drżeniem,*)
Tam drzewa czują... tu ludzie jak głazy.

XIV.

Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu,
A może Arab, co się jazdą strudzi,
Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
Napół ockniony, nim znowu zadrzemie,
Przypomni sprawcę swego króla zgonu,
Senny, z przekleństwem wymówi me imię.

Warszawa 1829.

JAN BIELECKI.

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA

OPARTA

NA PODANIU HISTORYCZNEM.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Tu źródła bogactw w zapylonej ramie.
Czytam . . . Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „kraj nasz dosiągł szczytu,
Chylić się musiał.“ Precz z myślą szatana!

*) Tomasz Moor w poemacie Lalla-Rook wspomina o drzewach, które drżą liśćmi za zbliżeniem się człowieka.

Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...
O! jak spokojne otchłanie błękitu:
Tam zdala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru,
Tam izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Prebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w urny,
Wybiegłem, więcej nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i codzień,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień...
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli śpiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia,
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posępny, siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach, a godło obrazu
Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija.“

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju, nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy;
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem,
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,

Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi: szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie, a ja w krótkiem słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem
Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże,
Ja się usunę! niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!

„Hej! Szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.

Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę."

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy.
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi...
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pargamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej, swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husary, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilia wodna może przeczuć burze;
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świecili kozaki:
Noc księżycowa, widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat, „przede mną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...“
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą; sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił; prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno,“ rzekł „Anno! wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął, żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.

Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z poblizkiego sioła.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł, czapkę miał na głowie

Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
„Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nizko schylił głowy
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maszkary.“
„Ha! precz mi z oczu!“ krzyknął cześnik stary,
„Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga...“ Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą
Już gniewu swego nie mógł wywrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą;
Wokoło słychać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły,
Wszedł blady człowiek, lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił,
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu...“
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się na demną.“

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,

Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconemi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu,
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu,*)
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas się żali.

Lecz w jednę stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory

*) Wenecya.

Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.
ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość; lecz radość nieszczera;
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Któremi błyszczy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jedną chwilę rozkoszy, choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych niejedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, — krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,

Zawołał pazia, pomięszany, blady.
„Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty...“
„O panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“
„Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...“
„Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże;
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej, paziu młody.“

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł, jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!

Nad emalii zaćmionem lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazdy, nad nim hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa.
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana;
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał pełny słodkiej woni;
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się, gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
„Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę, rysy twego czoła...“
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzała — i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady.
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...“
„Ha! blady?“ przerwał rycerz z dzikim śmiechem

„Wszak zdradzam!... zamilkł, lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano: zdrada.
Kraj cały we krwi... Wznieś na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła.
Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszem patrzy i niepewnem licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy.
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O luba moja, poco te rozmowy?
Luba! chodź ze mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“ —
„Mój Ojciec! — Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!“
„I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie, wszyscy przyjaciołmi memi.
Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje.
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.“

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;

Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać, wiejski dzwon kościelny
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa:
Wyszedł ksiądz ze Mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa.
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się skończyła. — Oto w nizkie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:
„O! bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,

Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!..."
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby,
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe.
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwie doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie
Klął nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza,
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa:
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!..."
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!

A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,
Czy brak w niej czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z korali.

„O! mój najmilszy!“ rzekła „o! mój drogi!
Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął, a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!...“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał, a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarze.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;

Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca;
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,
I coraz słabsze, nikły, jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki...
Dziewica blada, na kamiennym progu
Usnęła, może usnęła na wieki...

I cicho — niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata, gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania.
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

Warszawa 1830.

ARAB.

Klęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu,
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych — cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bladną i śmiać się nie mogą...

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
Gdym biegł na stepy, wróg ludzkiej uciechy,
Z łez cudzych winne wybierać haracze,
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
Ha! czyż mieszkaniec tej nędznej siedziby
Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Nizkiej zagrody przestąpiłem progi;
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty,
Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec, pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.
Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły... O nędzo żebraka!
Perły... to perły! tak małe? bez blasku?...
Spojrzałem gorżko na szczęście rybaka,
I wiodłem starca po nad brzegi morza.
Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany;
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne;
Zginęła perła, starania daremne!
Wypłynął... była na twarzy zgryzota.

Zatrułem szczęście i pokój człowieka,
Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
O! jakże gorżko nad brzegiem narzeka,
O jak obfite do morza łzy leje!
Widziałem potem, jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łoże;
I wołał z jękiem i z płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Śmiałem się gorżko, był to śmiech szatana!
Dalej, wielbłądzie! dalej na pustynie!
Może gdzie radość błyśnie niespodziana,
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi,
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,*)
Nieraz się smucił, przewidując burze;
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
Koral jak majtek cieszył się pogodą;
Ale zerwany wichrami jesieni,
Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
Płynęła zwolna wielka karawana;
Gdy przypłynęła nad pustyni studnię,
Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;
Tłum cały bieży prędkiemi zawody,

*) Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stworzeń.

Potem, jak stadem spłoszone żurawie,
Gwarzy wesoło i zaczerpa wody...
Ale śmierć była w tej wody przyprawie.
Była trucizna... Ha! poco się śmieli?...
Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
Tam upadł drugi... tam bracia skościeli,
I drżąca czara z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś! że Diwy, że ciemni Anieli
Na świat zarazy wyrzucili tchnienie.
Ani tak liczne na brzegu kamienie
Jak były trupy!... Z całej karawany
Pozostał starzec, młodsi go ubiegli,
Pięciu miał synów... wszyscy trupem legli...
Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu;
O! rozpacz! martwe było całe plemię!
Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
Chwycił truciznę, z synami się złączy...
Przybiegłem, starca chwyciłem na strzemię,
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
Uniosłem starca i puściłem cało.
Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...
Dalej, wielbłądzie! poco zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho, pusto, i tylko z obłoku
Księżyc posępne czoło rozpromienia.
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce, jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem, życie zamknie w sobie;
Cicha, lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie,
Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmięszanym rozpowiada szumem!

III.

Dawnemi laty... Jeszcze byłem młody;
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody;
Leciał i parskał i białemi piany

Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć ścigany,
A koń mój leciał, jak gdyby miał skrzydła.

Wtem patrzę, między dzikie pustyń głazy,
Jakby czarowne raju malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą, między źródła kryształowe
Stała dziewica, królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku
W połowie widna, skryta przez połowę;
A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej, mój koniu!... Sroższy nad tygrysy
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mnie zrozumiał, zaniósł pod cyprysy,

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzymie.
Dzięki ci, koniu! Patrzę, jego rysy
Błyszczały szczęściem... zginąłeś, Solimie!

Dziewico, wkrótce wróciłem w te strony
Chciałem się łzami nacieszyć twojemi
„Ha, gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?“

„Mój luby,“ rzekła, „na piaskach spoczywa,
A wiatr pustyni jego ciałem miot[illegible]

Biblioteka Narodowa Warszawa

Lecz skoro pierwsza błyśnie gwiazda złota,
Dusza się jego od ciała odrywa,
Ty nie wiesz, nie wiesz, jakem ja szczęśliwa!
Jego duch, w niebios niesiony błękicie,
Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
A dusza jego zgaduje przybycie.*)

„Gdy nic milczenia nocy nie poruszy,
Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
Zanadto głośne wydaje się bicie,
On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
Nie są to zmysłów znikome utwory,
Ja go tu czuję, widzę, on ponury!
Lekki, jak w mglistej utworzony chmury,
Ubrany w tęczy złociste kolory.
Jego głos długie i długie godziny,
Jak szmer fontanny, duszę mi zachwyca;
A gdy ustami dotknie lekko lica,
Zda się, że spadły kwieciste jaśminy.

„Potem się zbliża i krwi krople pije,
Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;
A kiedy od niej błyśnie i odżyje,
Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie,
Widzę z rozkoszą, jak źródło wysycha.
On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
I sam z rozkoszą tem tchnieniem oddycha;
Na chwilę moje zatrzymuje serce
I jego serce zaczyna bić z cicha;
Z oczu mi bierze po światła iskierce
I jego oko tym się ogniem pali;
Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu
I jego lice bierze blask korali,
Cały rozkwita podobny do kwiatu.

*) Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wschodniem, że upiory wracając na świat, piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali za życia. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiora, ucinając zmarłemu głowę.

„A gdy on smutny wini los i siebie,
Serca Solima zachwycona biciem,
Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie!
Że Solim jeszcze żyje mojem życiem.
Wśród nocy, w całej piękności i sile
Błyszczy, jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile;
Lecz skoro pierwsze promienie poranka
Oświecą niebo w mgły różane strojne,
Próżno go tuli do łona kochanka,
On drży i zwraca oczy niespokojne
I coraz gaśnie i coraz blednieje;
I tak jak księżyc, kiedy słońce zoczy,
Blednie i we mgłach topi się i mroczy,
Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje.“

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci...
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogiły stepów nie porzuci;
Teraz dziewica cienia nie zobaczy,
Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora,
Przeze mnie tylko umarła z rozpaczy...

Dalej, wielbłądzie! tak pusto dokoła,
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
Tylko sęp krąży nad samotną skałą
I głośno bije skrzydłami czarnemi.
Szczęśliwszych niema ode mnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz, jako liściem miłośnie powiewa;
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżyca,

Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niebieskie odebrała szaty,
I dała swoję barwę, swoje lica:
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój, wielbłądzie! tę palmę podpalę,
O nie, zasypię źródlane kryształy
I skona palma w piekielnym upale.
Wkrótce z jej czoła kwiat opaduie biały.
Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój, wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom, śmierć się zbliża;
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
Widzę z daleka śmierć posępną, ciemną,
Już się czarnemi skrzydłami nasuwa;
Zasnę... Już widzę, jak wkrótce nademną
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! nie chcę raju, lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten mych wrogów okryją mogiły;

Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiem szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży.

Warszawa 1829.

ŻMIJA.

ROMANS POETYCZNY

Z PODAŃ UKRAIŃSKICH

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ I.

SUMAK.

Piękny to widok Czertomeliku,
Sto wysp przerżnęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
Jakby rusałek cudne ogrody.
Gałązką mącą wodne błękity,
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana,
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem,

Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie;
Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na Czarne morze:
A górą, zamku okna z kryształu
Świecą się, palą, jak ranne zorze;
I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.
W zamku pan mieszka Czertomeliku,
Dumny Ataman, co Siczą władnie;
Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie.
Nikt nie był w zamku; mówią, że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary;
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta...

Niejeden rybak wieczorną dobą,
W Czertomeliku płynąc ostrowy,
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą
Śpiew słodszy, milszy, niż szum dnieprowy;
A rybak milczał, płynął pomału;
Kiedy wieczorne zorze zapadły,
Widział, jak w zamku okna z kryształu
To się paliły, to znowu bladły;
A z okien blaskiem konały pieśni.
Znów cicho... głucho... a rybak stary
Żegnał się drżący... to czary... czary!
Wszak rybak czuwa? wszak rybak nie śni?

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy;
Ho! to kaganiec, to znak wyprawy,
Popłyną czajki na Czarne morze.
Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czaharów spisa połyska;
A po nad Dnieprem w długie szeregi
Gęsto strażnicze płoną ogniska.

Tam na mogiłę wstąpił wysoką
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły;
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?
O śpijcie! śpijcie! przeszła wam pora,
I wyście żyli... tu... w Ukrainie,
I wyście żyli... to było wczora!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
Pocóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! to było wczora.

Płyńmy więc! płyńmy w natolskie grody
Burzyć pałace, rąbać fontanny,
Żelazem niszczyć Turków narody,
I porwać obraz Najświętszej Panny,
Obraz, co płacze rzewnemi łzami;
A gdy go człowiek w fali zanurzy,
Morze gniewliwe bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż wrogów statki w falach pochłonie...

Lecz gdzież jest Hetman? w rannej godzinie
Wyszedł i w stepach błądzi od rana,
Oto przy brzegu czajka Hetmana
Powiewnym żaglem bieli się w trzcinie.
I wkoło gwarzy zgraja zebrana,
Wszak nam na drogę brak na zwierzynie;
Idźmy na łowy! idźmy na łowy!
Lecz gdzież nasz Żmija, Hetman Niżowy?

Ty śpisz, sumaku! ty śpisz, sumaku!
Między błyszczące rosą czahary;
A tutaj strzelce w stepach Budziaku
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
Bo milcząc strzelce idą na łowy!

I coraz ciszej
Między parowy,
Pomiędzy trawy,
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy
Pozłaca niebo na wschodzie.

O! jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje.
Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje;
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,
Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną;
I polne róże
Powstają z rosy perłami.

I cicho łowce szli manowcami.
Trzymaj, myśliwcze, ptaka na dłoni,
Zakryj mu oczy złotym kapturem;
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
Niech się nie trzepie, w dzwonki nie dzwoni;
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.
Sokół się chmurzy,
I ociemniony
Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam jakiś szelest! czy to zwierz ruszył?
To nadto wcześnie! to nadto skoro!
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom piszczy, skowyczy,

Skarć, łowcze, charta ręką i sforą.
Pierwej wyśledzić sumaka tropy,
Potem go gończe podniosą głosem,
A potem charty... I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,
Gdzie się kończy ta dolina,
Tam, kozacy, wielkiem kołem
Stójcie cicho, — a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, zioła,
W tej dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!
Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła,
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świt płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy.
Oblane złotem świtu burzany
Ognistej barwy kwiatem się palą,
I gną się z wiatrem: fala za falą
Przebiega stepy milczące.

Cicho... Wtem trąby zagrały grzmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity
Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoły,
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity,

Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
I psy spuszczone jęczą i gonią.
Czekają łowce: wśród strasznej wrzawy
Patrzą na niwy złocone świtem,
I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony
Przed szybką smyczą
Sadzi przez doły;
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.
I jeden sokół już zleciał nizko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
Już go dościgał... już blizko, blizko...
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę, wpadł na oszczepy,
Drgnął tylko, upadł... A tłum wesoły
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć, co tylko żyje
Pomiędzy trawy. Lecą sokoły,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
Ogary znowu jęczą i gonią.
Czekają łowce. — Wśród kwiatów fali
Znów coś mignęło? to sumak nowy?

O nie! to Tatar miga od stali,
Jak wiatr stepowy,
Jak wąż piersiami
Trawy rozcina;
Między kwiatami
Złotem połyska,
I łuk napina,
I strzały ciska,

I rohatyny kolczate miota.
Dziwi kozaków ta zbroja złota,
Musi to jakiś być wódz Tatarów?
Puścić ogary: — jeden z ogarów
Już go dościga, ha! zobaczycie!
Ogar to stary, dobrze się sprawi,
Wskoczy na piersi, i w strasznej męce
Wydrze mu życie,
Zgniecie, zadławi.
Już go doścignął, rzecz niespodziana!
Skacze na piersi, liże mu ręce,
U stóp się kładzie, wyje, skowyczy:
Wszak to jest ogar, ogar Hetmana!
Pierwszy z ogarów! tak sławny w Siczy!
Nieraz Tatara wytropił w jarze,
A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.
Wróciła nazad psiarnia zagnana,
A Tatar leci i trawy łamie.
Patrzcie! i sokół siadł mu na ramię
O dziwy! dziwy! sokół Hetmana!
Siadł na ramieniu, nastrzępia pióra,
Zda się, że skrzydłem nagli go w biegu.
W łowców szeregu
Okrzyk dokoła;
Strzał lekkich chmura
Ściga Tatara;
I jedna w piersi trafia ogara,
Druga pod skrzydło trafia sokoła,
Trzecia Tatara w czoło drasnęła.
Czy krew płynęła? czy łza płynęła?
Nie można wiedzieć; stanął, zakrywa
Oczy zalane czy krwią, czy łzami.
Z piersi ogara obróżę zrywa,
Z szyi sokoła pierścień z dzwonkami;
I znów przez stepy,
Wprost na oszczepy
Leci w zasiane wrogiem parowy.

Tam go wstrzymają? nie, nie wstrzymali!
Daleko zdradne prześcignął łowy,
I zniknął w burzanów fali...

Nie, to nie było senne widziadło,
Bo tam gdzie przebiegł, pośród wądołów,
Bez życia sześciu kozaków padło,
I sześć ogarów — i sześć sokołów.

PIEŚŃ II.

PŁACZKA.

Z tętentem konia leci przez wrzosy,
To pan nasz, Żmija, Hetman na Niżu.
Bielą się wzbite tumany rosy,
Z pod kopyt konia spłoszone wrony
Stadem się zbiły, siadły na krzyżu.
W burzanie miga kołpak czerwony,
Stalowa zbroja miga w burzanie:
„Witaj, Hetmanie! witaj, Hetmanie!...“
„Zdrowia! drużyno, co słychać w Siczy?
Czy szumią żagle? czajka gotowa?
Czy nam złą wróżbą wrona nie krzyczy?
Czy zawsze nasza fala dnieprowa,
Tak jak płynęła, płynie do morza?
Ha! tak? to dobrze... Nim błyśnie zorza,
Być w pogotowiu... Teraz niech czara
Zaszumi miodem; pieśń grzmi wesoła...
Lecz gdzie mój ogar? puścić ogara!
Gdzie jest mój sokół? puścić sokoła.“

Stróż psów hetmańskich, ptasznik Hetmana,
Dzieci nieletnie, wyszli z drużyny;
Pobladli oba uczuciem winy,
I wyczytali gniew w oczach pana.
Potem rzekł starszy: „Nieszczęsne łowy!
Na nasze łowy ktoś rzucił czary.
Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,
Dzisiaj okryte zbroją Tatary

Trudzili charty i skrzydła ptaków.
Od strzał tatarskich sześciu kozaków
Pośród stepowych padło wądołów,
I sześć ogarów, i sześć sokołów.
Tatar ci zabił psa i sokoła.“
„Kłamstwo! to kłamstwo!“ Hetman zawoła,
„Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,
Smycz moja pada a Tatar żywy...
Umiem wybadać prawdę za mgłami
Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.
Znacie tę obróż? pierścień z dzwonkami?
Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne.“
Snać, że obrożę charta poznali,
Pieśń śmierci w głosie dzwonków odgadli;
Oba zadrżeli, oba pobladli,
Łza im błękitne oczy kryształi...

„Parę kłamliwą, co razem wzrosła“,
Rzekł srogo Żmija, „polecić Bogu,
Wsadzić do czajki, w czajce bez wiosła,
Niech z dnieprowego spływają progu.“
Już odszedł Hetman... Powstały gwary,
Skądże wie Żmija o naszych łowach?
Czy mu przynieśli pierścień Tatary?
Czy gdzie ukryty sam był w parowach?
W różnych domysłach zabrzmiały struny.
Jako żórawi nuta wędrowna
Pieśń przez srebrzyste płynie piołuny,
Mięsza się z echem, dzika, czarowna,
Bo kiedyż kozak o czarach nie śni?...
Może domysły rozkwitną z pieśni.

POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSAŁKA.

I.

Nad mogiłą w mgłach wysoko
Krąży sokół, siadł na krzyżu.

Pod tym grobem śpi głęboko,
Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporoża
Jako miesiąc blady, nowy,
Nie przebyła w czajkach morza,
Nie wzleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi
I samotna róża bladła.
Zapienione skalne progi
Mgliły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce, wysp Hetmana
Widać było w blask miesiąca.
Jego luba z mgły uwiana,
Z mgły dnieprowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłonią,
Zapalała czarnem okiem...
„Luby," rzekła... „tam się płonią
Polne róże nad potokiem,

Dzwonki barwą lśnią błękitną:
Uschną dzwonki na pokosach,
Lecz z różami, gdy przekwitną,
Rozkwitają w moich włosach.

Duchem zmarłych na tym świecie
Żyję, kwitnę jak mogiła.
Cóż po łąkach? cóż po kwiecie?
Niechaj uschną, bym ja żyła..."

„Czarna duszo! precz ode mnie,
Już miłości nie ocucę."
„Wyrzekasz się? lecz daremnie!
Znów zawołasz, znów powrócę."

II.

Rusałka się w mgłę rozpływa.
Nocą blady miesiąc świeci,

I po łodziach lśnią łuczywa,
I do Dniepru toną sieci...

Hetman smutny i ponury,
Płynie zwolna łódź Hetmana;
Przed nią postać z mglistej chmury,
Płomieniami malowana.

Taka piękna, ponad falą,
Gdy się o nią blask roztrąca.
Wpół się ogniem lica palą,
Wpół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,
Choć to może duszy zguba,
Hetman wołał: „Chodź tu do mnie!
Chodź tu do mnie, moja luba!"

III.

Odtąd zawsze, zawsze razem.
Hetman w więzy lgnął widziadła,
Choć jej dusza zimnym głazem,
Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna... z polnych głogów
Róże złote włosy wieńczą
I kradzioną z nad porogów
Mgliste szaty złoci tęczą.

Gdzie zarastał gaj odludny,
Jednem słowem, jednym rankiem
Wzniosła z wyspy zamek cudny
I obwiodła złotym gankiem...

Z korałowej zamek cegły.
Wieża druga, trzecia, czwarta,
Na skinienie w niebo biegły:
Lud go nazwał zamkiem *czarta.**)

*) Czertomelik.

W zamku, jak kładzione kosą,
Powiązała róż szkarłaty;
Brylantami jakby rosą
Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzał na kobierce,
Okiem blask brylantów ścigał:
Ciągle patrzał, stygło serce,
Dla Rusałki już ostygał...

Ta, choć zimna pod obłokiem,
Zimne serce wnet odgadła;
Szybko, szybko, czarnem okiem
Brylantowe blaski kradła;

Kwiaty brała do warkoczy. —
Hetman spojrzał, wzrokiem tonął,
Nad brylanty skrzą jej oczy!
I znów kochał, i znów płonął,

„Luba! ty masz blask anioła...“
„Więc mi nagródź, jeślim warta?
Daj sokoła, daj mi charta,
Zabij charta i sokoła.“

„Czarna duszo, precz ode mnie!
Sercem się z szatanem kłócę.“
„Znów zawołasz? lecz daremnie!
Przyjdziesz do mnie — ja nie wrócę.“

IV.

Odpłynęła... Hetman kroczy
Zamyślony po komnatach...
„Co! nie wróci?... a jej oczy
Takie cudne, włosy w kwiatach...“

Myślał... Z oczu łzy ogromne
Po niemęskiej płyną twarzy.
Rzekł do siebie: „Już nie wspomnę!“
Nie wspomina, ale marzy...

„Nad zamglone chmur błękity
Oto miesiąc już się płoni;
Już mój sokół, chart zabity,
A jej niema?... pójdę do niej...“

Jakże miłe tchnienie wiosny!
I woń fali świeża, chłodna!
Nad progiem czarne sosny
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągłe burze
Łamią w falach blask księżyca,
Nad falami w mglistej chmurze,
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart bladawy,
Niespokojny i ponury,
Na ramieniu sokół mgławy,
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

„Jakżeś piękna!“ Hetman woła,
„Któż ci może ujść bezkarny?
Chodź tu, luba, spłosz sokoła,
Chart niech leci gonić sarny.

Tu pod moich ust płomieniem
Twe się blade mgły rozpłonią.
Jak tu miło! pod sosn cieniem!“
Prosi, błaga, okiem, dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka wina!
Czy przypadkiem, czy po myśli,
Na krzyż srebrną mgłę rozcina.
Znak zbawienia święty kryśli.

Przed krzyżem się mgły rozpierzchły
Jak złamane wód błękity;
I Rusałki rysy zmierzchły,
Obraz zniknął w mgłach rozbity...

V.

Znikła... słychać tylko burze
W głębi Dniepru, i szum piasków.
Lecz mgła spływa, spływa w chmurze
Zabłąkanych kilka blasków.

I rozbite mgły zwierciadła
Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza;
Lśni Rusałka, lecz pobladła,
I pobladła, i smutniejsza...

Potem rzekła: „O mój miły,
Żegnam ciebie, ginę, ginę.
Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,
Tak w uściskach się rozpłynę.

Prosisz, błagasz nadaremno,
Próżno czekasz na tej skale;
Lecz chodź ze mną! lecz chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale.

Mgły tu zimne ale jasne;
Gdy i ciebie mgła okryje,
Patrz, mój luby, teraz gasnę,
W twych uściskach znów ożyję.

Sokół żywy, chart twój żywy.
Z tobą razem jak z sokołem
Pójdę błądzić nad te niwy,
Nad dymiących chat padołem.

Pójdę z tobą, tak w mgłę ciemną
Osłoniona jak w krysztale.
O chódź ze mną! o chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale.“

Hetman kochał, obłąkany,
Hetman kochał, ogniem płonął;
Z progu spojrzał w Dniepru piany,
Padł do fali, i zatonął...

Gdy go skryły burz odmęty,
Potrzaskały w proch granity;
Duszę zbawił obraz święty,
Krzyż na piersiach miał wyryty.

Od grzechowej zmazy czysty,
Już ulata w nieba stropy;
Za nim wzleciał sokół mglisty,
Chart Rusałki rzucił stopy.

A Rusałka, nad ostrowy
Sama jedna... we łzach woła:
„Kiedyż! kiedyż Hetman nowy
Da mi serce, psa, sokoła.“

Pieśń konia z echem... i wnet jałowe,
Dzikie domysły urosły w gminie:
Więc Hetman kocha fali królowę?
Na oślep leci w przepaść i ginie.
Zawsze samotny... zawsze nie z nami;
Gdzieś na cmentarzach, nad mogiłami...

Ciszej!... tam zachód krwawy, ponury,
Ozłocił stepy, jary i chmury,
Zagasa słońce... słychać, jak zdala
O brzegi bije spieniona fala.
Ciszej!... tu smutne mogił wybrzeże.
Oto ostatnie zachodu blaski
Złocą wichrami burzone piaski,
Złocą trzy cerkwi posępne wieże,
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy.
I tysiąc grobów, gdzie przez wyłomy
Posępne trumien wieka świeciły.
O! dzika Siczy! twoje mogiły
Z piasku uwiane... a grób tak kruchy,
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą:
Potem w mgłach srebrnych płynące duchy
Wczorajszych mogił znaleźć nie mogą.

Tam białą postać słońce oświeca.
Łatwo z wybladłej odgadnąć twarzy,
Że to posępna mogił dziewica,
Że to siczowych płaczka wyspiarzy.
Stała na wieku spróchniałej truny,
A wiatr jej czarne unosił włosy,
I wzruszał wianku srebrne piołuny,
I róże wianku, lśniące od rosy.
Mówią, że niegdyś płaczka ta miała
Czoło wesołe, lica różane;
Lecz przymuszona płakać, płakała...
I dzisiaj zmysły ma obłąkane
Zmyślonym płaczem... i we łzach oczy.

To Hetman Żmija na cmentarz kroczy;
Stanął na grobie, rzekł: „Witaj, Kseni!
Witaj, o sławna płaczko pogrzebu!
Ty nas modlitwą polecasz niebu;
Przez ciebie pieśnią w grobie uśpieni,
Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa
Zimną się rosą ziemi napawa.
Straciłem dzisiaj ptaka i charta,
Wierni mi byli... i tem boleśniej;
Jeżeli zgraja twych pieni warta,
Chart mój i sokół wart także pieśni;
Śpiewaj nad niemi.“ — „Bluźnisz, mój miły!
A ja do takich próśb się nie zniżę.
Czujesz to zimne tchnienie mogiły.
Słyszysz! jak skrzypią spróchniałe krzyże,
Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała
Ponad błękitną falą się wiesza;
Pieśń moja smutna, gdybym śpiewała,
Wszystkie te dzikie głosy pomięsza.
Ciszej!“ Lecz Hetman nie słuchał mowy,
Wzrok miał ponury... Pomiędzy trzciny
Lśni Dniepru fala i próg dnieprowy.
Wśród skał posępnych fale się zwarły,

Na skałach dzikie rosły kaliny,
I mech czerwony i sosny karły.
Na progi czajka z falami leci
I już zawisła ponad urwiska,
A w czajce dwoje płynęło dzieci.
Łódka z pianami w głazy się wciska
A pod nią otchłań pieni się, burzy.
Te dzieci połkną dnieprowe fale...
Młodsze chwyciło za kwiecie róży,
Co się po nagiej zwieszała skale,
I padło w przepaść z gałązką kwiatu.
Starsze po sosnach pnie się na głazy,
Napróżno ręce podaje bratu,
Słyszy huk fali i obłąkane
Mając na ustach modlitw wyrazy,
Rzuca się z krzykiem w przepaść i pianę...

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,
Nic z głębokiego serca Hetmana;
Dłoń swoją oddał w ręce dziewicy,
Ta zachmurzona i pomięszana
Wiodła go w cerkiew... W cerkwi tak ciemno!
Posrebrza szyby księżyc na nowiu;
Serce przenika trwogą tajemną
Szyba brzęcząca w ramach z ołowiu;
I przez otwarte dachu szczeliny
Wyglądały z kwiatem drżące kaliny.
„Kseni, rzekł Hetman, co to się znaczy?
Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:
Czy to jest nocne pienie puhaczy?
Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,
Że się bez wiatru smutnie kołyszą?“

„Luby! chorągwie spokojnie wiszą,
Może je wzrusza tchnienie mogiły.
Czego się lękasz? czego? mój miły!
Choć za mną.“ Zdjęła lampę z ołtarza,
Weszli w podziemnych lochów zakręty.

O! jak tu głucha cisza przeraża,
Tu połamane Turków okręty;
W spróchniałych deskach, w zbroje przybrani
Leżą do koła śpiący hetmani.
A jako kazał obyczaj grecki,
Każdy miał w ręku święte obrazy,
Na nich tajemne modlitw wyrazy,
Usta przymknięte, w nich piastr turecki.
Kseni do małej zbliża się trumy;
I strasznie drżała ręka dziewicy,
Gdy podnosiła czarne całuny,
Splamione gęsto łzami gromnicy.
O nieba! dziecię pod całunami
Piękne i żywe... Kseni pobladła,
I przed hetmanem zalana łzami
Klasnęła w dłonie, do nóg upadła.
„Mój luby! rzekła, to dziecię, dziecię!
Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.
Luby, niech pop nas połączy skrycie,
Pop moim ojcem... Ja nieszczęśliwa!
Łzy moje płyną na wzgardę światu.
Gdy plotę z polnej róży zawoje,
Wnet drżące liście padają z kwiatu.
Wszystko usycha, wszystko, co moje.
Świat mi szyderczym śmiechem przygania.
Zlituj się, luby..." Lecz próżne słowa,
Już wyszedł Hetman... śmiech obłąkania
Połknęła w ziemi cisza grobowa.

PIEŚŃ III.

POŻARY.

Pieśń odpływających.

I.

Ho! daleko Czarne morze,
Gdzie się czajki kąpią w pianach.
Palmy zamki na Bosforze,

Jako trzciny na limanach.
Piękny to pożar łąk, oczeretów,
Lecz jakże płonie wspaniale
Wielki las masztów, las minaretów.
Szumcie czajki! szumcie fale!
Ho! kozak panem
Błękitnej fali.
Urra ho! dalej! urra ho! dalej!
Z naszym Hetmanem.
Urra ho! dalej!

II.

Nasza czajka szybka, zwrotna,
Choć nie błyszczy w malowidłach;
Jak jaskółka czarna, lotna,
Na sitowia leci skrzydłach:
Pięćdziesiąt wioseł w biegu ją nagli,
Dla Turków niesie podarek:
Dwa dział ze spiżu i sto janczarek,
Z szumem wioseł, z szumem żagli.
Ho! kozak panem itd.

III.

Lećcie z nami, morskie wrony,
Gdzie południa świeci gwiazda;
Lećcie z nami, wam na gniazda
Damy turban zakrwawiony.
Za nami, wrony! za czajek śladem!
Dla was, co pożar ocali,
Łachmany żaglów, zaszumcie stadem,
Z szumem wioseł, z szumem fali.
Ho! kozak panem itd.

IV.

Jak wesoło czajki płyną;
Piękny widok przy pogodzie,
Gdy chorągwie się rozwiną,

Gdy obwieją nasze łodzie...
Mijamy cmentarz, nasze mogiły,
A tam nas żaden nie słyszy?
Sen ich szanujmy, sen słodki, miły,
Żagle ciszej! wiosła ciszej!
Ho! kozak panem itd.

V.

Zmarłych uśpi blask miesiąca
I szum brzozy, pieśń ołtarzy;
Równie smutna, dzika, drżąca,
Jak zbłąkanych pieśń wioślarzy...
Chaty, mogiły znikają nagle.
Zaszumcie! zaszumcie wiosła!
Bogdaj nas do nich fala odniosła.
Szumcie czajki, szumcie żagle.
Ho! kozak panem itd.

VI.

Pieśń dziś smutna, czajka pusta,
Lecz powrócą pełne łodzie.
Tym, co zginą, włożym w usta
Piastr wybity w Carogrodzie.
Pacierze za nich a potem wina,
Wina w weneckim kryształe:
Za pamięć druhów pije drużyna.
Szumcie czajki, szumcie fale.
Ho! kozak panem
Błękitnej fali...
Urra ho! dalej! urra ho! dalej!
Z naszym Hetmanem
Urra ho! dalej...

Tak dziką pieśnią, przy wioseł pracy,
Chaty żegnali, a przed chatami
Na brzegu stali tłumem rybacy,
Starce siczowi zalani łzami.

Jeszcze niekiedy nuta wędrowna
Od zabłąkanych powraca czajek...
O! pieśni dzika, pieśni czarowna,
Zmięszana z dźwiękiem wioseł i grajek,
Upływaj z echem, jak upłynęła
Młodość... tak rybak marzy i wzdycha,
Wrócił ponury, milczał — sieć cicha
W błękitne fale Dniepru tonęła.

Niech wolniej pieśń płynie — na moim torbanie
Strun braknie... Któż wyda kozackie pożogi,
Huk ognia, trzask domów, co lecą w otchłanie?
Rwę struny torbanu i ręka drży z trwogi.
Śpiewając, sam jestem jak Turek wybladły,
Choć widzę ogniska płonące po chatach;
Zatrważa mię każdy liść z drzewa opadły
I szelest sumaka, co śmiga po kwiatach..

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy.
Wokoło na palach podnosi się szaniec,
A fala błękitna konała u stopy
Latarni portowej, gdzie w nocy kaganiec
Oświecał dalekie błękitu odmęty.
Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,
Te mnogie przy groblach uśpione okręty,
Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,
I bielą się żagle — ze strzelnic galery
Wygląda blask spiżu, gdzie drzemie grom bitwy,
Na masztach różnego koloru bandery,
Tak lekkie, krajane jak skrzydła rybitwy.
Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami,
Ciekawe wejrzenie z wież puszcza się szczytu,
I ściga okręty z białemi żaglami,
Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napełnia portowa,
I fala spieniona od huku zadrżała.
Poznali huk Turcy — to mnogie grzmią działa;

Lecz w której to stronie? Od stron Oczakowa.
To może znać dają galery Sułtana,
Ażeby strzedz portów od hord Zaporoża.
Ha! cóż nam te czajki? nam trwoga nieznana,
Sam huk je dział naszych zatopi do morza.
Tak Turcy mówili... Lecz kiedy po fali
Noc ciemna posępne rozciąga całuny,
Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny:
To płonie Białogród — Trebizont się pali.
Noc była ponura, a łuna szeroka
Pozłaca księżyce i szczyt minaretów.
Otwarto żelazne podwoje meczetów,
Przy lampach lud wzywa modlitwą proroka;
A potem, ufając w przeznaczeń wyroki,
Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.
I wszystkich w haremach sen ujął głęboki...
Obudzą się może wśród ognia i gromów.

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,
Nie postrzegł zapewne, lampami olśniony,
Że Turek posępny ubrany we zbroje,
Stał między filary jak gdyby uśpiony,
I ani się ocknął — choć słyszał ponury
Jęk rdzawych zawiasów i ryglów łoskoty,
I widział po ścianach, jak łuny blask złoty
Oświecał żyłami krwawione marmury.

W haremie nie widać, że niebo się pali,
Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.
Dziewice w złocistej zebrały się sali,
Gdzie płoną pochodnie, róż tchnienie przewiewa
Jak szczere tam śmiechy! jak miłe zabawy!
Bo Basza daleko, na czterech fregatach
Na Czarne gdzieś morze przedsięwziął wyprawy.
Eunuchy w odległych usnęli komnatach.

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu
Tryskają fontanny, lamp ogniem iskrzone.

Z westchnieniem widomem przez gazy zasłonę
Słuchają miłosnych gazalów Szirazu.
Ta żądzy tajemnej kraszona rumieńcem,
Choć przyszłość zna swoją, a jednak ciekawa,
Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jej trawa,
Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.
Ta smutna, kwiat róży po listku obrywa,
Liść każdy opadły ma tajne znaczenie,
Ostatni liść róży jej przyszłość odkrywa;
Zerwała ostatni i słychać westchnienie;
I długo dumała nad kwiatem opadłym
Ze łzami na twarzy i z czołem pobladłem.
Ta kwiaty obrywa, ta patrzy, jak kwitną;
Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,
Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,
Lub płoszy wachlarzem mgłę kadzidł błękitną.

Zulema, szukając zaciszy i chłodu,
Usiadła samotna na złotem węzgłowiu
I okno otwarła na kwiaty ogrodu.
Noc była tak ciemna, bo księżyc na nowiu.
Cieniami pokryte fontanny i drzewa;
I tylko przez okna barwione i kraty
Od sali się światło złociste wylewa
Na drżące pod oknem z kwiatami granaty.
Na niebo zamglone patrzała dziewica,
A myśl jej igrała z ciemnością i mgłami.
Czy sen to?... Przy blasku niepewnym księżyca
Widziała minaret pomiędzy drzewami;
Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku
Mignęły płomienie niepewne jak zorze.
Ukazał się rycerz na wieży krużganku,
W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.
Spojrzała dziewica, westchnęła boleśnie
I oczy odwraca, zapomniećby chciała,
Bo tego rycerza widziała gdzieś we śnie.
Znów patrzy — o nieba! tatarska to strzała,

Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomiennem,
Wróciła na wieżę i zgasła na szczycie.
To może w jej oku zroszonem i sennem
Lśni gwiazda przelotna po niebios błękicie?

Lecz skądże się nagle szczyt nieba rumieni?
Wokoło płomienne rozlały się blaski,
I słychać z daleka trzask głuchy płomieni,
I słychać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,
I straszny szczęk broni i grzmienie janczarek.
Na wieży krużganku znów nowe zjawiska:
Od króla polskiego kosztowny podarek,
Złocona chorągiew hetmańska połyska.
Gdy miasto w płomieni okryło się wianku,
Chorągiew dla Turków — to całun grobowy;
A przy niej stał kozak na wieży krużganku,
Żelazem błyszczący od stóp aż do głowy.

W światłości czerwonej haremu ogrody;
Odkryły się kręte gaików zarysy,
I ciche kanałów złociły się wody,
Po wodach cień smutne rzucały cyprysy;
Fontanny, jak ze snu zbudzone pożarem,
Tryskają pod niebo złotemi słupami.
Wieść straszna, wieść śmierci przebiega przez harem.
Rzezańce, wzruszeni rozpaczą i łzami,
Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie
Nad kanał wokoło drzewami zarosły;
Tam róże haremu usiadły na łodzie.
A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak czajka w haremy
Przez kraty skruszone na kanał wybiegła?
I krzyki żon Baszy — i radość Zulemy,
Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła.
Ta postać, wpół żaglem na czajce owiana,
Znajoma Zulemie... Nie zdradzę tu w pieniach

Tajemnic ukrytych w nieśmiałych westchnieniach,
I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana.
. . . . . .

„Skorzej, żeglarze! skorzej! czas nagli,
Księżyc jaśniejszy i dłuższa zorza.
Może nam wicher uciec z pod żagli,
Może nas cisza przykuć do morza;
A ciężko będzie po martwej fali
Tłuc się wiosłami i bladnąć z głodu?

„Cóż to za gwiazda we mgle się pali?
Ho! to latarnia z wież Carogrodu.
Dalej za światłem! dalej! i dalej!
Jak trzej magowie za gwiazdą wschodu,
Jak trzej magowie za gwiazdy lotem,
Lećmy po złoto, choć nie ze złotem.

„Ho! ho! ostrożnie. Czajka na czatach
Niech daje baczność, zdala i zblizka...
Szczęśliwi oni w rodzinnych chatach,
Wieczorne teraz palą ogniska;
Pełne ryb sieci i piwa dzbany,
I pies ich nawet w chacie spoczywa;
A tu na morzu kozak zbłąkany,
Gdy się przez czajkę fala przelewa,
Jak morska wrona, ze srebrnej piany
Otrząsa skrzydła, na wierzch wypływa;
Byleby w fali znalazł dolara,
Lub piastr turecki... Ho! baczność, wiara!

„Lecz my szczęśliwsi niż oni w chatach,
Gdy nas obwieją dymem pożary;
Miło w tureckich błądzić komnatach,
I pić, i złote chować puhary;
Lub leżeć w siatce, gdy kołysana
Lekko się waha, buja na maszcie;
I patrzeć w niebo i drwić z Sułtana

„A teraz, bracia, dobrze rozważcie:
Oto z daleka wieża drewniana,
Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?
Oto na wieży latarnia miga,
I brylantowym pali się blaskiem.
Niech moja czajka brzegu dościga,
Ja sam pod zręby ogień podłożę.
Lecz jeszcze okiem rzucę na morze;
Jak cudny widok?... Tu czajek dwieście,
Które noc kryje i groźna strzeże.
Zdala rząd świateł, Pera przedmieście,
Dalej Sofijskie złocone wieże;
Ledwo ich blade widać zarysy
Na ciemnem niebie... Tam krzew żałoby,
Tureckich grobów widać cyprysy.
I w nocy nawet czernią się groby.
I gwar daleki i morza szumy,
I myśl o wschodnich roi straszydłach:
Zda się, że widzę, jak widmo Dżumy
Płynie nad miastem na czarnych skrzydłach.“

Już zniknął Hetman — czas szybko bieży...
Cicho i głucho, słychać jęk dziki...
To pewno strażnik skonał?. Na wieży
Błękitne siarki widać płomyki
I nagle światło na morze pada,
Krwawo się czarna fala rumieni
I twarz miesiąca zagasła blada.
Słychać huk ognia i trzask płomieni,
I ożywione jak malowidłem
Dalekie miasto z minaretami
Z cieniów wypływa — a tu chmurami
W dymach pożaru zbudzone wrony
Niekiedy białem migają skrzydłem.
Słychać pisk ptactwa — ogień szalony
Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana,
Straszniejsza niźli widmo pomoru,

Niźli pochodnia w gmachach szatana,
Świeci kozakom wieża Bosforu.

„A teraz, druhy — hej do zabawy!
Dalej! w przedmieścia, gdzie Grek zdradziecki,
Gdzie kryje złoto kupiec wenecki;
Lecz pamiętajcie, gdy świt jaskrawy
Pozłoci niebo, wrócić do łodzi
I przynieść wiele złota z wyprawy;
Będziemy piastry mierzyć na garce.
Lecz jeśli kogo szatan uwodzi,
Jeśli się z łupu nie wyspowiada,
Niechaj pamięta, w Żmii janczarce
Pięć kul się kryje, biada mu! biada!“

Już świta — świta... Ognie pożarów
Gasły przed słońcem, a wschód był krwawy.
Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,
Czy to się zbliża rota janczarów?
Migają zbroje... Zasiąść na ławy,
I szyję harmat zwrócić do wałów;
Jeśli się zbliżą? wnet stem wystrzałów
Przywitać Spachów... Nie będzie boju...
Biała chorągiew błysnęła w tłumie,
Posłowie niosą słowa pokoju:
Oto kadzidło hetmańskiej dumie...
Słyszę ich trąby i rozstrojony
Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;
A w tłumie miga kolor zielony:
To jakiś Emir, Basza buńczuczny.
Koń jego szybki jak błyskawica...
„Cóż tam, Emirze, od twego pana?“
Emir pozdrowił nizko Hetmana
I rzekł... „Syn słońca a brat księżyca...“
„Ho!“ przerwał Hetman, „wasz Sułtan stary
Jak brat księżyca zbladł przed pożarem.
Jeśli cię z jakim przysyła darem,
Chętnie przyjmiemy Sułtana dary;

Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,
Póki mam silne prawo zdobyczy,
W darach mieć mogę prawo wyboru.

„Pierwsza jest cerkiew... Dla cerkwi w Siczy
Żądam obrazu... Między ikony
Jest w Carogrodzie obraz święcony,
Obraz, co płacze rzewnemi łzami;
A gdy go człowiek w morzu zanurzy,
Morze gniewliwe bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż pogan statki w falach pochłonie.
Lecz to dla popa — słuchaj Emirze!
Niech sobie mnichy walczą cudami;
Póki mam szablę i czajki chyże,
I zamek w Siczy, król nad zamkami,
Póki mam tysiąc raźnego chłopa,
Co po obrazie?... Obraz dla popa.“

„Słuchaj, Emirze! dla mej drużyny
Złota potrzeba cudnego blasku!
Nie rodzą kruszców nasze krainy,
Dniepr się nie toczy po złotym piasku;
Gdyśmy go cały orali flotą,
Pytając? Dnieprze, ma twoje łoże
Złoto?... On czajki wyniósł na morze,
Aż pod Carogród, — rzekł: tam jest złoto.
Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,
A więc syn słońca, pan twój łaskawy,
Da pięć tysięcy piastrów odprawy;
Dla mnie?... jednego niech nie doliczy.

„Emirze! teraz dar dla Hetmana,
Nie piastr turecki, nie malowidło...
Widziałem pyszny pałac Sułtana,
Gdzie się on kryje blady ze strachu.
Każcie rozrzucić pałacu skrzydło,

A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,
Z kamieniem w pola Siczy powróci,
Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy;
Potem ten kamień na grób mi rzuci,
Wstanie mogiła, pod tą mogiłą
Głucho śpiącemu będzie się śniło,
Że w czajce grożę waszej stolicy.“

PIEŚŃ IV.

CZAJKI.

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,
Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna
Z rozpaczy wyrazem, zmięszana ze łzami,
Na głowę carycy przekleństwa miotała.
O falo błękitna! o falo błękitna!
Tyś czajki nosiła... tyś łzy te widziała...
. . . . . .

„Zda się, że słońce piękniejsze świta,
Gdy do powrotu czajka zwrócona,
Miła tej fali barwa zielona,
Czajkami w srebrną pianę rozbita.
Jak się te nurki spokojnie pławią,
Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą.
Lecz kto wie, druhy, może przed nocą
Srebrne się morza fale zakrwawią!...

Ha! zgadłem, bracia... tam na obłoku
Turecki żagiel z wiatrem ucieka.
Zaczęte łowy! mieć go na oku,
Lecz się nie zbliżać,... zawsze z daleka.
Niech żadne wiosło czajki nie nagli,
W dzień się nie zbliżać, nie stawić czoła,
Galery mają oczy sokoła,
Zaraz dostrzegą... Zwinąć pół żagli...

A przed obrazem Bogarodzicy,
Co burzy morze i czajek strzeże;

Zapalić świecę... a przy tej świecy
Niech pop odmawia głośno pacierze.
Gdy wydam rozkaz... za mym rozkazem
Wziąć pośród siebie czajkę z obrazem,
Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,
Niechaj obrazem morza nie burzy,
Niechaj się modli... innej usługi
Teraz nie żądam... Jakże dzień długi!...

„Ho! ho! szalony ten sułtan stary,
Budować takie wielkie galary,
Co trzykroć tyle nabiorą wody,
Niż nasza czajka; za to z czajkami
Tureckim statkom nie iść w zawody:
Gdy pełnym żaglem płyną za nami,
My na mielizny... często w pogoni
Okręt ich pryśnie o piasków ławy,
I tak jak szklanny puhar zadzwoni. .

„Widzicie, druhy, jak zachód krwawy,
To wiatr nam wróży... korzystać trzeba.
Więc nieco białych żagli rozwinąć
I robić wiosłem... ku słońcu płynąć.
Postawić czajki w płomieniach nieba,
Tak, aby słońce było za nami...
Ze zwiniętemi teraz żaglami
Utonąć w blasku... pod tą opieką
Nas nie wyśledzi ów upior smoczy,
Co ma z kryształu stokrotne oczy.
Temi oczyma sięga daleko...

„Dzięki Ci, Boże! oto do końca
Dzień nachylony blado się pali,
Oto nad falą widać pół słońca,
A pół do ciemnej kryje się fali,
I na świat rzuca odbłysk ponury...
Już się nad słońce fala podniosła,
Po niebie krwawe snują się chmury,
Teraz do żagli! teraz do wiosła!...“

Okrzyk stokrotny
Bije o chmury;
I żagiel lotny,
Jak skrzydło ptaka,
Białemi pióry
Czajkę kozaka
Niesie... Ta drżąca
Wygina szyję,
Kąpie się w wodzie,
Fale roztrąca;
I kozak żyje,
I czajka żywa.
Już lecą... Blady na wschodzie
Z za chmury księżyc wypływa...

„Ho! dobra wróżba — galera Baszy.
Lubię mieć sprawę z Baszy galerą,
Znam tę banderę, a nad banderą
Buńczuk, co płoche jaskółki straszy.
Widzę przy ogniach tureckie twarze,
Zdają się blade... Czekać w pobliżu,
Aż nam galera boki ukaże,
Aż na nas spojrzy okiem ze spiżu.“

Galera okropną cichością owiana,
Jak widmo posępne, jak pałac zaklęty,
Choć wiosło nie szumi choć żagiel zwinięty:
Bez ludzkiej pomocy, czarami szatana
Odwraca pierś złotem ozdobną straszydłem,
I boki jej księżyc bladawy oświeca.
Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżyca,
Skąd wkrótce ognistem wyleci zgon skrzydłem...

„Druhy! do wioseł! już dają znaki,
Ażeby iskrą podrażnić działa;
Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,
Próżno nas będzie kula szukała,
Dalej! do wioseł!...“ I mnogie wiosła

Wnet zaszumiały
Czajkę zbłąkaną
Fala rozniosła.
I żagiel biały,
Z białawą pianą
Zmięszany, zniknął na morzu...

I rzekłbyś, że fala te czajki pożarła?
Że kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu?
I cichość posępna i cichość umarła
Okryła na chwilę błękity odmętu.
Lecz iskrą galery zbudzone już działo
Wzruszyło sen głuchy, błysk widać z okrętu,
I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drzymie,
I okręt zabrzmiał szatańskim śmiechem;
Lecz nim śmiech skonał trzykrotnem echem,
Czajki stadami błysnęły w dymie.
Pobledli Turcy... Oto kozaki
Na pierś okrętu rzucają haki,
Drą się na pokład. Nad pogan karki
Widać wzniesiony miecz Atamana,
I nad turbany pióro Hetmana,
I atamańskiej odgłos janczarki.
Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,
Miece się Żmija okropnym bojem;
Gdzie walczył Basza, syn młody Baszy
Na wpół makowym spity napojem.

„Ojcze!“ do Baszy rzekł Selim młody.
„Giniemy, pozbądź niewczesnej dumy.
Łódź okrętową spuścić do wody;
Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy,
Uciekaj, ojcze!“ — Na środek skoczył,
I pośród tłumu swój turban biały
Błyskiem krzywego miecza otoczył.
Jęk na pokładzie, janczarki grzmiały.

Pośród pałaszy w błysku i dymie
Hetman młodego spotkał Selima;
I dwa się miecze starły olbrzymie.
Żmija miecz wroga na mieczu trzyma,
A drugą dłonią z janczarki błysnął,
Strzelił pod maszty, i płomień nagle
Szybkim poskokiem wpłynął na żagle,
Aż na banderze złotej zawisnął:
I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem..

„Byłaby walka w cieniach schowana,
Trzeba ją takim oświecić blaskiem...
Oto pochodnia błyszczy Hetmana.“
Z trzaskiem pożaru znów szczęk oręża
Słychać, i dźwięki hartownej zbroi.
Miecz straszny Żmii jak żądło węża
Krwi wroga szuka i krwią się poi.
Koszula Żmii utkana w druty,
Hartowna wprawdzie na próbę kuli,
Lecz miecz Selima w Damaszku kuty
Przedarł druciane węzły koszuli.
Krew popłynęła aż na kobierce,
Co okrywały Baszy okręty.
Żmija się zemścił — ugodził w serce,
Schylił się Selim jak kwiat podcięty,
Upadł na pokład ze chrzęstem stali;
Padając, okiem rzucił po fali,
Przez fale płynie łódź okrętowa,
Tam jego ojciec. — Selima głowa
Spadła na piersi...

Czajka wesoła
Znów ślizką piersią roztrąca piany,
I na błękitne wpływa limany;
Nad limanami z ołowiu czoła
Wież Oczakowa widać wysoko;
A wież turecka załoga strzeże.
Dostrzegło czajek pogańskie oko,

I wiankiem ognia błysnęły wieże;
Dym widać srebrny, huk słychać głuchy.
Lecz czajki ciche, ciche jak duchy,
Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała,
Płyną wstecz Dniepru dalej! i dalej
Znów z wież tureckich zagrzmiały działa,
Lecz huk bezsilny skonał na fali.

Jak cudnie błyszczą czajek szeregi,
Słońce pozłaca barwy orszaku;
Jak cudnie błyszczą dnieprowe brzegi,
Kwiat oczeretów szkarłatem świeci.
Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku
Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;
Lub w oczeretu kwiatach ukryty,
Patrzy na czajki, na fal błękity.

PIEŚŃ POWROTU.

Czajki! czajki! Sicz przed nami!
Oto brzegi Zaporoża!
A daleko, za czajkami,
Już pożarów gaśnie zorza;
I wśród morza,
Między mgłami
Płonie wielkich masztów sosna,
Siła żaglów spadła.

Gdy nam błyśnie nowa wiosna,
Znowu zadrży dzicz wybladła,
Znowu zagrzmi śpiew janczarek;
Lecz w tym roku dość zachodu,
My do miodu!
Z brzękiem czarek
Pijmy w naszej Ukrainie
Miód nasz przepalony.

Gdzieśmy byli, kto popłynie?
Za trupami chyba wrony,

Wrony czajek przyjaciółki,
Co śmierć kraczą Asawule;
Kiedy kule
Jak jaskółki
Nad czajkami, po przestworzu
Lecą chmurą czarną.

My kozacy siejem w morzu.
Gdy się z wiosną plony zgarną,
Pełnym workiem piastry świecą
Podłe, jako liść zżółkniały;
Jak wleciały,
Tak wylecą.
Przez pół roku pan dostatni,
Kozak Wojewodą.

A gdy wyjdzie piastr ostatni,
Znów z Kijowa Dniepru wodą
Do chat naszych. — Kozak śpiewa,
A gdy nędze zakłopocą,
W łodziach nocą
Lśnią łuczywa;
I do ciemnej Dniepru wody
Cicho sieci toną.

Miło błądzić, gdzie ogrody
Wschodnich Baszów, kędy płoną
Złota blaskiem jabłka duże;
Lecz się milej schylić z konia,
I wśród błonia
Polną różę
Zerwać, zanieść z ranną rosą
Lubej w upominku.

Pierwej fale wyspy zniosą,
Niźli kozak dla spoczynku
Tknie się pługa... gdy raz złotem
Da zakupić ręce panu,
Wśród limanu
Zlany potem,

Zlany łzami, będzie w stożec
Składał kryształ soli.

O! nie pójdzie Zaporożec
Zaprzedany do niewoli
Błądzić!.....

O cicho! cicho drużyno!
Czy tam widzicie żagle za nami,
Żagle się galer bielą za trzciną,
Za kozackiemi płyną czajkami.
W Czertomeliku płyńmy ostrowy,
Tam będą czajek bezpieczne floty:
Próżno nam buńczuk zagraża złoty,
I pierś galery i żagiel płowy.
Oto na brzegu nasze rodziny...
Czajka ma czucie, wierność brytana,
I tak jak brytan o stopy pana
Tak się o wodne otarła trzciny.

PIEŚŃ V.

BASZA.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.
Jakże mu piękne zdają się chaty!
Róża je polna ubiera w kwiaty,
Malw różnobarwnych drżące kolumny
Aż po nad strzechy rosną i kwitną.
Owdzie spróchniałe skrzypiąc żurawie,
Sięgają w studni wodę błękitną;
Tam Zaporożec napawa konia,
Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,
I gwarząc z echem, wraca przez błonia,
Kiedy wieczorna zabłyśnie gwiazda.
Na śpiew szczekaniem pies się odwoła.
Chaty wiszące w parowach sioła,
Jako jaskółcze czernieją gniazda...

Ale dla Turków jakże zdradzieckie
Czertomeliku wysep zakręty!
Gdy w nie galery weszły tureckie,
Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.
I tak za czajką płynące wrogi
Co wprzód grozili, blade od strachu,
Nie mogli znaleźć powrotu drogi,
Jakby w egipskim zbłąkani gmachu.

Kozak spokojne porzucił chaty
I biegł na brzegi; tam pop z gromnicą
Przywdziewał lśniące złotem ornaty,
Trzykroć oświęcił Dniepr kadzielnicą,
A gdy odmówił z księgi pacierze,
Rzekł do Hetmana: „Mój wierny synu,
Czy wierzysz w cudy?“ Hetman rzekł: „Wierzę.“
Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu
Oświecił blade lica Hetmana.
A pop rzekł dalej: „Więc w imię Pana,
Jeśliś ochrzcony, weź obraz święty,
Gdzie malowana Bogarodzica,
Zanurz do fali, niechaj okręty
Zatoną — zgasną jak ta gromnica.“
Rzekł... i gromnicę rzucił do wody.
Tłum cały milczał, a Hetman młody
Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;
I malowidłem cudownem błysnął,
Lecz nim tknął fali ramą obrazu,
Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.
A pop zbladł drżący... zbladła drużyna...
Hetman zawołał: „Czemuż bledniecie?
Jeśli pękł obraz? nie moja wina,
Spróchniał w tureckim wisząc meczecie.
Ale ten okręt zastrzągł do mułu,
Turków wytracę przed wschodem słońca;
Jednego tylko zostawię gońca,
By o tem zaniósł wieść do Stambułu...

Cóż ten szmer znaczy?... czyż szabla Żmii
Tak się na karkach tureckich starła,
Że już kozackiej nie tknie się szyi?!
Do chat, kozaki!... niech myślą Turki
Że już drużyna nasza wymarła:
A gdy noc głucha padnie na wzgórki
I na parowy... być w pogotowiu
Na odgłos trąbki... Do chat, kozaki!..."

Już przy zachodzie dnieprowe ptaki
Czaple się kładły do snu w sitowiu,
Galera piersią nie miała wody,
A spód jej ledwo w trzcinach widomy;
I nad zielone wysep ogrody
Wyrastał wielki maszt nieruchomy.
Słońce złociste, niećmione mgłami,
Tonie w oczeret... blaski niknące
Spały na żaglach, a nad żaglami
Zwieszały liście brzozy płaczące.
A jeszcze wyżej, na żaglów szczycie
Bandera Baszy połyska złotem;
I jeszcze wyżej, w nieba błękicie
Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok... Niech Turki marzą,
Że są panami stu wysp na Niżu;
Niech śpią głęboko... bo już na krzyżu
Usiadł jak do snu sokół stepowy,
Smutny wszedł miesiąc z płonącą twarzą
I na zamglone patrzał ostrowy.

Cichość posępna i noc głęboka.
Na straży Turek zbrojny połyska,
I z chat kozackich nie spuszcza oka:
Ale po chatach gasły ogniska.
Turek odmawia modły proroka,
I tak się rajską otoczył chwałą,
Że ani dostrzegł, jak pośród cienia

Mierzonym razem światło łyskało,
Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie, kiedy Turków ogrody
Bogatym w kwiaty błysną granatem,
Tak zdala trzciny nad Dniepru wody
Nagle rozkwitły ognistym kwiatem.
I blask pozłaca ciche brzóz czoła,
Czterech płomieni błysnęły koła;
A gdy znalazły upływu łoże,
Pobiegły szybko, w jedno się zlały,
I wnet ogromne pożaru morze
Pod okręt wzniosłe toczyło wały.

Na krzyk strażnika ze snu zbudzeni
Zbiegli się Turcy. Rozpacz straszliwa!
Rozpacz bezsilna! morze płomieni
Suche okrętu deski podmywa;
Zawyli strasznie i odurzeni
Umilkli... Cisza spadła straszliwa.
Potem w tej ciszy, galerom znana,
Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła,
Wstali kozacy na czarnych skałach,
Rzekłbyś, że zemstą dzicz ta zaciekła
Gasi pragnienie w ognistych wałach.
Na nagich głazach, obwiani w dymie,
Jako posągi stali olbrzymie;
Rzekłbyś, że dusza ich marmurowa
Nie słyszy jęku, głosu rozpaczy.

I słychać grzmiące Hetmana słowa:
„Druhy! nim płomień Turków obsaczy,
Kto do okrętu dopłynie z wodą,
Jeśli jest Basza? Baszę wyszuka,
Baszę wykradnie, takiego kruka
Bogatą piastrów uczczę nagrodą."
Kozacy milczą... Za skarby świata

Któż pójdzie w piekło?... Patrzcie! sam Żmija,
Jak istna żmija ogień przelata,
I padł do fali; wśród fal się wzbija,
I znów zatonął... Tam iskry padły
Ho! ho! z tej wanny nie wyjdzie cały...
A teraz słychać Turków wystrzały.
Widzę go znowu, gdzie tłum wybladły,
Wpadł... Oto Turek w rękach Hetmana.
Już maszt się pali, już żagiel spłonął.
Hetman do fali z Turkiem zatonął,
A płomieniami fala zawiana;
Miło to płynąć w takie ukropy!
Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,
Na znak tureckie rozwija szale;
Wąż mu się — Turek wije z pod stopy.

Nad rankiem, kędy oczeret płonął,
Błękitne tylko krążyły dymy.
Galerę Baszy pożar pochłonął,
Na skałach czarne znikły olbrzymy.
Tak na skinienie Hetmana ręki
Wznoszą się ognie, gasną pożary.
Po wyspach słychać wesołe gwary
I dzikie śpiewy, torbanów dźwięki.
Czemuż tak głośne wesele w Siczy?
Czemuż się tłoczy lud do tej lipy
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyczy?
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?
Czy mu chorągiew przysłał król polski?
O! nie stąd radość... Pośród drużyny
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,
A w klatce siedzi Basza Natolski.
Przed kilku dniami stu miast był panem,
Zamykał tysiąc dziewic w haremie,
Był ojcem syna; a dziś bez ziemie,
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem;
Z Hetmanem dzikie żywioły w zmowie

Zniszczyły miasta, a zgraja dzika
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie,
Ale cierpienia w sercu zamyka,
Gdy go raniło goryczy słowo,
Na wzgardę chował twarz marmurową.
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,
Gdy z urąganiem wystąpił hardo
Kozak ubrany w zbroje Selima,
Basza na niego spojrzał z pogardą;
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne
Syna pamiątki, piersi nabrzmiały,
W oczach się długo dwie łzy zbierały,
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemnem skrzydłem noc się nasuwa,
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.
Tam zbrojny kozak, stojąc na straży,
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.
I okolica mgłami zawiana.
A teraz słychać hasło strażnika:
„Kto idzie?“ „Hetman!“ „Witam Hetmana!“
Żmija milczący klatkę odmyka.
Potem odwraca twarz zamyśloną:
„Precz stąd, kozaku! Żmija na straży.“
Wszedł zgięty, odkrył lampę tajoną,
Potem ją światłem podniósł do twarzy:
„Żyć będziesz, Baszo! wzgardę przeżyłeś.“
„Znasz mnie?“ „O znam cię! znam cię, szatanie,
Syna zabójco! krew za krew stanie...“
„Baszo, mojego ojca zabiłeś.
Blask cię buńczuków zaślepił wabny,
Tyś go oczernił, ty od Sułtana
Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,
I sam na Baszę! i sam na pana!
Ja słabe mając do zemsty ramię,

Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,
Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,
Widziałem głowę ojca na bramie;
I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną
Tę bladą głowę widzę przede mną,
Jak mnie krwawemi ściga oczyma.
Lecz teraz Żmii cienie nie straszą,
Sen mój kupiłem śmiercią Selima,
Jeszcze krwi twojej trzeba mi, Baszo.
Krew swoją oddasz za łzy Zulemie,
Łzy, które lała w twoim haremie;
Lecz w równej walce oddasz ją zbrojny.
Teraz idź za mną, nie bój się zdrady."

Szli oba we mgłach. Basza spokojny
Oczy obracał na księżyc blady.
Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wybrzeży
Wznosi się zamek nad Dniepru wały.
Koło ogromnej środkowej wieży
Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały.
W wieżach się smutny puszczyk odzywa,
Śpi blask księżyca i mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali;
Po ścianach błyszczą zbroje, a z góry
Blask od kagańca padał ponury,
I słychać zdala szum Dniepru fali.
W dalszych komnatach, o dziw nad dziwy!
Jakie tam cuda w zamku dnieprowym?
Na ścian wysokich tle lazurowem
Płoną lamp gwiazdy, kobierców niwy
Kwiatem zabłysły, a kwiat tak świeży,
Jak gdyby z ranną rosą zerwany.
Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;
W zwierciadłach oko bieży i bieży,
Nową odkrywa salę za salą.
W każdej te same lampy się palą.
Czy to są czary? tak długim gankiem

Mógłby wędrowiec zajść aż do Boga.
Z marmuru sali cięta podłoga,
A delfin złoty obrzucał wiankiem
Kryształ, co daje miłe ochłody,
A światła płoną pod szkłami wody.
Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty,
Oko zalśnione w ciągłym zachwycie,
Przez okna sali bieży z komnaty,
Bieży odpocząć w nieba błękicie;
I wpada nagle jak w otchłań ciemną,
Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną,
Złota się nagle ściana odkrywa;
I nowa sala . . . Sali połowa
Alabastrowem światłem zaćmiona,
W połowie ze mgły spada zasłona,
A za mgłą srebrną znów jasność dniowa
Gdy na złocistym siedli dywanie,
Na znak Hetmana zdala za mgłami
Zabrzmiały arfy, słychać śpiewanie
Stłumione zrazu echem i łzami
Cichej fontanny . . . Potem ze śpiewem
Dwanaście dziewic kwiaty kobierca
Depce — i płynie z zasłon powiewem.
Basza dłoń prawą podniósł do serca,
Potem zbladł cały, oczy odwrócił,
I twarz rękami zakrył obiema,
I rzekł: „ Mój sztylet tak mię porzucił,
Sztylet niewierny, jak ta Zulema,"
„Baszo! rzekł Hetman, ona szczęśliwa,
Z waszych pałaców bierze podarki;
Dla niej po morzu czajka ma pływa,
Błyszczą pałasze i grzmią janczarki;
Dla niej to Żmija przez długie lata
Zdradzał i zaprzał swego proroka,
I twarz zmienioną nosił dla świata,

Choć w sercu była rana głęboka.
Hetman i razem wróg mej drużyny,
Często, przebrany, z bracią Tatary
Na własne sioła niosłem pożary;
Często przez długie, długie godziny,
Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,
Jak wąż ukryty pomiędzy trawy,
Patrząc na słońce, leżę dzień cały,
By choć dzień jeden ukraść obłudzie,
By świst kozackiej usłyszeć strzały;
Sokół mnie poznał prędzej niż ludzie,
Tak twarz wprawiłem, aby udaną
Nosiła barwę. W takiej niewoli,
Jak liść dwubarwny srebrnej topoli,
Cierpiałem mękę — niewypłakaną.
Gdym własne sioła palił i burzył,
Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,
Błogosławili... Ale już blada,
Już gwiazda Żmii mroczy się, spada;
Gdy w mojej dłoni pękł obraz święty,
Odkryją zdradę, spadnie ta głowa,
Przeklną!..." Głos grzmiący przerwał mu słowa:
„Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!"
I przed Hetmanem stanął w komnatach
Ze srebrnym krzyżem pop w czarnych szatach.

PIEŚŃ VI.

WALKA.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!
Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie
Barwił powieści. Dziś kto uwierzy,
Jacy to byli żelazni ludzie,
Jakie to były zamki zaklęte,
W czarnych cyprysach dusze zamknięte?
Takie powieści śpią niewierzone,
Takie powieści kryją klasztory,
Gdzie mnich, przez szyby patrząc barwione,

Światu nadawał tych szyb kolory.
Dziś kto uwierzy? że na skinienie
Ręki Hetmana, we mgnieniu oka,
Zagasły światła. — Arf kona brzmienie,
Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga,
A Hetman mówił z twarzą wesołą:
„Biada, kto tutaj w imieniu Boga
Wstąpi w czarami skreślone koło.
Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony!
Zostaniesz moim gościem na wieki,
Słońca nie ujrzą twoje powieki,
Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;
Nikt nie usłyszy jęku prócz Boga."
Skinął, zapadła nagle podłoga.
Pop, przeniesiony w lochy podziemne,
Zniknął — i słychać było westchnienie...
Znów skinął Hetman, a na skinienie
Dzień świateł wpłynął w komnaty ciemne.
Gdy się rozjaśnił, obaj rycerze
Znów przez te same wyszli podwoje,
I do narożnej wstąpili wieże,
By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stalą podszyty,
Piersi drucianą kryje koszulą,
I miecz Damaszku z dwóch mieczów zbity,
I ciężki czekan z kolczatą kulą.
Tak uzbrojony, lekki i rzeski,
Za pasem sztylet zawiesił Fezki;
Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny
Używa w stepach Tatar budziacki;
I już był gotów. Hetman kozacki
Bezpieczniej wprawdzie, lecz ciężko zbrojny,
Zakuł pierś mężną w pancerz ze stali,
Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą;
A z piór i włosów na hełmie kitą

Rośnie we dwoje do sklepień sali.
Kopią wstrząsa do rzutu celną,
Przy boku błyszczy miecz obosieczny.
Tak z Baszą sercem i zbroją sprzeczny,
Wychodził staczać walkę śmiertelną...

Już się na biały dzień zabierało,
Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone
Chmury nadrannym wiatrem kręcone,
Już się z mgłą dolin mięszały białą.
I słychać oddech poranku świeży,
Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;
Świegocą wróble na zamku wieży,
Napół uśpione między kaliny.
I księżyc blady i gwiazdy bladły,
Szarzeją światłem nieba błękity;
A kawki krążąc stadem obsiadły,
I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiedli do czajki obaj rycerze,
Płynęli z wodą. Hetman ponury
Patrzał na wichrem kręcone chmury,
Na mgły tumany, na zamku wieże;
A jego serce, choć stalą zbrojne,
Tak mocno bije, tak niespokojne,
Jakby w przeczuciach; zadrżał, i nagle
Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,
I pędził czajkę; ta w szybkim biegu
W chwilę na drugim stanęła brzegu.
Tam z serca trwogę odpędził płonną:
„Jak los osądził, rzekł, niech się stanie.
Baszo, czy walczysz pieszo? czy konno?“
„Gdy Arabczyka dasz mi, Hetmanie,
Ujrzysz, jak lekko na siodło wskoczę,
Jak z konia biję i koniem toczę.“
Hetmana trąbki słychać odgłosy:
Wnet, nauczone, na trąbkę pana
Dwa szybkie konie lecą przez wrzosy:

„Biały twój, Baszo! czarny Hetmana.“
Oba rycerze siedli na konie,
Oba pędzili szybko przez błonie,
Póki kaganiec z wież Oczakowa
Nie błysnął gwiazdą ze mgły wywity
Za wodzą Żmii stanął koń wryty,
A Hetman rzecze: „Na próżne słowa
Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.
Tam twój Oczaków, kędy się palą
Mnogie kagańce w masztowym lesie,
Tam twoje wieże, do wież tych progu,
Gdy mię zwyciężysz, koń cię zaniesie,
Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą.“

Rzekł, ściślej zamknął w przyłbicę czoło,
I czarnej tarczy okrył się skrzydłem.
Basza jak jastrząb krążył wokoło,
Na różne strony zwijał wędzidłem,
I rzucał czekan i koniem toczył.
Tarcza Hetmana wydała dźwięki,
Trzykroć od tarczy czekan odskoczył
I na rzemieniu wrócił do ręki;
Trzykroć odskoczył — za czwartą razą
Zgruchotał twarde hełmu żelazo,
Lecz ugrzązł w hełmie. Żmija zań chwyta,
Nie pośpiał Basza odciąć rzemienia;
Tak związanego, gdy zbył strzemienia,
Hetman pod końskie ciągnął kopyta.
Skrwawiony ostem i oczeretem,
Czołga się Basza jako gadzina;
Żmija miecz wznosi, Basza sztyletem
I lewą ręką rzemień przecina,
Wstając pod koniem, ów sztylet srogi
Aż po rękojeść wraził pod strzemię.
Rumak Hetmana runął o ziemię,
Lecz Hetman szybko powstał na nogi,
Odrzucił dzidę, miecza dobywą;
I znów grzmi walka, walka straszliwa!

Daleko słychać szczęki pałaszy,
I tarcza daje odgłos jak dzwony.
Już krew turecka, krew świeża Baszy,
Lśni po burzanach jak kwiat czerwony;
Ten widok siły Hetmana dwoi,
Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,
Podniósł i spuścił, lecz raz był mylny,
Sam padł, zwalony ciężarem zbroi;
Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy
Tłoczył mu piersi, wzniósł sztylet mściwy,
I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,
Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,
Podniósł pancerza i pod pancerzem
Wbił po rękojeść, aż krwią zapłynął.
Basza siadł na koń, spiął go ostrogą,
Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;
Lecz nie do Turków, do Oczakowa;
Na północ wsteczną poleciał drogą.

Już zniknął... Blado wschód się czerwieni,
Już się oddala tętent po wrzosie.
Tu koralową barwą jesieni
Błyszczą burzany w srebrzystej rosie,
I szpaków stada po nieba sklepach
We mgle się kąpią i lgną na łozy.
Gdzie dwie samotne płakały brzozy,
Hetman kozacki konał na stepach...

Ciszej!... tam jakiś śpiew obłąkany,
Z echem przez suche płynie burzany;
Pieśń taka smutna, dzika i rzewna.
Oblana złotem słońca promieni
Zbliża się postać, jak cień niepewna,
Dziewica mogił — to młoda Kseni!
Pieśń jej, jak lutni niesfornej głosy,
Nagle skonała, krzykiem ucięta,
Bo koło Kseni skrwawione wrzosy;
A choć przyłbica Żmii zamknięta,

Już go poznała — tak dziewic oczy
Wprawne w miłości, choć obłąkane.
Ale napróżno wyśledza ranę,
Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.
Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,
Żmiję do życia wróciły bole;
Spojrzał i poznał, lecz nie rzekł słowa,
Ani się zdradził nagłem poznaniem.
I była cisza, cisza stepowa,
Przerwana czasem łzami i łkaniem
Smutnej dziewicy. Kseni oczyma
Ściga wejrzenie zgasłe Hetmana;
A Żmija oczy wlepione trzyma
W stronę, gdzie mglistą chmurą owiana
Wznosi się zamków Siczowych wieża.
Nagle blask ognia stamtąd uderza,
Potem się rozlał do Dniepru fali,
Między wieżami płomień się wije.
„Zdrajca,“ rzek Hetman, „Kseni, klnij Żmiję!
Oto mój zamek, zamek się pali!
W zamku twój ojciec!... A Basza mściwy
I nad nią jeszcze zemsty dokonał.
Przekleństwo jemu!“ westchnął i skonał.

Zaledwie skonał — przez kwiatów niwy,
Rzucając za się wzrok niespokojny,
Na koniu Turek przeleciał zbrojny,
I zniknął we mgle... Śmiech dziki Kseni
Smutnie po rosach zabrzmiał. „Mam syna!
Ojciec mój skonał pośród płomieni.
Syn mój jak świeża rośnie kalina;
A Hetman... Syn miał ojca Hetmanem,
I żyć nie będzie pod innym panem.
Lecz wam, kozacy, wam nie pokażę
Syna mojego — w grób go zakopię;
Ale krew jego przyniosę w czarze,
I krwią mogiłę ojca pokropię.“

Jakie tam było po chatach łkanie!
Gdy wieść okropna biegła przez sioła.
Zgasłeś! wołali, zgasłeś, Hetmanie!
Któż, jak ty w czajce lotem sokoła,
Z nami na Czarne popłynie morze?
Kiedyż takiego ujrzymy pana?
Kiedyż drugiemu słać będziem łoże
Gruzami z wielkich gmachów Sułtana?...

Wieją tłumami kozackie kity,
Hetmańska trumna już nad mogiłą;
A w trumnie Hetman leży odkryty.
Coś mu się we śnie strasznego śniło,
Bo wyraz wzgardy w twarzy wyryty
Z żaglów tureckich śmiertelna chusta
Spowiła ciało. Złotym obrazkiem
Pop go opatrzył, posypał piaskiem,
Kawałek chleba włożył mu w usta,
Zgrają tym samym obdzielił chlebem;
A gdy wymówił ostatnie słowo,
Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.
Lecz jedna z płaczek szła za pogrzebem,
Śmiechem zbłąkała pieśni odgłosy;
A choć wesela taić nie umie,
Na przekór śmiechom, jak srebrne rosy
Łzy jej do wielkiej płyną łzawicy;
A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,
Gdy w czarę padło światło gromnicy,
Kołem się wszystkie chmurzyły twarze.
Widzieli wszyscy, krew była w czarze!
I krew do grobu wylała cieśni . . .
Padła, skonała. — Konaj, o pieśni!

Warszawa-Drezno 1831

OBJAŚNIENIE.

Romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi. Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wał ogromny, wałem Żmii nazwany; niektórzy sądzą, że Żmija był jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią Żmii niósł wielki kamień, chcąc nim kościół przywalić i, przerażony kura zapianiem, głaz na stepy upuścił. Idąc za pierwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohaterem mojego romansu i z nią powiązałem różne przez historyę wspomniane wypadki. I tak, prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne Morze, spalili wiele miast Natolii i Cylicyi, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przedmieście Pera zanieśli. Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele św. Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w pamiętnikach o dawnej Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Stamtąd powziąłem wiadomość, iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądckiego, po części z Beauplana wyjęte; za czasów tego ostatniego, widziano na najwyższej z wysp Czertomeliku ruiny zamku, tak postawione, aby ich woda, wiosną inne wyspy zatapiająca, dosięgnąć nie mogła. — W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie, zapędziwszy się za czajkami, zginęły w labiryncie wysp Czertomelickich obłąkane; tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz tej obławy starałem się wiernie w pieśni pierwszej romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich w czwartej pieśni opisany. Niekiedy, idąc za duchem poezyi ludu ukraińskiego,

chcąc obraz żywiej wystawić, porzucam sposób opisowy, i opowiadanie wkładam w usta sternika kozackiego, nie sądzę zaś, aby taka wolność imaginacyę czytelnika obrażać miała.

Wiersz dziesięcio-zgłoskowy w niniejszej powieści użyty, a może nadto wyraźną miarą nieprzyjemnie mordujący ucho czytelnika, w mojem jednak przekonaniu najwłaściwiej do takiego rodzaju utworu zastósować się daje. Z użycia takowego wiersza wynikała potrzeba, nie inne jak dwunasto- lub ośmio-zgłoskowe łączyć z nim rytmy; tak, ażeby średniówka zawsze w połowie wiersza przypadać mogła.

LAMBRO.

LAMBRO

POWSTAŃCA GRECKI.

POWIEŚĆ POETYCZNA.

W DWÓCH PIEŚNIACH.

PIEŚŃ PIERWSZA.

. . . . . Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd . . . . .

MILTON.

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po tej drodze puści żaglów loty;
Kołysz go, falo, i łódkę Majnoty
W samotną morza obłąkaj krainę,
I tam mu powiedz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach aż pod Salaminę;
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad niemi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.

A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.
Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,
Gdyby ci ludzie, jak są skamienieli,
Ileżby nowych posągów przybyło
Łamanych wiecznym bolem Laokona.
Tu, nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,
Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął;
Blady jak starzec, co na ziemi przeżył
Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Że się nie chmurzy żalem ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nic odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,
Przed tureckimi uciekając gwałty,
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.
Ipsara skalnym błyszczy stroma brzegiem,
Podobna córce głazowej Tantala;
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem
Kryształowemi upłakana łzami.*)

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,

*) Te cztery wiersze są tłómaczeniem z Antygony Sofoklesa.

Barwy ma szare, od tła nie odbite,
I lasem masztów na poły schowane.
Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien od łuny zachodu,
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
Co chwila bladsze, co chwila gasnące,
Już zaszły mrokiem, ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło...
Chociaż to miasto na pół obumarło,
Gwar słychać w mieście, bo bezludne gmachy
Głośniejszem odgłos odbijają echem;
Gwar smutny, rzadko pomieszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniące perłą rosy
Palą się róże, smutno słowik śpiewa;
Przez szczyty murów na ciche ulice
Wonnych akacyi zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błyśnie z poza kraty;
Księżyc turbanu olśni bawełnicę.
To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem:
Gdzie wielkie kotły wrącą źródeł wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omroczy
Wprzód, nim zezwoli iść do wspólnej wanny.
Tam woń arabskich napojony duchem
Przechodzi Turek w marmurowe sale:
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
Kłamane dalej w zwierciadeł kryształ
Tam Grek usłużny obiega w około,
Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu:

Do ziemi chyląc osiwiałe czoło,
Nalewa mokkę w łono róż z Japonu;
Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowej tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza, jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze,
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu
Widać w połowie wychyloną różę;
Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów głowice,
Tam nieruchome wyznańców turbany
Porosły kołem jak łąk tulipany;
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsaryota,
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna,
Niegęsto nićmi przetykaną złota.
Widać z gitary, znać po blasku oka,
Że z pieśnią sioła i grody przebiega...
Wnet go tłum Greków do koła oblega,
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi,
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Alraszyda?
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jak gdyby liczył tureckie turbany;
A potem spojrzał w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzał, znalazł dźwięk w gitarze.

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
Miłość ją kraju i rozpacz uprzędły.
Tu zżółkłe twarze, może serca zwiędły?
Miałem tu znaleźć ludzi, widzę trupy.
Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni, lecz na pół otrucia,
Wyście przywykli zabijać pół czucia,
I zmartwychwstawać, lecz pół zmartwychwstaniem.
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
Jest jako fala umarłego morza:
Co jej powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,
Da nieśmiertelność kamiennego łoża,
Kwiat w niej nie tracąc barwy kamienieje.
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
Często podobny sam do zimnych głazów,
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga,
Często go słuchacz odbiegnie wesoły...
A pieśń, co ledwo dopłynie połowy,

Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potem chytra bezsilnych odbiegła.*)
Widziałem walkę, widziałem to błonie,
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty...
Powietrze chmura proporców krajała,
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa;
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,
I grad pocisków wyrzucały spiże;
A stąd, zachodnim złocone promieniem,
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,
Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.
Potem je dymy spiżowe pożarły,
Mignęły w ogniu złote, i pobladły.
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale...
Lambra tureckie ominęły gromy,
Wdarł się na skałę, całą noc na skale,
Patrzał na groby, na groby bez końca!
I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca...
A stamtąd poszedł błąkać się po świecie.
Lecz nie samotny, znalazł się ktoś drugi,
Co przy nim giermka podjął się usługi;
Kto to był taki? — może odgadniecie.

*) Mowa o Katarzynie Carowej, która Greków podburzyła do powstania i zdradziła oczekujących od niej pomocy.

Po długich latach, z krainy wygnania
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania;
Pieśń grzmiała w dzwonach, była to pieśń Rygi.*)
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy:
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony,
Gdzieniegdzie snuł się Kleft, lecz zakrwawiony,
I z krwią miał rozpacz przysechłą do twarzy.
Płacz, narzekanie wstrząsa Greków chaty,
Echami skał się rozpłakały łona.
Jutro, wołają, na maszcie fregaty
Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
Ostatnie słońcem złocą się filary.
Koło klasztoru bez czoła kolumny
Stoją jak palmy pozbawione liści.
Tam mnich pracuje koło własnej trumny,
Tam od tureckiej uciekł nienawiści...
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
Nieraz do broni powoła Majnotę;
Nieraz od Turków okrążone wieże
Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem,
Z tych okien błyszczą śpiżu paszcze złote,
I mnich pokorny staje się olbrzymem.
Nieraz rozpaczy naglony potrzebą
Rozwala miną poświęcone ściany;
Rzekłbyś, że mnich ten chce zdobywać niebo
Skał odłamami, jak dawne Tytany.

Na niższych skałach cmentarz muzułmanów,
Czerwony, cichy, pełny drzew i kwiatów,

*) Sławny hymn powstańców napisany przez Rygę.

I dłutowanych w marmurze turbanów,
Jak odłam z rajskich oderwany światów
I przesadzony na skalne urwiska.
Tam byłem wczora... Słońce zachodziło...
Za marmurowe skryty grobowiska,
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą;
Widziałem Klefta i Greczynkę młodą:
Ona, do Peri podobna urodą,
Jak była piękną, wyraz nie okryśli!
Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,
Kiedy się potem obudziłem z myśli,
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,
Jak gdybym długo patrzał w twarz księżyca.
Snać, że jej życie był to czas pokutny
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
Miała na twarzy smutek, lecz nie żałość,
Barwę koralu łzą nie opłukaną;
Rumieniec tonął w bezpromienną białość,
I w białych szatach stała między drzewa
W pół przeświecona blaskami zachodu,
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,
Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
I wierne rysom członków nosił szaty:
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
Co się od słońca w różne barwy łamie,
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
I miał kapotę rzuconą na ramię,
Białą jak śniegi, i pas złotolity;
Nogę złoconym wiązaną rzemieniem,
Małą misiurkę, której aksamity
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem;
Na niej z misternie ułożonej z wici
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionemi przemawiali słowy,
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę,
Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam.
Na twojem czole z przerażeniem czytam
Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
W każdym odłamie iskra się zawiesza,
A każda czystym lśni tęczy promieniem:
Lecz na twem czole jakiś szatan miesza
Rozpacz ze śmiechem, śmiech blady z cierpieniem...
Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
Łzami, lub gorzką trucizną laurową.
O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,
I czasem czuję, że pociechy słowo
Ma dźwięk szyderczy i na serce spada.
Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
Widzę, jak przy nas stojąc, rozpacz blada
Czekała szczęściem niepełnej godziny,
Aby się poznać z nami — i być z nami...
Czekała długo, przyszła choć nie skora;
Ze wspólnych myśli jednego wieczora
Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi.
Milczysz?...“ —

„Dziś nie chcę zabijać słowami.
Bo każde słowo do serca utonie,
I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;
A potem długiem rozpamiętywaniem,
Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
I potem, potem — cała przyszłość twoja
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.
O! patrzaj na mnie, ta złocista zbroja
Dzikiego Klefta nigdy nie stroiła,
Zmieniłem szaty, tyś serce zmieniła.

Winnaś wyczytać na pobladłem czole
Myśli ukryte i obecne bole,
I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
Tak jak wędrowiec wśród grobowych głazów
Nie umiesz czytać napisów cmentarza?
Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...
Jam dzisiaj królem błękitnawej fali,
Mszczę się... Dziś czarna bandera korsarza
Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa;
I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;
Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
Kłócę niebaczny spokojność anioła...
Napół przeklęty, napół zapomniany,
Rozpalam ogień miłosnej pochodni,
I wiążę serce dwoma talizmany:
Wielkością nieszczęść i wielkością zbrodni.
Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
W głębi twej duszy — jak Anioł upadły,
We krwi skalany, w dział omglony dymie,
W blasku brylantów i złota wybladły.
O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
Kędy pod stopą zżółkłe liście kruszę,
I gardzę liściem, co ścieżki pozłaca
Barwą uwiędłą, lecz szum ich zasmuca!
Wolę, niech moją łodzią fala rzuca,
Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
Morze — to wielka mogiła stworzenia,
Dumającemu na niej myśli płyną.
Nieraz na fali umieram z pragnienia,
Jak obciążony tantalową winą,
I mogę niebo przeklinać i morze.
Usłałem sobie rozwalane łoże,
Co mi piastunki daje kołysanie;
Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz

Często mię zorza śpiącego zastanie,
I nie obudzi skrwawem światłem — nieraz
Działo mi dając ranne powitanie,
Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
Aby w tem życiu żyć jak najmniej — nie snem.
Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
Lina zerwana ujęciem niewczesnem;
Mam jeszcze czucie, bo dziś mię rozczula,
I łzy mam w oku, gdy rozryje kula
Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
Wycięty z rosłej Epiru topoli,
Co mi rodzinne wspominał rozłogi;
Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,
Jak gdybym szydził, że niezręczni byli
Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli
Ze mną przez długie lata trosk, cierpienia,
Jak krwi tygrysy, druhy, niewolniki...
Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
Skamieniałego serca nie poruszy...
Ze złotem stawię człowieka na szale,
A potem złoto rzucam w morskie fale,
Jakby w tem była jaka wielkość duszy."

IX.

Słucha dziewica, jej rumieniec mglawy
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał...
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
Twarz jej oświecił, we łzy się rozpływał,
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
Że słów kochanka wydawał się echem;
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
Gdy obumierał zadumaniem senny,
Podobną była do niewiasty Lota
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem

W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...
I tak posągów brała kształt nieżywy,
Tak opuściła bezwładnie ramiona,
Że z ramion szata płynąca do ziemi
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usty drżącemi
Mówił: „O luba! wybacz, że te słowa
Zanadto czarną malowały duszę;
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
Patrzeć, jak cierpią i śmiać się szalenie.
Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
To już nad moje siły, nad sumienie!
Czy wierzysz, luba? ja się wyznać wstydzę,
Ja, korsarz krwawy, ja ludzi morderca!
Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,
Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.
O luba! teraz niech się ludzie boją;
Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
Znajdę ich, zbudzę... jeśli nagłem zgonem
Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.
Na mojem czole widzisz dumy znamię,
To jest przeczucie sławy; tam, tam w dali
Widzę okropną przyszłość, ale sławną!
Precz te obrazy... Luba! jakże dawno
Z tobą po obcych błądziliśmy światach?
Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,
I w oberwanych po liściu róż kwiatach
Naszej przyszłości? Z tobą moje losy
I z tobą dotąd wiążę myśli moje.
Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,
Szaty poprawiam, brylantami stroję,
Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach
Mój własny obraz wyraźnie odbity;

Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
Aż póki czyste wróci mi zwierciadło
Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladłą
I mniej posępny, i smutny, i młody.

„O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych, co płaczą, czy to krwią czy łzami.
Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
I nie przebacza tym, co toną w błędzie;
Patrz, jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,
Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
Zamknij się w cichej celi, i ze skały
Patrzaj nocami na rozległe morze,
I błękitnemi po fali oczyma
Mojego statku ścigaj żagiel biały.
A gdy zagrożą fali niepokoje,
Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
Razem popłyną w niebo, jedną drogą,
Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek,
Jutro nim zorza świtem się rozpali,
Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,
Odziana płaszczem bogatych Turczynek.
I miej kalemkiar ciemny z musselinu,*)
Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;
Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.
Jutro, pamiętaj! tam łódź moja czeka,
Gdzie się przy skale załamało morze.
Ja sam przebrany w tureckim ubiorze
Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.“

*) Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

Skończył, a kiedy z ostatniemi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło...
Nie wiem... to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem, czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
Potem portową groblą odłamane,
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;
A brzeg wysoko szarzeje granitem;
Wyżej palm błyszczy zieloność wesoła.
Te palmy w niebo sięgające szczytem,
Jako nam istność malują Anioła:
W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
Co się z cichego morza wydobywa!
I ten las masztów, jako las jesienny,
Z którego burza północy gniewliwa
Połowę jasnych liści poobrywa;
A pozostałym da rozliczne szaty,
Liść Statudera złotem się pokrywa,
Róż Albionu płonią się szkarłaty,
Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słysząc szum żagli, słyszysz jakby we śnie
Gwarzące różnym językiem narody...
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
Jakby mówiły doznane przygody,
I prześcignięte z wiatrami zawody.
A fala milczy, choć może w niej tonie
W tej chwili okręt nadziejami młody;
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie
Uczuła fala, lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt troistą opasany śpiżą
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,
Omglił się dymem, dział rozesłał huki,
I wtenczas niby szatana był tronem.
Gdy wiatr poddany dym unosił hyżo,
Wszystkie go maszty witały pokłonem;
A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
Nie ma wyrazów język niezaskarbny
Malować słońcem ukazane czary.
Jako rozkwitłe Nilu nenufary
Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;
Jak odświeżone muszle i kamyki
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
Spłynęły żaglem oskrzydlone łodzie.
Tam turban kitą ozłocony świetną,
Tam srebrna dziewic zasłona powiała;
Od łodzi fala różny połysk brała,
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru.
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,
Była doliną, szalem kaszemiru.
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.
I tak jak chciwe sępy albo kruki,
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
W bogatych łodziach, po morskiej topieli,
Z męczarni Greka różne brać nauki.
Wielu jest w tłumie, co się śmiać nauczą,
Śmiech taki wrzkomo wielkość serca kłamie!
Wielu stąd wróci i miecze rozłamie,
Co jutro w królów miały tonąć łona.

Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą;
Nieliczny może z męczarni wyłamie
Prawdę, że skonać nie trudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród janczarów;
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali,
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry.
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
W szmer się zamienił gasnący, ponury,
I była cisza... Z ciszy wybłąkana
Pieśń między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem;
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:
Powstańcie, Grecy! ale Grek nie słyszy,
Powstańcie, Grecy! brzmiało — ale ciszej
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy...
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy.

XIII.

Widziałem! ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
Widziałem wszystko, i tłumiłem łkanie...
On był tak młody, nie zmrużył powieki,
Choć śmierć tak blizka! choć śmierć tak straszliwa
Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa,
Jeszcze go widzę, jak pod nieba stropy
Na rusztowaniu stanął — i smutnemi
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości, marzeniom młodości.

Wtem szczeble pękły, wymknięte z pod stopy...
Nie mam wyrazów... Któż mu nie zazdrości
Śmierci teutońską sprowadzonej zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannej otrząśniony rosy
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów jedna łódź ożyła;
Jak po jeziorze trzcinami zarosłem
Wężową ścieżką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy
Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy.
A łódź, jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmęt lazurowy
Równa powierzchni morza, tak że piana
Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasimi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Nie bacząc niby, pod srogiemi kary
Wzbronione łodziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w tej złocisto-malowanej łodzi
Ujrzeli postać dziewicy, i głośno
Śmiejąc się wszyscy, wszyscy przeklinali
Szatę turecką, zamkniętą, zazdrośną,

I ów kalemkiar z musselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem,
Że go powiewy wiatru nie odwiały,
Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.
Ta pod zasłoną róża niewidoma
Snać z ciekawością dziecinną haremu,
Może przejęta zgrozą, nieruchoma,
Chciała się bliżej przypatrzeć zmarłemu?
Może się pod tą zasłoną ukrywa
Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,
Z takim uśmiechem te ziemskie Anioły
Widzą zgon róży, serca, lub człowieka.

A wtem okrętu piersi niedaleka
Łódka uczuła silny popęd wiosła,
Biegła po fali, z fregatą się zrosła:
I wnet z jej łona dym się wybił szary,
A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzał na pożary;
A gdy mu płomień ramiona otoczył,
Odrzucił turban i do fali skoczył.
Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,
Przed kulą w morzu zanurzony zginął...
Po chwili błękit pianą się zakłócił,
Majtek na fali powierzchnię wypłynął,
Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił...
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła,
Śmiech ten poznałem, był to śmiech korsarza,
I twarz poznałem, to twarz Lambra była.

XV.

Spłonęła łódka, a w dymie z lazuru
Błękitna siarka błyska — z razu blada

Całuje okręt jak czarę z marmuru,
Jąć się nie może, ślizga się i spada,
Wgląda na pokład, potem z trzaskiem nagle
Czerwona dębu zajęła się ściana,
I w dymu kłębie iskra zabłąkana
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
Spodem okrętu roztwiera szczeliny...
Pękały szyby i rwały się liny,
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
Odgłos rozpaczy w trzasku się lega,
A tysiąc jęków, było jednym jękiem...
Ucichły razem... huk płomieni głuchnął;
Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
Nagle w płomieniach nowy blask wybuchnął.
Jak tknięty różczką czarowną Aniołów,
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął,
Zostawił przepaść, i w niej wrącą pianę.
I wszystkie łodzie burzą kołysane,
A na nie chmura upadła popiołów.

XVI

Takim był Ryga uczczony pogrzebem...
Nie poszedł próchnieć w marmurowe lochy,
Stos miał wzniesiony pod błękitnem niebem
Z dębów i trupów; jako do łzawicy
Do czary morza spadły jego prochy.
Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!
Anielskim niby ożywiona duchem,
Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII

A Lambro w morzu przechował się cały,
Do korsarskiego dopłynął okrętu;

Przywołał pazia, i napój omdlały
Padł na kobierce, mówił, a z odmętu
Myśli zburzonych płynie mowa skora,
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita...
Mówił do pazia: „Już pora! już pora!
Zmienić banderę... ale czy powstaną?
Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta,
Może powiedzą: szalony! za rano!
Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
Paziu! idź w góry, gdzie się Klefty kryją,
Do marmurowych zazieraj kawiarni,
I pieśń im śpiewaj, i zobacz, czy żyją?
Zobacz, na grobach czy płaczą mściciele?
Lecz wróć jak zwykle lać napój makowy,
O każdą kroplę napoju się spierać;
Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
I ciężar myśli... wypiłbym za wiele.
Dzisiaj chcę marzyć dłużej, i spać dłużej,
Ale żyć muszę, z Grekami umierać...
Idź, dobre wieści przynieś mi z podróży..."
Poszedłem...
Śpiewak cały się zapłonił.
Czuł, że się słowem nieroztropnem zdradził;
Kryjąc zmięszanie, silnie w lutnię dzwonił,
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
Obejrzał koło Greków... myśli czyta.
Zaśmiał się gorzko, rzucił wzgardy okiem
I wyszedł... Za nim śpiesznym wyszła krokiem
Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
Może ciekawa pieśni tajemnicy
Za odchodzącym paziem zawołała?
Potem z nim długo, długo rozmawiała
Na osrebrzonej księżycem ulicy.
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
Snać gorącemi prosiła go słowy...
Musiał zezwolić, bo na jego ręku
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa,
Piekło to było... i te same słowa
Co na piekielnej wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,
To się rozprysną, ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy;
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty,
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrżał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła.
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
Malowana na przemian śmiechem, bolem, wzgardą;
A potem się w bezwładną spokojność przybrała —
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.

I spoczywał bezwładnie, na stole oparty,
Przed nim rozwite świata znajomego karty,
Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
Lampa, co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
Tam dalej blask księżyca rzucony na progu
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony, z obcej wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam, lampa oświeca pergaminu kartę,
Firman złotem w sułtańskie ustrojony słowa;
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
Od sułtana samego głowy mało mniejsza,
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców z ojczyzny;
A sumieniem kajuty są ścienne zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci pobladła,
I co dnia zasłonami grubszemi ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha.
Jego myślom, w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,
Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegoż paź czeka? — powinien co nocy
Podawać czarę, w niej napój makowy.
Bo Lambro, co dnia bladszy, o północy

Szaleje trucizn namiętnem wypiciem;
I życie mieni na sen gorączkowy.
Sen tak jasnemi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara, o kroplę pełniejsza,
To same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła, źrenica świetniejsza,
W ciemność wlepiona, krwawa, potem biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli... wtenczas cierpiał, szalał,
Żebrał u pazia trucizny nad miarę.
Lecz paź jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,
Paź jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy, choć mu twarz pobladła;
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem gorączkowej mary
Owego widma płonącej fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcem Anioła zatraty.
Więc nie chce trucizn, ale czy wytrzyma
Przez noc zwyczaju przełamać narowy?
Obłąkanemi spogląda oczyma
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy
Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoty.
Powietrze szkliste, pełne tajemnicy,
Księżycowego blasku i tęsknoty.

I tak się błękit ochylił do koła,
Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła
Pod kryształowem sklepieniem błękitu.
A w drżącej fali jak srebrne delfiny
Igrały wkoło blaski księżycowe,
A dalej mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe,
Na widnokręgu nieraz czarna skała,
Albo w lodowej — albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie.
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napełnia ogrody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie w zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo, ciekawie śledzi rysów lica...
Twarz jego straszną bladością przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżyca.
Odeszli... Lambro osłoniony w żagle
Patrzał na morze, na odległe skały,
I patrzał długo, dumał... potem nagle
Zachwiał się, chylił i upadł omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy.
Blady był strasznie, napoły nieżywy.
I paź krzyk wydał z piersi przeraźliwy,
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbielałe na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu roztlała, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
„Kto tutaj jęczał, kto tu płakał po mnie?

Jeden znam tylko taki głos na ziemi,
W płaczu z miłosnym pomięszany dźwiękiem.
Paziu, płakałeś łzami nie twojemi,
Ty mnie zabijesz takim drugim jękiem!
Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie
Dziwnym połamał myśli moje kształtem;
I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
Z letargu wstałem... gdzież ona?... tu była!
Nie, tu paź tylko. Jakże mię boleśnie
Noc ta urokiem ciszy przeraziła!
Noc księżycowa, czemu nie ciemniejsza?
I noc przeklątem i morza zwierciadło.
Morze tak ciche, czemu burz nie miało?
Gdy w nie patrzałem, moje czucie mdlało,
Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,
I mgły na serce spadały jak śniegi.
Lecz to minęło... niechaj noc przemarzę.
Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
Niech wiem przynajmniej, że w obfitej czarze
Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;
Nie spełnię całej, chociaż drżącej ręki
Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
Lecz nie chcę skonać, póki ziomków jęki
Będą pacierzem i grobu hymnami."

Wnet paź, posłuszny rozkazowi pana,
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kształtnie dłutowana,
Niepełna z roślin wytłoczonej śliny;
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,
Blady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień obłąkania świta,
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,

Że można było przejrzeć w nie daleko,
Straciły barwę — stały się iskrami,
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowemi pokryły się łzami.
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni,
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne,
I wszystkie żyły wybłysły na skroni,
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy jak liście jesienne
Drżały na czole wiatrem nierozwiane;
I w marmurowej na pozór postawie
Rozkołysanie widać zmysłów piane.
A o czem inni śnią, widział na jawie,
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały
Rozcięte widma jednem życiem drgały.

Ciszej! bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękicie...
Dzikiej rozkoszy urok niewymowny
W naglonem tchnieniu zamknął zmysły, życie,
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie,
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię
W lekkiej powietrza pławiło go fali;
Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął i nagle tysiące błyskawic
Wieńcem ognistym mignęły do koła.
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic
Wiało tysiącznym mieczem archanioła
Pogasły, w błękit stopiły się ciemny,
Tak przezroczysty, głęboki, tajemny
Jak nieskończoność... I słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza
Wykwitał mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony,

Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całem niebie. A jedna połowa
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i blada, jak noc księżycowa,
Cała w przezroczu błękitnawo szklista;
A druga strona posępna, ognista
Jak piekło. Wielkie zwierciadło egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niem schylone duchów karyatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z blizka ogromne, jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze, i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał tchnąć, bo choć wyniosła
Była duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,
W otchłań człowieka tchnieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał i tchnienie połykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Kleftów oddawna pomarłych widziadła;
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bladzi — posępno-srebrni lub ogniści,
Lekcy i liczni, jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.
Ale dotknięci żywego oczyma
W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
Widać, że znaczni rysami Kaima
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów;
I przed oczyma Lambra, napół sini,
Napoły lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemskiemi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na srebrno-ognistej pustymi.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Milionowe patrzały nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Palące uczuł znamię duchów wzroku,
I drżał, gdy szmerem rosnącym potoku
W ciszy setnemi głosy zawołali:
„Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?“

VIII.

Straszna twarz Lambra łamana cierpieniem —
Otworzył usta, chciał mówić, i nie mógł...
A potem słowo złamane westchnieniem
To słowo „żyję“ rzucił z głębi łona...
I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,
Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał wokoło... „Paziu! daj mi czarę;
Za mało trucizn zapalonych piłem,
Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...
Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie...
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
Co razi serca tonące w zachwycie!
Być jako wieko przysypanej trumny,
Co zrazu każdej garści zapomnienia
Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
A potem milczy... Paziu, chcę marzenia!
Lej mi trucizny, pić będę — pić będę,
Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,
I tej ostatniej, co serce przejada,
Paziu, daj czarę...“

„Próżno błagasz, panie,
Tej czary żadna nie zdobędzie siła,
Bo dziś, jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci...“

Nie skończył. Lambra przerażony wzrokiem,
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochylony naprzód stąpił krokiem,
Patrzał w twarz pazia i krzyknął: „to ona...“
O nie! to widmo z piekielnej otchłani,
To mi upiora przysłali szatani,
Aby tak za mną wiecznie szedł po świecie...
Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie,
Że ona żyje, i tylko dziś rano,
W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;
I tym podstępem omyliłem straże,
Palnego statku Turcy nie poznali... —*)
O! gdyby ona spłonęła w pożarze;
Chciałżebym z morskiej wynurzyć się fali?...
Pocóż to widmo?... we mnie, lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jej twarz się mienią? paziu! chodź tu do mnie,
Chodź! niech przy lampie...“

Lecz paź nieprzytomnie
Nalewał napój w pozłacaną czarę,
I z drżącej ręki niezliczonych wiele
Kropel trucizny upadło nad miarę.
I szedł zachwiany i stąpał nieśmiele,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął, że ją cieniem
Swojej postaci nachylonej mroczy...
Lambro miał usta spalone pragnieniem;
Oczy, sennemi tłoczone ciężary,
Z oblicza pazia upadły w głąb czary.

*) W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami czyli tak zwanemi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby niepewne boleści przeczucie.
Znów mu się senne ukazały barwy:
Ciemno-ognista i miesięcznej bieli;
I znów te same widział kleftów larwy.
Stanął w ich kole, słuchał, lecz milczeli.
A przed kleftami stali dwaj anieli:
Jeden, ognisty jak piorunu strzała,
Bezkarnie wzrokiem człowieka nietknięty,
Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istność księżycowa, biała;
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.*)
Widać, że kiedyś był Boga aniołem,
Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły,
Musiał je zrosić ów anioł upadły
We łzach człowieka nad świata padołem.
Ma w ręku czarę, z której błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli...
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA.

Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pienisz — i mętna
Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?
Czy sława paląca, czy miłość namiętna!

Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga!

*) Wiersz naśladowany z Miltona.

Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu
Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mnie więcej, i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu
Szarańcza złowroga;
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła;
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybiło się wieży tysiące;

I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące
Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła.
Myśl zemsty mrącego narodu.

A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały,
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;
Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,

Gdy głośne łez będą rozpacze,
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać spłakana,
Że z niemi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera,

Mnie światło dnia plami,
Mnie księżyc otwiera

Jak kwiaty, co kwitną nocami,
Ja czekam, aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.
Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.

HYMN ANIOŁA.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży przebiegane falą żółtawą płomyków,
Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.

A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy,
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy,*)
I lecę ich żony zabijać i dzieci,
Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci,
Ani ich w morza opłuczę kryształy.
I lecę miasta zamieniać w pustynie;
A w miastach ludzie czują, że ja lecę
W srebrno-błękitnej, w nadpowietrznej rzece,
Co nad krętemi ulicami płynie.

Z sułtana powracam ja grodu;
Sto głów dziś sułtański ściął miecznik;
A każda na postrach narodu
Z bram miasta jak żółty słonecznik

*) Zaraza która w ostatnich czasach mściła się na Europie opuszczającej naszą sprawę, podała mi myśli połączenia anioła zarazy z zemsty aniołem.

Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą,
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwią płaczą, gdy łez im nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem,
Mścijcie się, rzekłem, dam broni...
Czarnym zarazy łańcuchem
Sułtańskie grody związały,
W meczetów zakradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza;
Lud martwe dał jej pokłony.
Głowy, jak królów korony,
Świecą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Z syryjskiemi łupy
Jak okręt przez wały
Po morza błękicie
Do portu zawiałem.
I stał oniemiały.
Nie puścił szalupy,
A na żaglu szczycie
Nad cichemi trupy
Ja anioł siedziałem.

Lud widząc bitny
W grobów popiele,
Chciałem, by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów płomyk błękitny
I mścij się za nas... Duch grobów wziąłem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mnie zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia.
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło tchnienia.
Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany;
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany
Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli
Nawet szatani marzeń się przelękną.
I rzekł: „O Duchy! o ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich Odalisk,
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną, ona będzie żyła,
Dla niej utworzę, pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden...
I nie sam będę... choć klasztorna krata
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą...
Szalona zemsta!... burzę świat sam jeden.
Mamże być znowu piekieł Danaidą,
I krew lać wiecznie do tej czary świata,
Co się krwią nigdy napełnić nie może.
Czyż się beze mnie sam nie zemścisz, Boże!
To są anieli twoi... ci... przede mną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną,
Ale nie mogę wyłamać z niej słowa.
Słuchajcie, ludy, mścić się nie za rano...
Nie... dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa...
Jutro — dziś w marzeń upływam potopie...
Jutro. Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu, i dam czarę ludom...
A one może w chwili obłąkania
Odepchną czarę... wieczna im mogiła;

Jeżeli czarę od siebie odrzucą,
Jeżeli usta dlatego odwrócą,
Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojmę, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów
Zemsta człowieka i zemsta narodów...
Jest w sercu... w myślach... moje myśli gasną...
Znów mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętem.
Powietrze zda się wielkim dyamentem,
W którym kolory grają i płomienie,

Szatani! o ciemni szatani!
Jak płyną wirem obrazy!

To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawej strony anioł zarazy,
A z lewej anioł ognisty,

Liny z promieni...
I morza obrus błękitno-szklisty

Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białemi nie szumi żaglami;

I tylko czuję, że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Posępny, okryty mgłami.
I mgła błękitna pobiela
Uciekające wstecz brzegi,
Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widne... tam palma drżąca,
Jako kapłan Izraela,
Do cichej twarzy miesiąca
Wznosi dłonie, twarz odwraca
I mówi modlitwy szmerem.

Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem,
Tylko czarne cyprysy, niedotknięte gromem,
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny...

A tam... Kolonny wybrzeże,
Białe posągów narody.
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak Babilońskie ogrody,

I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam, gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,
Wybłyska jedna, druga i czwarta kolumna;
Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.

Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzymsy marmurowe
Zaniosła gniazdo? skonała
W tych gmachach wiara i chwała,
A ta jaskółka nie skona?
O nie... to chata Santona*)
Na gzymsów zawisła szczycie.
Posępna wokoło cisza...
Przed chatą postać derwisza
W nieba skreślona błękicie,
Jako posąg nieruchoma...
Modli się... depcąc świątynie."

Lambro marzył.. a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się, i łza wstydu po licach mu płynie.
Patrzał w anioła zemsty, w anioła zarazy,

*) W Atenach na gruzach świątyni Jowisza, Santon derwisz turecki zbudował chatę.

I oba stali cicho, posępnie jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie.
„Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie,"
Rzekli... i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów, meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotemi głoskami
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękicie.

Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu,
Anioł zarazy siada na sofijskim szczycie.
I patrzy na stolicę... Gdzież sen mój? ciemnieje.

Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
W którem czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,
Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło.
I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,
Tak, że nic widzę, nic prócz myśli własnych.
O męka! męka! z tych obrazów jasnych

W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma.
O jak głęboko pośród myśli tłumu
Wzrok mój zabiega, jeszcze dna nie trzyma,
To wzrok ocknienia... to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty..."
Tu korsarz zamilkł, sam w sobie zamknięty,
Długo na łożu leżał rozciągnięty,
Potem się zerwał, krzyknął: „jam otruty."

X.

Zrazu się wahał i myśli przędziwa
Żadnemi na jaw nie śmiał wydać słowy,
Jakby się lękał, aby śmierć skwapliwa

Nie rozwiązała wpół zaczętej mowy;
I widać było, jak na jego czole
Ze snu chmurami łamały się bole.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;
I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany,
Nad bladym paziem dłoń wzniesioną trzyma.
Palił się cały, potem cały stygnął...
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
„Paź błękitnemi ściga mię oczyma,
On ma twarz Idy, zabić go nie mogę!
Idź w świat, tam ludzie wszyscy ciebie godni,
Obłudą w serca wkradaj się tajemnie;
Ty się ode mnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga, szczęścia nie ucz się ode mnie!
Idź, weź to złoto... może niem zapłacisz
Za snu godzinę, za czarę trucizny.
Weź i tę czarę, wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
Niech do tej czary twoje dzieci własne
Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zaśniesz, jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny, bezsławna i marna
I nadto wczesna... Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl: ta wykarmiona
Rosła jak bujne, głuszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy, rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwej godziny,
A wtenczas dusza, rozwiązana z ciała
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
Wtenczas koło mnie stałyby wokoło
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niechby widzieli, że śmierć była w czarze;

Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem
Śledzili we mnie męstwa, niedostrzegli...
I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli.
Widzę ją, widzę, tam, z błękitnem okiem,
O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną
Takie obrazy. Wściekłość mnie porywa!
To paź... to ona... martwa... jeśli żywa?
Ja konam! konam! chodź ze mną! chodź ze mną!
Paź upadł we krwi. Lambro drżący, blady,
Zbył w nim sztyletu, szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady,
Pot miał na czole, usta wpół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przeklęci.
Na czole myśli biegające tłumem,
Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci.
Niepomny zbrodni, którą był wykonał,
Sennemi słowy trzykroć pazia woła;
Paź jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głęboko, chciał mówić i skonał.
Lambro spalony truciznami bladnie,
Potem się drżący przyczołgał do stoła,
Chwycił za czarę, w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,
Śmierci przyśpieszył, lecz marzeń przysporzył;
Jak lampa blaskiem ostatnim się palił.

XII.

„Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność, jako ciemna chmura,
Świat opłynęła; myśl, gdy w nią pobieży,
Wraca zbłąkana i znów się zamyka

W sennych marzeniach, moja nie wróciła...
Już nie mam myśli, odbiega mnie — znika.
Raz nad świat wzbita, nie jest częścią świata.
Zna nieskończoność, znała piekło, żyła.
Niech jak zabójca pierworodny brata
Leci płomienną naznaczona blizną,
W małej z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną...

. . . . . .

O jak tu ciężko... poco pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? ta woń kwiatów nudzi!...
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! rozbić szklanne stropy!
Czy mi się zdaje? żali w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy
Podobne z siebie jak krew dają wonie?

. . . . . .

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie:
Sławę... i zbrodni przebieżone stopnie,
I krew — o sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

. . . . . .

Wyście mnie wpletli w koło Ixyona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumu zanurzony fali
Nie mogłem czołu wznieść nad tłum, cierpiałem.
Precz, ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć!
Świeć, blada lampo, kiedy ja się mroczę,
Świeć i świeć jutro nad korsarza ciałem...
Dotknąłem lampy i całe przezrocze
Krwią poplamiłem. Tu wrogi być muszą...
Wpadli na pokład i krew się rozlała.
Słyszę nad głową, jak się deski kruszą,

Jak pierś okrętu rozbijają działa.
Chodźcie tu wszyscy, choć mam twarz pobladłą,
To nie od trwogi... Chodźcie wszyscy razem!
Jeszcze nad głową powieję żelazem...
O jak mi ciemno!... więc wszystko przepadło?
Przekleństwo temu, co pomiędzy tłumem
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,
Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem
Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.
I okręt z głębi łona westchnął głucho...
W głąb idę..." Upadł na dywan i zasnął.

XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki..*)
A teraz... słychać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni...
„Cicho?" rzekł, cóż to oboje uśpieni?"
Więc nieco tajnej otworzył latarni,
Rzucając kołem kilka młodych promieni.
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przezrocze,
Widać przechodnia... Pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem.
I równie blizki postawą jak strojem:
Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,
I mniej był młody i piękny na twarzy;
Bo na niej uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odciśnięte,
Świadczą że bolem przed latami dojrzał;
Że miał już serce na czucia zamknięte.
Stał, słuchał chwilę, potem ku drzwiom spojrzał.
Chciał niezgłębioną rzucić tajemnicę,

*) Otruci napojem opium usypiają, lecz przed śmiercią budzą się.

I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Znów się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniej: „Pani! pani!“
Już ranek świta. . Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną, korzystajmy z cieni...
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga
I on się budzi... korzystajmy z mroku...
Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni nie chcę czekać kary,
Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary.
Pani! odpowiedz... chwil mamy nie wiele...
A korsarz... Cóż to? podłoga zroszona,
I krew... na martwem spotknąłem się ciele.
Lampę odkryję... O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach, to ona — zabita.“
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota,
Martwy z przestrachu, przerażeniem ożył.
Sojrzał przez okno, krzyknął: „świta! świta!“
I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy,
Deszczem spadały do morza błękitu,
Inne blask zorzy płonącej pochłonął.
Lambro otworzył mgliste snami oczy;
Połową czucia jeszcze we śnie tonął,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
Lecz boleść była nicią Aryadny,
Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny, co się karmi łzami,
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom ukradzionych snami

Większem cierpieniem i bolem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwem ciałem
I rzekł: „sztyletu głowicę poznałem.
To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
Umrzeć nie mogę; ale w tłum wmieszany
Konam — i ludzie koło mnie padają
Jak oberwany z drzewa liść stokrotny.
O! boleść! boleść! umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonej ściany!
Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie
Głośnemi jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie
Nie na człowieka, lecz na tłum upada...
Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,
Ujrzę twarz pazia — czy mściwa i blada?

XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało
Zdjął zawój pazia ze strusiemi pióry...
I uderzony jak gromem, o mało
Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartej źrenicy lazury.
Upuścił zawój, sztyletu się ima...
Potem przypomniał śmierć, sztylet odrzucił...
Bo miał na ustach gorycze napoju.
I z obłąkaniem odszedł i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącemi
Zdejmował zawój; wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi
Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew, co się warzy,
Co poplamiła jej szat aksamity,

Na twarzy smutek i miękka omdlałość
I przezroczysta alabastru białość;
Kilka uwiędłych kwiatów w martwej dłoni
Trzyma na piersiach, a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za wezgłowie skroni.
W takiej postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
On tak jak ludzie, co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy, wstydzi się cierpienia.
A gdy mu własne serce zlitowane
Niosło jałmużnę łez i użalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie
Boleści ciała brał i nie wydawał.
Ale po chwili, nowych cierpień nawał
Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi i krwawemi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny
Skądże ta rozpacz? oto w głębi łona
Uczuł niknące cierpienie trucizny,
I myśl okropna, że siłami ciała
Bole zwycięży — trucizny pokona,
Że się wyłamie śmierci — zabijała.

„Tak, rzekł posępny, pochowam ją święcie
W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz, aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą
Nie przeszła stopa ani cień kobiety...
Miałżebym pierwszy łamać dane prawo?
Mogliby ze mnie urągać niegodni!
Przed niemi trzeba kryć wszystko, prócz zbrodni.

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichemi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno lazurowe,
Złociste słońcem, osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki,
I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzał w odmęt ciemny i głęboki,
To na jej lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał obliicze
Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy;
Wtenczas czuł włosa wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień żalem.
Ani go zmarłej twarz raziła zbladła;
Na płeć jej niegdyś płonącą koralem
Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
Widząc jej kształty, zda się, że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lękliwa.
Zda się, że szumem morza przerażona,
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra wiąże się oczyma,
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
Jeśli łzy nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objęć martwych się wyłamać,
Odrzucić z szyi ręce lilijowe,
I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury,
Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył...
Rzucił ją w morze i patrzał ponury,
Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;
Patrzał, jak odmęt zrastał się rozbity,
A martwe ciało na poły widome,
Na pół morskiemi przykryte błękity,

Wzruszonej morza fali się broniło,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome;
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro... on był szatanem, czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem
Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany blademi,
To były trucizn wracające bole.
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potem głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: „Majtku, niech pop okrętowy
Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy.
Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidł dymie
Za tych, co mają skonać na okręcie
I co skonali.“

„Panie! jakież imię
Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?“
„Powiesić pazia na masztowym szczycie.
Za niego modły niech wzniesie do Pana.“
„Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.
Twój paź gdzieś uszedł i zniknął od rana,
Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
Choćby się w gmachach zamykał sułtana,
Nakarmię kruki ciała jego ćwiercią.“
„To nic... Pop niechaj odmawia pacierze
Za konających i za zmarłych dusze;
Teraz ty odejdź... ja sam zostać muszę,“
I cicho dodał: „sam jeden ze śmiercią.“

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.
Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słychać było szeptane pacierze;
Szarawe kadzidł snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknością straszliwy,
Gdy majtki, patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice,
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze,
Umalowane czerwonemi świty,
Do fal rzucili ciało — i zniknęło...
I dział trzydzieści głęboko westchnęło
Na bezechowe otchłani błękity.

Paryż 1832.

W SZWAJCARYI.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty.
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do tej zbawionej, i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?

Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans kleić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny:
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka

Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.

Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blizko, złote, nieruchome,
I utopiły oczu błyskawice
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;

Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V.

Raz, że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny;
Wyspowiadałem się potem z tej winy —
Słuchajcie! Oto przed Tella kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...
A ja, ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić łzy i białe w niem obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie, mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednem światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach Sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,

I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchoma stała, a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria!
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej.
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kryśli,
Lub o błękitnych jakich myślach myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy.
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Tak jasność słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...
Ave Maria!

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem na sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba, tam pójdziemy z tobą,
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,

Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z Pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną.
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?

Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisień naokoło rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło:
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić..
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą:
Byliśmy niczem niestrwożeni, sami,
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,

Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była jak anioł, co myśli i słucha;
I nagle takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle, w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilia jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle, co bije,
Na jasnej łące myła twarz i szyję;

A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilia jedna cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I liliowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilia winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie.
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarzą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą
Aniołom Boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią, skarżąc się i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,

Że była grota posępna i ciemna,
I grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary;
I skarga smutna czystych Nimf, podziemna,
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,
I ptasząt nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tem? jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I niezkończoność całą miał obszarem,
I nie mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za dużo,
Albo, że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna.
Krążek księżyca tonący w błękicie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przezroczystszą białość,

Żywszy ust koral i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: „chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.“
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże.

Motyla miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegą serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy; kiedym spojrzał z góry,
Nasz ogród z wisień jak cmentarz ponury,
I niespokojne o nas gołębiec,
I zadumane o nas w łąkach trzody,
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle,
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się w twarz rzucał Chrystusowi.
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek . . . . . .
. . . . . .

XVIII.

Gaje! doliny, łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie,
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować,
I widzę usta; co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest od mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada, zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i — ach! nie umieram...
I co dnia budząc mnie fontanny, płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jednę ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała, lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych, różowa.

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

Genewa 1835.

ANHELLI.

STEFANOWI HOŁYŃSKIEMU.

NA PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ W ZIEMI ŚWIĘTEJ
I POD GÓRAMI LIBANU.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańcy na ziemię Sybirską, i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądremi i zostawali w bezczynności, mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny, ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz, jakoby i tabor i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistymi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy; był to cały lud Sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z wężów nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych także nieszczęśliwych i widziałem, jak żyli bogobojnie i umarli, mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden, oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.

Mówił jeszcze dłużej starzec ów, i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem Sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud Sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: zaprawdę, nie znalazłem tu, czegom szukał, oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś, Boże.

Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? dla czegóż ci ludzie mają ginąć?

Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady, rzekł: odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czem pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni.

Tak jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą.

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

Powiedziałbym wam, dla czego żyjecie, i dla czego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało; lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci. Choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamana zgraje: Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.

Na to im odpowiedział Szaman: słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między Sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze, niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnej Anioł, kiedym go wywołał z płomieni? spytajcie ludu mojego.

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce zczerniało jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. Oto proście Boga.

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.

Tak mówił Szaman, i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem Sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą obudził Szaman Anhellego, mówiąc mu: nie śpij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu, Szaman rzekł: powiedz! nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka; szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że Car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciątek.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się, zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owem próchnie człowieka chodziły skry... jak owe iskierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom, rzekł: nie lękajcie się; Bóg z wami.

Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny, krzycząc: staruszku, weź nas z sobą!

I rzekł Szaman: gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci, chcecież, abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed Panem Bogiem.

Odpowiedziały mu dzieciątka: weź nas i zaprowadź nas szerokiemi gościńcami aż do matek naszych.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą; my Polaki, odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych, aż Szaman począł płakać, uśmiechając się...

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu, i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy, patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustemi drogami Syberyi, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni przez kraty patrzących się na niebo, smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludzi niosących trumny, i zatrzymał je Szaman, każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli, widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: Szamanie, oto się boję, żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów; obudź tego starca z siwą brodą i z białemi włosami: bo mi się zdaje, żem go znał żywym.

A Szaman, spojrzawszy surowo, rzekł: Cóż więc? Oto go wskrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę, i dwa razy go wskrzeszę i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

Lecz niech będzie, jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwemi.

Tak mówiąc, spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: wstań! A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi, jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas, Anhelli rzekł: witaj, człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmędrszych.

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczył przed władzą i czynił owo wyznanie winy, o którem słyszeliśmy?

Dlaczego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojej? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżeś uczynił!

Zaszkodziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.

A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: zabiłeś go, Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którem nie wiedział przed śmiercią.

Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.

To powiedziawszy, zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: przebacz, bom nie wiedział, że mówię obmowy i oszczerstwo.

Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyłuszczaliście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

Przebacz mi, że was równam ptakom bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

O nieszczęśliwi! oto jeden na cmentarzu Sybirskim szuka spocznienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie i rozłączeni i umarli!

Usłyszawszy owe słowa wskrzeszony, krzyknął: mój brat! i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: nacóżeś mu powiedział o śmierci brata? oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

Stało się! Niech zakryją te trumny i zaniosą je na cmentarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych, którzy śpią i odpoczywają.

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberyi, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman, ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej, rzekł: oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

A teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między inszemi rybkami.

Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

Nie jest-że to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są.

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholia i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.

Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

Mówię ci o tem, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy

Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łoże w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi.

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: oto opuściłeś nas i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman uśmiechnąwszy się, rzekł: chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: chcemy! uczyń to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł: cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chcesz-li, abym ciebie uśpił i, duszę twoję wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom.

Anhelli odpowiedział mu: czyń, jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlokąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał, co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: Panie! widzieliśmy duszę twoję i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii.

Słysząc o tem Anhelli, obrócił się do Szamana i rzekł: prawdaż to jest? a Szaman rzekł: prawda, opętanyś jest przez anioła.

Cóż więc, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja, będąc wolną? powiedz, bo niepamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca i uciekała w tamtą stronę jak człowiek, co się śpieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc: oto chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców Barskich... ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębich i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleby i jabłka czerwone, a potem zaczął, jak zwykle, rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tem, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział, i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek Carowi, a był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie później zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbana, dopomniał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i sługę onego zbogacił.

A zabrawszy wszystko, celnik wychodził z chaty, mówiąc: oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niej wziąć dziesięcinę.

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł: Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych, co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo, nie upadały więcej.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc, że już jest godzina ranna, i umywszy pióra, wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz, odjechali.

A Szaman, zawoławszy Anhellego, rzekł: chodźmy stąd, albowiem gospodarz pytać nas będzie, jaką władzą to czynimy, a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.

Tak mówiąc, otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy bożej, która w nas jest, ale płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie, co je potępił, napisano było: na wieki!...

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącemi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu, i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczęka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedno echo, które mówi: żałuję was.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonemi głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych, co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant... Ten, o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyźnie.

A gdy przyszła wojna, siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosemi nogami; a gdy był ogień, przed szeregami stał, krzycząc: za ojczyznę!... za ojczyznę!

I przywołał go biskup i wydał katom w ręce, ale wprzódy zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

A katy pochwycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potem go w niej zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

Więc przywieziono go do kopalni, udawał, że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział, że był blady i smutny.

I poddał się rozpaczy i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego, rzekłem: bój się Boga! dlaczego się gryziesz?

I rzekł mi z wielką tajemnicą, jak człowiek obłąkany: zapomniałem wyrazów pacierza... i pogroziwszy mi palcem, abym był cicho, odszedł.

I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę ową pożywał.

A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach, jak zmoczone płótno namiotu, oczy zaś miał błyszczące.

A dziś nie wiem, jak umarł, bo oto spałem przy nim a nie słyszałem, aby choć westchnął.

A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam, był człowiek uczciwy.

Więc Anhelli obróciwszy się do Szamana, rzekł: to samobójca!

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi, rzekł: ten ołów zabójcą jest i doradzcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspokaja.

A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się!... podobny strzaskanej kolumnie.

Lecz przed wichry silnemi wam padać wolno... będziecie żałowani.

Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? kto wie, jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą, i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

Więc oto wiedz, że przed pięciu dniami upadła skała i zawaliła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny stary z pięciu synami, a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem, mówiąc: to długa praca, niech umrze.

A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją, lecz nie słychać nic w tej jaskini, nawet jęku.

Jeżeliś jest człowiek Boży, odwal kamień, może jeszcze żyje ojciec lub które z dzieci jego.

Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym, uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale

i stało się wielkie milczenie, a Szaman, podniósłszy oczy w górę, modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę, tak że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wziąwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies, co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte błyszczały jak szkło, a czworo innych umarłych leżało w blizkości, leżąc jedni na drugich.

I spojrzawszy na nie Szaman, rzekł: co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dlaczegożem się modlił!

Tak mówiąc, wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszli nad jezioro podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzie niegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: jest-że to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie są rybakami nieszczęścia?

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody z twarzą zadumaną, odpowiedział: pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, któ-

rego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłemi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnemi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmiu laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa, i uczuł wstrzęśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! i to powiedziawszy, upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata później, powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało, i policzywszy noce, poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcej: oto człowiek, który leży pod nim, był waryatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu, rzekł: czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.

I podniósłszy oczy, rzekł: Boże! Boże! prosimy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły... lecz nowonarodzeni niewinnemi są. Zlituj się, Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? czy to jest Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.

I rzekli na to nędzarze: oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem przybyła i cierpi za serce człowieka.

Chodźcie a pokażemy wam tę wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem, klęknąwszy przed cesarzem, błagał o życie, i dano mu je, pogardziwszy nim.

Tak mówiąc, przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak Anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go: coby to było, ów szczęk żelaza i bicie? a zaś aresztant odpowiedział: karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy.

A udawszy się na miejsce męki Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi stoją-

cych z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a we środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze jakoby dane przez ludzi litosnych.

Lecz starzec, odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: mój ojcze!...

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej.

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana, kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swojem miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nic broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba jakoby wicher, pytając: co czynicie, lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten, co był z lewej, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: źle czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chcecie, a zdejmiemy was? lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłemi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej i zadziwili się, spostrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: co się stało?

A przyszedłszy bliżej, strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał...

A powstawszy, rzekł do Anhellego: oto mi Duch boży oznajmił winę tego ludu, i wiem, dlaczego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana... co to za Anioł z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym uciechają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrzał na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego, spotknął się na niem, krzyknął boleśnie; ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy, Anhelli oglądał się wokoło i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

Otom zobaczył Anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blizko; jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie; sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dlaczegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dlaczego ja żyję?

Oto już jednego włosa niema na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A niema jednej kawki w powietrzu, którąby nie spała przez jednę noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzę się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.

A Szaman, zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

Cóż zrobię! Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilie wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych, i zamieszkały w tem, co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

A wieszli kto to jest ten Anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej i wnuczce Maryi Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieżdżą się i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.

Tak mówił i podniósł jedną z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyciągały główki przez miejsce, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość śpiącego człowieka.

A wziąwszy ją, rozgniewany Anhelli rzucił o ziemię, mówiąc: precz, kościele shańbiony.

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupim z infułą i z krzyżem na głowie, a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: oto przyszliście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Ręce moje łamały hostyę, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę, mówiąc: bądźcie przeklęci, burzyciele grobów.

Azaż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorale, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony.

Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc: oto jest krzyż.

Nie poszedłemże na wygnanie jak człowiek czysty? któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegóż więcej chcecie od ludzi, co umarli?

Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z niemi.

A to jest moja kość, ta kość spróchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja, a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberyi, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej.

Tak skarżył się; i przepraszał go Anhelli za obelgę kości jego, mówiąc: oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

Myślałem, że się smucisz za wzgardę kości twojej... jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? lecz niech tak będzie, jak się Bogu podobało.

A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym, i poszedłbyś, jęcząc po świecie.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego i zrzuć ogniste szaty i rozbierz się z płomieni.

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno, gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli, wołając: powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.

Skoro to wyrzekł, usłyszał z pod ziemi jakoby głosem tym, co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman, mówiąc: wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki, i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni; a stanąwszy Szaman pod oknami, słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić, zapalając się w smutku.

Cóżeście uczynili, rzekł, beze mnie? widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem, zostanie z wami. Bądźcie potępieni, kłótliwi ludzie.

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Pomrzecie.

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

Dlaczegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

Oto obraziliście ludy tej ziemi, i z oszczepami stoją, czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

Spotkałże z was kto kiedy Ostyaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę, koło psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

Zbliża się Wielkanoc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? Zaprawdę, nie krwią baranka.

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przelękli, lecz jeden z pijanych chwyciwszy za dzban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ująwszy więc za topór, Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman, mówiąc: bądź cierpliwy.

Kto tu za rok powróci, będzie płakał nad nimi; dlaczegoż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości.

Boże! nie karz ich.

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: czarowniku! urzekłeś nas, oto dzban był pełny i wysechł.

A inni, zajrzawszy w dzbany, potwierdzili to zgodnie, mówiąc: odczaruj nas, albo cię ukarzemy śmiercią.

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania; a jeden, wziąwszy nóż, wraził go w piersi Szamana, mówiąc: oczarowałeś nas.

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświecone gwiazdami, przemówił starzec: nieście mnie blizko grobowców, bo już zasnę.

Położyli go więc na jednej z mogił, i zimno śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy, starzec zawołał po trzykroć: Anhelli! Anhelli! Anhelli! a głos jego był smutny.

I rzekł mu: weź reny moje i pójdź na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła jak tamci.

Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

Boś czysty był jak lilia, biorąca z wody liście i kolory niewinne, boś mi był jak syn dobry.

Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej... Ani płacz, myśląc, że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: ktoś nadchodzi, czy to śmierć stąpa głośno?

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy napełnił wielkiemi łzami; i odwrócił się od niego Szaman, płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: chceszli mnie wziąć za brata? chodź ze mną. A ta mu do nóg upadła, mówiąc: Aniele mój.

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za nimi szli renowie Szamana, wiedząc, że za nowemi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc, Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi, mówiąc: oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos Boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liściane pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: czemże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie, bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi

powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojem ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to Anioł złoty stojący nade mną?

Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do Niej.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanię do Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* skonała.

I na znak cudu, upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego Aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się

z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloe, uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach,

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: idźcie na równinę Syberyi.

A patrząc w światło boże, zrozumieli Aniołowie, jaka była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą, ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce, gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się, Aniołowie ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wzdrygnąwszy się, rzekli: ludzie, co czynicie? Azaż to jest ofiara bogom piekielnym.

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a bogiem, który go przyjmie, jest głód.

Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszemi, i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności.

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. Przeklęty!

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś Anieli:

Nawróćcie się, rzekli: i proście Boga! albowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.

I roześmieli się głośno ci ludzie, nie wiedząc, że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: jakiż jest znak?

A wyciągnąwszy rękę, Anieli pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: Oto ten jest.

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich, jakoby szklane, nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: poznałem was, nie kryjcie się; Aniołami jesteście.

Przychodzicie li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.

I rzekł im, odpowiadając Anhelli: zaprawdę urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem tylko nędzę?

Czy przyszliście przerazić mnie, wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilija na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie! i powiedźcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej, to ją dam.

I przerwali mu Anieli, mówiąc: gubisz się, żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów.

Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?

I ukorzył się Anhelli, mówiąc: Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mnie:

Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami... do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

A wzrok mój jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fale jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę — nigdy!

A znowu przerwali mu Anieli, mówiąc: oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je miesza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz, przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiej. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzał na nie Anhelli i zawołał: gdzie wy lecicie, o mewy?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: tu był żołnierz, niech wstanie.

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na pier

siach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz, a Eloe, powstawszy z nad trupa, rzekła: rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak dyamentowe źródło, i tak wonne jak lilie wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej!

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

1834.

WACŁAW.

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie M a r y a odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić, ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa

poprzedzające poematy *) przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

I.

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy,
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni.
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,

*) Równocześnie z W a c ł a w e m Słowacki wydał „O j c a Z a d ż u m i o n y c h“ i „W S z w a j c a r y i“ r. 1839 p. t.: Trzy poematy. (P. W.)

Gdzie teraz gołąb lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowem oku,
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku.
Czy wiesz, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Że zemścisz syna, ojca, matkę, brata,
W tej błyskawicy, co na szabli lata.
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilia będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu, na takich Aniołów
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy;
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i z daleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze
Gorsze niż w grobach zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
Gorsze!... Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów,
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach,
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było —
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą...
Chciałbym powiedzieć: W Imię Ojca, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnem kole,
Jak trup śród ludzi, jak upior przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł, nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem;
Ani posłane z poselstwem od matki,
Kiedy go w rękę całowały dziatki,
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione; bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa,
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc łzy miał w oku;
Lecz przerażenie z boskiego wyroku
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza;
A gorzej, wiedział to sam, że odstręcza;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,

Czego się sługa, dziecko, słońce boi.
Więc już od dawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą;
Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;
A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotą
Rzucał się sprośny lud na jego złoto,
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie;
A wtenczas sercu jego biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko, jak anioł obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowemi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma, i wzdycha, i wierzy
W ostatnią pomoc, w moc dziecka pacierzy
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eolionem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotej kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku,
To czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana

Dusza w dziecięciu bladem obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężnym zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna;
Gdy się uśmiecha, zda się, że do nieba;
Płacze, to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą,
I dziś, gdy Wacław zasnął, przed północą...

. . . . . .

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini;
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne wezgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu, jak ulotne mary,
Staje powiewna z lampą w ręku, blada,
Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka,
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą,
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie

Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dumie;
To jaki książę, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem; domem, tronem
Włada; gdzieindziej podobny do węża,
Tu zdrajca panem jest żony i męża.
Więc to nie z gachem Dyana grafini
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini,
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklanej kaskady zamknięta obrusem;
Szarfa ta wody lecąca z wysoka
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca, lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
Na wszystko miłość waży się matczyna.
Lecz noc, jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
Lecz ciemność trwożną okryła kobietę;
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny,
Gdy woda głośniej w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela;
Na głowie siwem porośniętej runem
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocioł, czary i amfory...
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnymi czary?

Z jakim to widmem skandynawskiej Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową
Pierwsze i drżące otworzyło słowo,
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu;
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmiesza;
I widzi, jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka:
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
Całe rozwiną przeciw wichrom losu.
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
I tem się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.

Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się, a pani zbladła.
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade,
Ktoby w jej usta już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem
I z obwinieniem, co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy,
Ktoby w tej chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknością jasne nadniebieską
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma;
Tenby ją całkiem miał nie potępioną:
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

X.

Jedno tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżyca się pali.
To właśnie okno grafowskiej komnaty,
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie.
Otwierać bramy, nim się człek opowie!
Bo to nie dyabeł, ani żadna jędza,
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał, ty księże Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,

Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi;
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści,
Sam mówił ludziom, że otruty kona,
Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wyłamać wypada,
Jak umrze. — U drzwi słuchają... graf gada.
Czasem się jakiś głosek serafina
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałosne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie;
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.

Ci, co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Od dawna wieści są i poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano, jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie, wybiegał z komnaty
Tylnemi drzwiami na ogród, na kwiaty;
I raz go z wody wydobyła zgrąja;
Było to, mówią, w dzień trzeciego maja.
Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody.
Widziano, jak się topił cały blady:
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiośniany maja?
A już od lat wielu takie rzeczy,
Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości słychać zgrzeszył bardzo krzywo,
Dlatego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tem ludzie z twarzą bladą
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą krwią zbryzganą;
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.

Ta chusta i te pergaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału.
Niech go Bóg broni w rozpaczy od szału!
Biada! o biada! gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
To dość dla serca, co się samo dręczy,
Widm nie potrzeba, sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa;
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną;
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno;
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy;
Ani się światła blizkiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu —
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
Drzewo, co później mogło czekać zimy —
On tak wyglądał jak rycerz Solimy,
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary;
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie;
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony:
Dostała wcześnie anielskiej korony

Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca, jakie ręce?
Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem, a drudzy, że ścięty;
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzie taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem?
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze módz odkupić głowę!
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy — i za śmierć gołębia.
Niktże tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Niktże, prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony;
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa... krwawa.

XV.

Ale to pewna, że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył

Miłością czystą ojczyzny... nie wierzył.
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie.
Mówią, że myśli o polskiej koronie;
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy:
Jam go opuścił śród tego zamętu
Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,
W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo... burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga ta dusza tajemna
Zamyka w sobie... przyszłość będzie ciemna!
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła,
Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły
A już niekogo kochać... prócz mogiły.
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca.
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,
Nieszczęściem zaczął... a piorunem skończy.

XVI.

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota...
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona?... Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;

Nie sama... Greczyn w Arnauta stroju
Leży na złotem wezgłowiu w pokoju;
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy,
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce... nieszczęśliwa!

XVII.

„Dyano!“ Przyszła, stanęła w pokorze —
„Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,
Wypogodź teraz czoło lodowate,
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę.
A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.“

„O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam niewinna.
Ona to! ona, ta kobieta gminna
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłosnem zaklęciem urzekła:
Ona... o! srogi i okropny błędzie!...
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.“
Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie,
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy,
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi!) promienie miesięczne

Od ojca wzroku brał na swoje lica,
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś... okropność! miałżeby Wacława?...
Przy łożu chustka ta leżała krwawa...
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu?... o nie! ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoliona.
O! nie... przysięgam, święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny samej przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem;
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło?
O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kość zadzwoniła gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął,
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się... i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna,
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy;
Grafini kona... mówią... on nie słyszy.

Zlękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają... milczy jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże,
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei:
Grafini, mówią, była przy nadziei.
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad dnieprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą,
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie,
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić,
Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce dawno znane
Weszło... ostatnie... i nie zapłakane.

XXII.

Graf Wacław woła. Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław, przy nim synaczek maleńki,
Zbladły Graf woła księdza i trumienki...
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.

Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą;
Słońce i kwiaty czy boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko to przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowem powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.
I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi, a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność,
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącemi:
„Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem, co w tej czarze było — o! anioły!
Ogień miłosny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę
Co? może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć, kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,

O czem grobowiec dotąd tylko wiedział.
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli;
Tym czystem prochem zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
A jakąż to myśl mieli ci mściciele
Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?
Jaka rozogni się w krwi mojej zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę:
Przeklęci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą:
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło:
Wszystko co ludzi przerażało trwogą,
Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
Ach! gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najkochańsza, najsłodsza, umarła
Wstała, to serceby moje rozdarła;
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł, nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka, pełna krwi i winy,
Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

XXIV.

„Księże, są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,
Nie jestem takim jak ludzie niewinni;
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,

Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!
Na śmierć haniebną, na karę powroza.
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
Wszystko to jedna godzina obali!
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiaj bym wolał o! Boże! przed gminem
Powieszonego się nazywać synem;
Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem
Mój ojciec umarł, tak jak był powinien...
Czemuś ty, księże, zadrżał? jam nie winien...
Że mię widziano tej nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tętentem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz... księże; rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę, lecz przysiądz, za dumny.

XXV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem czemu,
W pamięci jestem podobny winnemu.
Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzęgło,
Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć i okrutni,
Lubią posępnych słów oglądać skutek;
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,

Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytłómaczyli to ludzie inaczej,
Ten marmur bolu, tę ciszę rozpaczy.

XXVI.

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,
To nawet wiara nie pochyli głowy:
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tem sercu. Na co mnie przywiodła,
Ty wiesz; lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodu,
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

XXVII.

„Nie uniewinniam ja siebie, o! księże!
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane;
Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
O! trzeba było siadać nad mem łożem,
Gdy we śnie serce mi coś prało nożem;

Gdy się budziłem w noc bezksiężycową
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami i potem okryty,
Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.
Mówią, żem chodził po pałacu we śnie,
Nie wiem; lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,
Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,
Nie wiem: bo o tem mi się wszystkiem śniło.
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?

XXVIII.

„Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety, ojcze.
Od innych ciosy okropne, zabójcze,
Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny,
Com cierpiał w sobie i com czuł, nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało, struła,
Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędza blada...
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To na jej sercu, to je kiedyś zrani.
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru Karary łazienka,
To dla niej... Patrzę, i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć;
Zostawić gruzy leżące na pował,

Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie, tu błądząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił,
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

XXIX.

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament, to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się:
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani — to naród wysyła
Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem,
O czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu!... Ach wtenczas księże, nie dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć — na Boga żywego,
Jabym się teraz nie miał chełpić z czego...
Szyki się biły pod Maciejowicą,
Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;
Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem,
Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.

Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
O! śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca.
Lont nie chciał harmat przede mną zapalać;
Kule się biały we krwi mojej zwalać,
Lecz omijały, świszcząc koło ucha;
Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność,
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tym wola boska, nie odgadnę,
I nie chcę myśleć; lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, na kształt siedzącego trupa,
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
Stałem: wtem jeden z niedomarłych, blizko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko:
Schylam się z konia — patrzę, krwią się broczy,
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy...
Dobyłem miecza, o! nie bladnij, księże,
Choć syknął na mnie ten — gorzej niż węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.

XXX.

„Księże... gdzie teraz Kościuszko? w mogile!...
Kiedy żył, jeszcze były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych lawinach;
Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: ojcze, choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,

Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, książe! serce mi rozszerza
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną...
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną!. .

XXXI.

„Obróć tu, książe, twe łzawe oblicze.
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już shańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nade mną swoje smutne gwary,
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny...
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo...
Ściany się zdały napełnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: n i e p ł a c z! z każdej cegły;
A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam, o! bogdajbym był sam, o! shańbienie!
Starzec wychodzi w księżyca promienie,
Poznaję, mój teść... przy niepewnym świcie
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie:
Twarz jego dzika, okropna, surowa;
Rozwija, patrzę — ojca mego głowa!...
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał,
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

„To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
To tak anielstwo wypędzone z duszy,

To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
Aż się od hańby obroniłem, — trwogą...
Lecz nie pomogło... bo jak od zwierciadła
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła,
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
Jałem się lękać nie Boga, lecz siebie.
Więc niech się skończy ten los, co mi cięży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bolów i katuszy:
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednem nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc!... Księże, pociesz ty mię przecie,
Czy ty łzy tylko masz dla mnie pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
Co tu widziałem pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem:
Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczem,
A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem:
Myślałem... biedny, czego się on męczy?
Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy,
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila...

Myślałem, że mu skrzydełka motyla
Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim, i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem, że już ode mnie ucieka...
Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał,
W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
O! cud okropny! co — iskrę słoneczną —
W serduszku dziecka zamknął miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
To go zabiło... a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła,
Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy...
Przyszła!... tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy... o! to męki moje
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę,
Co, widząc dolą znękanego twardą,
Jak inni ludzie nie patrzą ze wzgardą.
Maryo! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
Taka posępna i cicha i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
Maryo! czekaj zachodu miesiąca,
Pójdziemy razem... gdzie?... ja nie wiem. — Księże
Wkrótce me ciało już ziemię zależe,
Na długie słowa już mi braknie czasu;
Każ uszyć nową jej suknię z atłasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą... kobiety...
Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...
Patrz, jak ta szata już na niej podarta...

Czy dobrze?... zrób to, nim promienie świtu...
Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

XXXIII.

„Nie mów nikomu o mnie, sługo boży,
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę... choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo... Dlaczegoś drgnął przed tym rozkazem?
Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
Musi być święta ta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
To mój ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczy,
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie się moje... przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej jak to, co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej znachodzę,
Że mię przed śmiercią broni uledz trwodze.
Gdy przy tem łożu nic, tylko rozpacze,
Gdyby mniej dumny, płakałbym... nie płaczę;
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czemby się żadne łzy nie mogły zgodzić:
Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
A nawet, księże! jakiś żal do ludzi;
Jak gdyby oni byli winni z dawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
Lecz nie... i myśl ta nie może pocieszyć.
To wszystko... Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi... a jam go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć,

Tysiące walczyć i tysiące ginąć;
Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny...
I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
O! nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie...
A jednak... starcze ty! módl się ty za mnie!"

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O! domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność.
Ale krew jego już dawno zepsuta:
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało zwiędłe od katuszy,
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią;
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
Niechaj spokojność w tłum zmieszany wróci.
Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem.
Domysły rosną z niepokojem, swarem:
Mówią, że pani chciała ukryć winę,
Mówią, że miała otrucia przyczynę;
Jaką? nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie — pocóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna

Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między niemi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
Idź, trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
I trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciątko moje ty i moja żmijo,
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle, ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka, jak śmierci godzina."
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoliona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.

A o dzieciątku tem z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie
Całego w gwiazdach, w promienistem złocie;
Duchy powietrzne za tęczową szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem,
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy
Dosłuchać harfy tej, i tej dzieciny.
Nie wiem, czy wierzyć, lecz cudy są wszędzie;
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eolionem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

R. 1838.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

W EL-ARISH.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantanie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blizko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił

wolne beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syryi dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu uledz losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Z razu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantany, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na wschodzie, o której Lamartine z takiem uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki, a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały

mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantanę strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszem świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z kwarantany strażników. W wigilię Bożego Narodzenia (1836 r.) kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na uczcach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną, i zaczerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na

której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku, unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł znów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy o ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem

chwile spokojne, gdzie, budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacyę Oriona, tak podobną do gwiaździstej lutni, zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie, pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilie białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilie, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantany odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historya jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie, podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam — o! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantanie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha;
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;

Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku
Śmiejąc się lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu,
I porzuciły nas! i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo niesplamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła, wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł, ja ojciec spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się, jak mój trup pierworodzony,
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! Na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,

Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy,
Ja z wielbłądami, na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w mojem, w ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.

To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień,
Skonał i skościał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał;
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: jesteście przeklęci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy!
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chodzić rączek,
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła,
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć;

Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję,
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna — najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci
A piękna była jak anioł — po śmierci.

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.

I nieostrożni zaczepili hakiem;
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą,
I tu... Bogdajby jak ja nie umarli!
Tu ją pod memi oczyma rozdarli.
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie!
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie — jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie zdaleka.

Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się i, lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spotrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle

W kołysce z cicha zapłakało dziecko:
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty i taki żałośny
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już, i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie
Moje najmilsze! i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej,
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A to już, ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama,
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć

Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantany przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantany wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,

Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią, wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy,
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali starzy:
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.

Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami... i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz... Ach! boska nade mną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o! Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach! pomóż ty mi je zerwać, sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czy nie są teraz jak męki obrazy!
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie! uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!

I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

1836.

SPIS RZECZY.

Str.

ŻYCIORYS JULIUSZA SŁOWACKIEGO

POEZYE DROBNE, ULOTNE, LIRYCZNE i t. p.

Hymn 9
Kulik. 10
Piosnka dziewczyny kozackiej 13
Pieśń legionu litewskiego 14
Duma o Wacławie Rzewuskim 16
Paryż 21
Godzina myśli 24
Do Michała Rola Skibickiego 34
List do Aleksandra H. 37
Do autora Trzech psalmów 42
Grób Agamemnona 54

POEMATY.

Hugo 61
Mnich 69
Jan Bielecki 80
Arab 97
Żmija 105
Lambro 157
W Szwajcaryi 205
Anhelli 219
Wacław 254
Ojciec zadżumionych 284

Czcionkami Karola Miarki. Sp. z ogr. por. w Mikołowie.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM VI.

POEZYE
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

OGŁOSZONE ZA ŻYCIA POETY.

WYDANIE DRUGIE ILLUSTROWANE JUBILEUSZOWE

PRZEJRZAŁ

KS. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM II.

MIKOŁÓW—WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI, SP. Z OGR. POR.
1911.

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka Radom
25903 „a"

POEMATY.

OFIAROWANIE.

U nóg twych kładę, o! żałosna wdowo
  Polskiego ludu! o! Matko w żałobie
  Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych, co wierzą, że wstaniesz na nowo.

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
  Rzucić na twarze wątpiące i blade...
  Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
  Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
  Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy,
Potem, schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
  Co spadła z głowy i u nóg ci leży.

Florencya d. 15 listopada 1838 r.

POEMA

PIASTA DANTYSZKA HERBU LELIWA

O PIEKLE.

Usiadł na grobie, gdzie jasne motyle
Około róż się kręciły grobowych;
Poprawił wąsa, i wylotów płowych,
  I rzekł: pięcioro mam dzieci w mogile,
A zaś ostatni, wężowego płodu,
Syn mój ostatni jest zdrajcą narodu.
To mi włos siwy cały się wypręża
I drży i wstaje z głowy dębem węża,
Kiedy pomyślę, jak mi się zdradziecko
Ostatnie moje pohańbiło dziecko.
Lecz niech tak będzie! Pana Boga wola!
Kontusz wytarty, szabla i niedola,
I czapka krzywo zatknięta na głowie,
I moi gdzieś tam w mogiłach synowie;
Z tem ja, mój panie, jak królowie dumny,
Krzyż zrobię święty i pójdę do trumny.
A biada temu, pod kim się usunie
Mogiła moja i ziemia na trunie!
A biada, jeśli mój syn zdrajca stąpi
Na ten grobowiec, bo się rozestąpi,
Bo zeń czerwone płomienie wybuchną,
Ba nań wyskoczy, mój trup, moje próchno,
I kąsać będzie, robactwem oblizie,
Aż go zje, aż go zdusi, aż zagryzie.
  Patrzaj ty na mnie: ot taki jak jestem,
Widziałem boskich na oczy aniołów;
Ot taki nędzarz, brudny od popiołów,
Obmyty krwawym narodowym chrzestem,
Nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu,

Poszedłem sobie na górę Syonu,
Cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym,
Na zakrwawionym grobie Chrystusowym,
Za moje martwe syny się pomodlić,
A tego przekląć, co się ważył spodlić.
Za tych, co zabił tyran i zabija,
Zmówić na grobie trzy A v e M a r i a;
Na te mogiły, gdzie leżą krwawemi,
Jerozolimskiej przynieść trochę ziemi,
I grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy
Posypać liściem srebrzystej oliwy,
Która Chrystusa oroszona łzami
Wyrosła drzewem litości nad nami.
I cóż! przebiegłem błękitne żywioły,
Ot w tym żupanie i z tą szablą rdzawą,
A jak turecki jaki święty, goły;
A śpiąc pod żaglem, albo gdzie pod ławą.
I patrz jak podróż staruszkowi służy!
Wróciłem sobie jak żóraw z podróży,
Wichry mi trochę podszarzały skrzydeł,
Mój kontusz teraz nie do malowideł;
Przez pas wychodzą moje chude kłęby,
Szabla na skałach wyszczerbiona w zęby;
Lecz chociaż sobie wygląda jak choroba,
Byleby wojna, patrz! co? jeszcze dobra!
Jeszcze jak niebo ma łono błękitne,
A jak nią świsnę! jak po czaszkach zgrzytnę!
Dalibóg! nie dam grać po nosie sobie!
Bom to zaprzysiągł na Chrystusa grobie.
Ale do rzeczy. Mości Dobrodzieju!
Tu mówią w karczmie i po domach plotą,
Żem się ja zapił aż na śmierć zgryzotą;
Że tracę nawet tę trochę oleju,
Która ma z łaski Bożej twór człowieczy,
I roję sobie niestworzone rzeczy.
Mówią, że sztuka jakąś, może dyablą,
Zaszedłem w piekle dzwonić moją szablą;

Że mi się trochę opaliła dusza,
Żem sobie nawet podsmalił kontusza;
Że mi skra padła na gołą łysinę
I wypaliła tajemniczą dziurę,
Skąd, kiedy piję, to wypuszczam chmurę,
A nawet mówią, iskry wielkie, sine.
Bogdajby dyabeł oniemił fałszerze!
Ja w Pana Boga i w Chrystusa wierzę,
I co dnia mówię z kogutem pacierze.
A kto obelży mojej duszy sławę,
Z tym ja mieć będę żelazną rozprawę.
A postaw tu dzban, jak gwiazdy zaświecą,
Ujrzysz, czy z mojej łysiny skry lecą?
A jeśli lecą, to dobrze, nie pusta,
Więc pożar łatwo mi zalać przez usta;
A jeśli zatkam tę łysinę ręką,
Skry sobie będą wychodziły szczęką.
A ludzie niech się sami siebie strzegą!
A że ja palę się, co im do tego?
Otóż tak dobrze! dzban przyniosłeś wina.
Postaw tu, panie, tu — na tej mogile;
Niech trup zazdrości, że ludziom godzina
Uleci sobie jak złote motyle.
Bo cóż? my także grobów kandydaty!
A kto jak ja żył, lilijowe kwiaty
Mieć będzie kiedyś i palone rosą,
I drzewa, gdzie się słowikowie niosą;
I tak śpiewają i z taką rozpaczą,
Że aż tam brzozy na kurhanach płaczą.
Brr!... Cóż mi panie, teraz w oczach widno.
Słuchaj! Raz jednej nocy bez księżyca,
Widziałem, panie, rzecz strasznie ohydną,
Lecz nie mów o tem, bo to tajemnica,
Bo jakby na mnie to poczuli księża,
Gotowi wygnać z kościoła jak węża;
Ale nic o tem ani gwiazdek para,
Ani syn zdrajca, ani matka stara,

Co jeszcze żyje gdzieś nad wodą Niemna,
I kołowrotek swój obraca, ciemna,
Biedaczka, nie wie dotychczas o niczem,
Nawet, że tamci pomarli synowie;
Bo kiedy ręką mię maca po głowie,
To ja się różnem przerabiam obliczem,
Udaję różny głos i różne twarze;
A potem ślepej odgadywać każę,
Który z jej synów stoi przy niej blizko,
I zawsze inne powiada nazwisko;
Myśląc biedaczka, że przy niej są blizcy
Synowie zdrowi i żywi i wszyscy,
A Bóg im dawno na niebiosach świeci,
A stara zamrze, to tam znajdzie dzieci!

Lecz to nie o tem mowa, mości panie!
Raz, kiedy była tu cisza ponura,
A ja siedziałem spokojny przy dzbanie,
A nad sosnami temi była chmura
Rozrzucająca okropną ciemnotę,
A tam wisiało pod nią słońce złote,
A ja tak z czapką na bakier na głowie,
Mój mości panie, — dwaj mię Aniołowie
Przyszli powitać, mówiąc: panie Piaście!
Zadziwiłem się i rzekłem: skąd waście,
Których ja nigdy znać nie miałem w zysku,
Wiedząc o moim rodzie i nazwisku?
Tak mówiąc, byłem w dyabelnym kłopocie,
A do mnie piękne te figury w złocie:
Nie bój się, Boga jesteśmy posłani,
A jeśli zechcesz przelecić się z nami
Przez te ogromne, szafirowe pola,
To z twoją wolą jest i Boga wola.
Tak mi mówili; a ja, panie rzeźwy
Wstałem: dalibóg! dziś przysięgam, trzeźwy,
I w dłonie klaszcząc, jak dziecina klaska,
Rzekłem: panowie jaśni! jeśli łaska,

Dajcie mi widzieć tych, co w piekle gorą,
A potem moich dziateczek pięcioro,
A potem jeszcze gdzieś na tamtym świecie,
O kim ja mówić chcę, zapewne wiecie?
Więc jeśli wola jest Jehowy na to,
Niech będę z temi, co już poszli dawno
I włożeni są w ziemię lodowatą.
A gdy mówiłem tak, było mi jawno,
Że prośbę moją na próżno zanoszę,
I że nie zrobią święci, o co proszę.
Aż tu, mój panie, nad podziw, ci złoci
Biorą mię na kształt zerwanej stokroci,
Biorą i prosto w tęczę złotowłosą,
Na ciemną chmurę, nad sosnami niosą;
I bez żadnego szelestu i dźwięku
Niosą szlachcica w niebo, z dzbanem w ręku.
A ja z nad chmury upuściłem dzbana.
I potem się aż dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana.
I wybił mu jak talar guz na czole,
I zostawił mu siniec w upominku;
Pożałowałem dzbana i uczynku.

A to więc, panie mój, były nie żarty!
Na złotych skrzydłach jak król rozpostarty
Lecę a tęcza, co wisi na chmurach,
Świeci jak brylant na kontusza dziurach;
A gwiazdy żółte, różowe i sine
Sypią się deszczem na moją łysinę;
A księżyc blizko przybiega i staje,
I widzę srebrne rzeki, srebrne gaje,
Góry; o góry zaczepiłem pałasz,
A dotąd nie chce wierzyć pan bakałarz,
Choć mu po stokroć na honor mówiłem,
Gdy księżyc świeci w mgle, że ja tam byłem.

I tak mię nieśli boscy aniołowie;
A ja siedziałem jednemu na głowie,

Pusząc się dumą jak paw na folwarku;
Nogi zaś moje drugi niósł na karku,
Anielik mały jak różyczka młody,
I nogi moje dźwigał jak dwie kłody
A takie były te aniołki skoczne
I takie zwinne, że nie oni sami,
Alem ja zaczął prosić się ze łzami,
Niech sobie stary na chwilę wypocznę;
Bo mi już kości trzeszczą jak łuczywo,
I w gwiazd mi żywych towarzystwie ckliwo.
I zaręczam ci na honor szlachcica,
Że postawili mię na dwóch podkówkach,
Na samym środku srebrnego księżyca;
I na różanych mię oparli główkach;
A ogień zaczął mi iść przez łysinę —
Jeżeli kłamię, panie, to niech zginę!
Ogień wybuchał przez kości i skórę,
I z księżyca szedł jak kolumna w górę.
A stąd urosło o mnie to przysłowie,
Żem się wypalił na księżycu w głowie.
Ale w tem, panie, prawdy ani trocha!
Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha,
Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpaczy,
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszy, że krzyczą do broni,
Przed Panem Bogiem się tylko ukłoni,
A potem ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.
To i mnie widzisz, że jeszcze gotowy,
Choć mi czuć dawno już wilgoć cmentarza.
I zapach trumny nozdrze już obraża,
Zapach posępny, smutny i cedrowy;
To chociaż czuję, że przez blizkie rżysko
Leci koń śmierci — i leci i tętni,
I już nadbiega z próżnem siodłem blizko;

Nim wskoczę, biada! kto mi się nawinie!
Biada! kto moją ojczyznę zasmętni!
Bo nim łza po mnie, to wprzód krew popłynie.
O! wy nie wiecie, co się w sercu złoży
Zemsty i bolu, nim się grób otworzy?
O! wy nie wiecie, ile dusza dzika
W jeden cios szabli na przyszłość zamyka?
Wiele modlitew o zgon ludzki kładnie?
Aż z takim ciosem pierwsza głowa spadnie!
To może wtenczas, gdy ją w piasek rzuci,
Do Pana Boga i modlitwy wróci,
I spokojniejsza sądów Boskich czeka,
Ubrana w jasną szatę, w krew człowieka...
Ale to mary! to są mary krasne!
Ja potępiony, niezemszczony zasnę.
Z sercem na zemstę tak długo upartym
Ludzie zostawią śpiącego w kurhanie,
Śpiącego starca, w kontuszu wytartym;
I tak na wieki będzie, tak, mospanie!
Przybędzie tylko ku kraju ozdobie
Jeden grób więcej — i starzec w tym grobie.
A słowiki mu chór żałości utną...
I cóż?... Na księżyc wróćmy, bo mi smutno.

Otóż, jak mówię!... Hej! dolej mi szklanki!
Gardło jak suche, to gra jak w multanki;
A tu mi trzeba o piekielnem dziwie,
Jak psu po nocy, zaszczekać chrapliwie.
Idę przez księżyc złocisty i szary,
I napotykam trzy okropne mary:
Przy ogniu trójka siedziała spokojna,
Około ognia Głód, Dżuma i Wojna.
Siedziały cicho i w kotle warzyły
Trupy z wczorajszej wyjęte mogiły.
Widząc te rzeczy w lodowatej strefie,
Krzyknąłem: Jezu, Maryo, Józefie!
A pocieszywszy się modlitwą skrytą,

Rzucam się na nie z szablicą dobytą;
Rzucam się wściekły; jak tnę bogobojnie!
Uciąłem prawe ucho pani Wojnie;
A Głód je chwycił i gębę rozdziawił,
Połknął uszeczko siostrzycy i strawił,
I w kocioł je wnet rzucił z drugiej strony.
Stałem i wąsa kręciłem zdziwiony...
Myślę, co robić? A dyabli to wiedzą?
Co utnę szablą, to połkną i zjedzą.
Twarz mi się zgrozą stała — trochę blada,
Bo, panie, sprawa z dyabłami nie lada!
I przemyślałem więc s u m m a r u m s u m m a,
Co robić? Aż tu do mnie pani Dżuma:
Nie indycz się tak, krzyknęła, szlachcicu!
Na srebrnej ziemi, na zimnym księżycu,
I nie bądź takim przeraźliwym Serbem;
Wszak ty Leliwę, księżyc miałeś herbem?
Więc może ciebie nie bardzo rozbestwię,
Prosząc na ucztę w twem własnem królestwie;
Siadaj przy kotle i powąchaj woni
A potem, proszę, jedz... bez ceremonii.
Na takie d i c t u m choć, przysięgam jeszcze,
Dyabelne jakieś szły po skórze dreszcze,
Zbliżam się... z kotła idzie krwawa para,
Wonna... myślałem, że gotują cara
Lub inną jaką potępioną liszkę;
Zazieram... krwawy war... proszę o łyżkę...
Dają mi, wielka jak łopata, sina,
Dobywam z kotła coś... to głowa syna!
Struchlałem! Syna mojego głowinka!
Blada i krwawa; oczki otworzone,
Usteczka jeszcze jak róże czerwone,
Twarz, oczka mego najmłodszego synka!
Patrzy się na mnie, żółciutki jak woski;
I tak trzymałem go za złote włoski,
I nie wiedziałem, wyć, płakać czy szczekać?
Aż widmom z oczu krew zaczęła ściekać,

I rozpłakały się, krzycząc: szlachciuro!
Nam samym smutnie, zimno i ponuro,
I drżą wnętrzności jak żywoty matek,
Słuchając, jak ty płaczesz twoich dziatek;
A nie obwiniaj nas! bo my bez plamy!
My je od ojca kochanego mamy,
On je tam łowi gdzieś w krwawym potoku,
I w morzu płaczów — i nam tu co roku
Przysyła takich głów tysiące darem;
Ojciec, co karmi tak, zowie się carem;
A my kochamy go, bo dla nas dobry.
Mówiły: a ja płakałem jak bobry.
I płacząc, kociół mieszałem aż do dna;
Więc najstarszego syna głowa chłodna,
I główka tego, co był w rodzie średni,
I pięcioro ich... wszyscy moi biedni!...
Wszystko pięcioro głów z kotła dobyłem,
I nie płakałem już po nich... lecz wyłem.
I tak mi wyschły źrenice rozpaczą,
Że zawstydzały mię widma, co płaczą.
Jakby martwica, co po piekle hasa,
Wiążę te głowy trupeczków do pasa;
Tak przywiązuję tu, za włoski złote,
Pod samem sercem, najmłodszą sierotę;
A tu wąsatą twarz syna ułana,
A tutaj trzecia, czwarta przywiązana,
A piąta wisi tuż przy rękojeści:
I tak z wszystkimi pięciu... o! boleści...
Aż na te widma zimna padła trwoga...
Głośno krzyczałem, że idę do Boga.
O! haniebna to była maskarada!
Gdybym się kiedy tak we wsi pokazał,
Proboszcz by dzwonić w dzwon umarłych kazał,
Za mną by dziatek leciała gromada.
A tam... krew ciekła na księżyca bruki;
Leciały za mną wrony, sępy, kruki,
Wilki wyjrzały z parowów i jękły,

Aniołki znikły, bo się mnie przelękły.
Przecież, żem nie był zbój, to łatwo dociec,
Na czole miałem napisano: ojciec;
W oczach łzy były, co wszystko tłómaczą,
Zabójce tak nad trupami nie płaczą.
Szedłem przez góry, szedłem przez padoły;
I nie wiem, gdzie szła ta piekielna droga,
I nie wiem, czyli tam chodzą anioły;
A ja krzyczałem, że idę do Boga.
Idę przez ciemne, tajemnicze światy,
Ukochanemi, trupami skrzydlaty,
Idę, a język mi syczy jak żmija,
Mózg wszystko pali, łamie i zabija;
Boleść, co w sercu, cały świat oskarża,
Mój widok sądem jest, mój płacz przeraża;
Umarli, co mię zobaczą, nie zasną;
Bóg może nawet twarz odwróci jasną.
Na blask boleści, który ze mnie strzelą,
Od krwi, co w kontusz wypłowiały sięknie,
Matka się Boska odwróci i zlęknie,
Myśląc, że była matką Zbawiciela.
Idę... wtem, panie, patrzę jakaś szklanna
Z księżyca w niebo wytryska fontanna;
A od niej leci woń miła i słodka,
A przy niej tańce, pląsy i chichotka.
Dziewczęta hoże, proste jak badyle,
A ze skrzydłami jak polne motyle;
Za dziewicami rój kochanków młody
Goni, całuje, i spycha do wody;
A ukąpane dzieweczki wychodzą
Piękne jak róże, co się dzisiaj rodzą,
Piękne jak białe narcyzy do wianka,
I za kochankiem znów leci kochanka,
I nikną w łąkach. A ta wywrócona,
Gdzieś szafirowe łowi winogrona;
A ta do wody kryje się jak płotka,
Nie mając innej szaty jak ta woda;

A ta całuje kogo tylko spotka:
Wszędy wesołość, śmiechy, miłość, zgoda
Zmartwiałem... wąs się najeżył surowy,
Spojrzałem gorzko na dzieciątek głowy:
Szukam, znajduję dwa kamienie duże,
Chwytam... wtem jeden zamienił się w różę,
Drugi w motyla; tak, że z gniewu burzą,
Motylem na nie rzuciłem i różą.
Wściekłość mię zdjęła! Wtem jedna z dzieweczek:
Patrzcie! krzyknęła, co to za figura?
Patrzcie! krzyknęła, co za aniołeczek
W starym żupanie! patrzcie, co za gbura!
I wszystkie w śmiechy: cha! cha! cha! cha! cha! cha!
A jedna do mnie: proszę pana Lacha!
Proszę tu bliżej, tu niema zazdrości,
Dla wszystkich płynie fontanna młodości;*)
Proszę tu bliżej; zagrzej sobie żyły,
A wyjdziesz świeży jak kwiatek z mogiły;
Odrzucisz czaszki zbierane na grobie,
Wymyjesz tę krew, co z żupana cieknie,
A potem sama zakocham się w tobie,
I przekochamy czas, i czas ucieknie;
Proszę tu bliżej! proszę do fontanny!
Tak zapraszała ta i drugie panny.
A tu mi wtenczas już gniew nie wystarczał,
Zęby szczęknęły i język zawarczał:
A wy niegodne! a wy kogutnice!
A tam kraj we krwi? a tu w różach lice?
A tam mogiły — a tu! — bierz was dyabli!
Jak skoczę, panie! jak dobędę szabli!
Jak się z krzyżowym wypuszczę zamachem!
Wszystkie różyczki w nogi! ja za niemi —
Lecą ogromnym ścigane przestrachem,
Biją mię w oczy włosami złotemi;
A ja zaś rąbię: co machnie szablica,

*) Przypisek z str. 55. (str. 17 w. 16 z góry).

To utnie kawał srebrnego księżyca.
A te się śmieją, biegną i wietrzeją
I za laury się kryją i znów śmieją,
I przez cyprysy kukają jak róże;
Ażem się cały w łzy zapocił duże,
A tak mi serce wściekło się grobowe,
Że odwiązawszy z pasa syna głowę —
Przypadkiem głowa to była ułana —
Jak za włos chwycę! jak zakręcę wartko!
Jak palnę!!! czarna z niej krew jak ze dzbana.
Ułan — miłosne to było lampartko! —
Skoro się poczuł, w trop za dziewczątkami,
I dyabli by go nie wstrzymali sami.
Kręci się, leci, kolorów nabiera,
Wąs się zakręca, oko się otwiera,
Jak w lot się puścił, tak leci i leci;
A trupek to był! a proszę waszeci!
Fartuszkiem swoim z biclutkiego rąbka
Najpiękniejsza go wzięła jak gołąbka,
I przytuliła: i chórem gromadnim
Zaczęły wszystkie piękne płakać nad nim,
Aż mi jęły ciec łzy po siwych wąsach.
Zostańcie! rzekłem, zostańcie wy w pląsach!
Wy, co i płakać umiecie rycerzy!
Przy waszem sercu mu dobrze, niech leży;
Niechaj spoczywa, a wy, moje młode,
Lejcie na niego tę młodości wodę;
A choć nie zbudzi, to lepsza jest ona
Polewać trupy, niż łza moja słona.
Ubierzcie go wy w kwiaty lilijowe,
Tańcujcie nad nim i bądźcie mi zdrowe,
Bo mnie staremu inna niż wam droga,
Bo ja mam krwawy zapozew do Boga.
Tak mówiąc, w serce jakby mieczem ranny,
Od śmiejącej się odszedłem fontanny.
A wiatr z prędkiemi lecąc za mną echy,
Przynosił długo płacz, róże i śmiechy.

. Lecz to na długą powieść się zabiera;
A człowiek grzeszny częstokroć umiera
I małej bajki życia nie zakończy;
A nad nim wszyscy w śmiech! a! wstyd mospanie!
A cóż robiłeś ty na życia łanie?
A rzadko jaki tam anioł obrończy
Stłumi obmowy gadające licho,
Mówiąc: on w grobie śpi — gadajcie cicho!
Więc o to chodzić każdemu powinno,
Ażeby finis był w jego żywocie;
Jak jedną powieść skończy, zacznie inną
Gdzieś tam na tęczach w promienistem złocie,
Gdzie już nie pójdzie nic chęciom opacznie.
Kiedyż się moja taka powieść zacznie?
Jużem grób sobie jak ziarnu wyorał,
Ale bierz dyabli grób, ciało i morał!
Do rzeczy, panie! Na końcu księżyca
Stoi piekielna jakaś szubienica,
I biedne ludzie po śmierci przestrasza,
Kołysząc trupem brzęczącym Judasza.
Za szubienicą zaś tą, o pół ćwierci
Mili niebieskiej, stoi brama śmierci.
Nie dla tych ludzi, co szli wedle cnoty,
Ale dla krwawej piekielnej hołoty.
A na tej bramie są różne napisy.
Na szabli mojej, jak żebrak na kiju,
Przed piekłem mój łeb uchyliłem łysy
I czytam: tutaj: *sacré nom de Diu*,
Ognistą szablą jakąś grenadjera
Wyrysowane stoi w dyamencie.
Tu inne jakieś straszniejsze przeklęcie:
Carrajo! Goddam! do stu et cetera.
I różne takie, mój panie, rysunki
Nosi na sobie ta piekielna wieża,
Żem się pokornie udał do szkaplerza,
I odmawiałem pobożnie koronki;
A dreszcz mię przebiegł i przejęła skrucha,

Widząc, jak za tą wieżą ogień bucha.
A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
Krzyknął: szlachcicu! — ja zaś, nie chcąc sprzeczek
Z dyabłami, udał, żem ślepy i głuchy,
I litanije trzepię pełen skruchy,
A patrzę zezem; a ten nieboraczek
Z ognia wydobył nos krzywy jak haczek,
I kichnął skrami i łzy miał na licu;
I znów mię prosi: mój panie szlachcicu!
Jeżeli twoja łaska, albo czyja,
Niech zmówi za mnie sto Ave Maria;
Jam cenzurował książki i obrazki,
A teraz w piekle zowię się Szaniawski.
A dyabeł tutaj mię postawił na to,
Abym nie wpuszczał myśli; a pod stratą
Duszy moskiewskiej uczynić to muszę,
Bo choć ją dyabeł rwie, mam jeszcze duszę!
A! to, krzyknąłem, rzecz niesprawiedliwa,
Cenzory w piekle palić jak łuczywa?
A przyznam ci się, żem nie wiedział prawie,
Kogo ja z piekła do nieba wyprawię.
Już się za szkaplerz biorę nieświadomy,
Aż tu w koronkę dwa czerwone gromy!
Aż tutaj szkaplerz i szlachcic się pali.
Uciekam — widzę rzekę — buch! do fali!
Wpadłem, myślałem, że już na dnie leżę;
Lecz to główeczki dziatek jak pęcherze
Płyną po wodzie i mnie starca niosą.
O! wy z twarzyczką białą, złotowłosą;
O! wy dzieciątka moje z twarzą młodą,
Jak wy nosiły mię nad piekła wodą!
Jak wy dźwigały mię śród tego wrątka!
O łabędzie wy moje! o dzieciątka!
Próżno mię jakiś chciał wyrwać z powodzi,
I do swej czarnej zapraszał mię łodzi
Człowiek, co wożąc mgły, zarabia chleba;
Odpowiedziałem: łodzi mi nie trzeba,

Bo mię tu niosą synaczkowie moi;
Wody nie trzeba, bo mię łza napoi,
Ani rozmowy, bo trupki te bawią,
Ani modlitwy, bo mię one zbawią;
A zaś przed Bogiem nie trzeba wymowy,
Bo za mnie będą mówiły te głowy.
A wszystkie trupy, co na łodzi stały,
Na moją głowę pokazując sobie,
Pytały: czy to jaki łabędź biały,
Co smutnie śpiewa, gdy ma zasnąć w grobie?
Bom się unosił, śpiewając żałośnie,
Po czarnej wodzie, co z łez ludzkich rośnie.

Nie patrz ty na mnie, gdy ja w smutek wpadam;
Bo wtenczas nie wiem, co się ze mną robi,
I cały we łzach utonąwszy, gadam.
Lecz gdy mię starca wesołość ozdobi,
Wtenczas mi śmiało możesz patrzeć w oczy.
Śmiejmy się! ej ha! aż serce podskoczy!
Śmiejmy się jako woda zwierciadlana!
Śmiejmy się! — pozwól, że zajrzę do dzbana
Hej tak! otarłszy pot na siwej skroni,
Spuściłem pałasz, niech po piekle dzwoni.
Człowiek poczciwy, to nie tajemnica,
Po całem piekle niech słyszą szlachcica.
Twarz polska nie ma obłudnej skorupy,
Niechaj w nią patrzą jak w zwierciadło trupy.
Kto ma z płomieni posłanie i trunę
A w grobie mi się z oblicza podoba,
Za tego westchnę, a kto nie, to plunę.
Albowiem szlachcic żywy... to osoba...
A król umarły — jest to rzecz nicości,
Troszkę robaków, pfu, i trochę kości.

Lecz wprzód opiszę jaką tam strukturą
Stoi ta wieża, zwana trupów górą.
Czarna po wierzchu, czerwone ma wnętrze;
O siedmiorakim zbudowana piętrze,

Różne języki w niej mówią i płaczą,
A wchodzisz na nią drożynką ślimaczą.
A czasem ciemno tak, choć wykol oczy;
A tam grom wytnie, a tam wąż wyskoczy,
A tam lew ryknie, a tam żmije pisną,
Czasem jak wilcy trupi okiem łysną:
Śród takich strachów, śród takiego dziwa
Szedłem Dantyszek, Piast herbu Leliwa.
A każdy mi trup mówił: dobra droga!
Wiedząc, że idę ze skargą do Boga
I niosę cztery główki mego rodu,
Jak pokrwawionych gołąbków dwie pary;
I mam w kieszeni manifest narodu,
Abym przeczytał go przez okulary
Przed Panem Bogiem, i dowiódł rozprawą,
Że szlachcic kiedy zabija, ma prawo,
Że mu przystojnie, gdy przed Bogiem stanie
Ze krwią na szabli, ze skargą na zębie,
Bo cóż... był biały... ale to, mój panie,
Jak okrwawione po nocy gołębie,
Kiedy na pole walki pić przylecą;
Nie wiedzą same, co piły? czem świecą?
Tak i my biedni, ludzie nieobłudni,
Cóżeśmy winni, że krew w naszej studni?
Cożeśmy winni, że krwią czara tłusta
I krwawe oczy i czerwone usta?
To może nawet nam i serca bolą
Jeść ciągłą zemstę z łez żałosnych solą!
Ale cóż robić? tak nam być na wieki
Ludziom bez Boga litosnej opieki.
Tak, aż się kiedyś tam szala nachyli,
Choćbyśmy do dnia sądnego krew pili,
Bądźmy jak męże, co walczą i mszczą się;
A choćby tyle w nas życia jak w kłosie,
Co rośnie pośród gdzieś przejezdnej drogi,
Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!

Tu cię na wstępie powieści przerażę...
Wieża piekielna oparta na czarze,
Na jednym trupie, jak na zgniłym palu,
Cała się trzęsie, wisząc na Moskalu.
A nie dziw się ty sile trupiej belki,
Bo to w osobie piekielnej Piotr Wielki.
Siedzi pod wieżą, a na niego z cebra
Jakieś straszydło okropne, puhacze
Wylewa ciepłą krew ludu i płacze,
I oczerwienia mu łeb, piersi, żebra.
Przed tem straszydłem, co siedzi czerwone,
Myślałem z trwogą, że we krwi utonę.
Co robić? krwawa pode mną kałuża,
Nade mną smutnie krew ludzka szeleści;
Straszydło siedzi i oczu nie zmruża,
A oczy jego czerwone jak róża.
A tyle w nich krwi, że łza się nie zmieści.
A rzecz straszniejsza! każdy trup włóczęga
Carowi temu na wierność przysięga;
We krwi się topią mary niedołężne,
Ogień zapalił im palce przysiężne.
Tak, że każdego kościotrupa wdzięki
Widać przy ogniu palącej się ręki.
Palą się, klęcząc... A tu nowe dziwo!
Krew do mnie woła po polsku: Leliwo!
Jam jest krwią ludzi umarłych bez plamy!
Jam jest żałosną i męczeńską jestem!
O przekop ty mi twoją szablą tamy,
A ja popłynę z płaczem i z szelestem.
I całe piekło mszczące się zatopię.
Rzekła: ja zaraz do szabli i kopię.
I krew się cała z kałuży wywala,
Skarży się, płacze i szumi jak fala,
Zagasza trupom płonące ramiona,
Cała dolina we krwi, już czerwona,
Wszystko się topi jak w sądu godzinę,
Ja sam, co rów ten wykopałem, płynę,

Już po pas we krwi, już czerwona szyja,
Już wąsy... Jezu! krzyknąłem, Marya!
Piekło się wali, a dajże go biesu!
Co jeden szlachcic narobił tertesu?
Piekło zalane krwawą falą ginie,
Szatani toną... pan Dantyszek płynie.
Powietrza nabrał sobie w twarz pyzatą,
Urąga z głupiej fortuny jak Kato.
Łysina błyszczy ludziom potępionym
Jak biały księżyc na morzu Czerwonem,
Szabla rdzawieje... Niech ją biorą dyabli!
Polak w kołysce i w trumnie przy szabli.
Wreszcie znudziło mi się tak żeglować
I pomyślawszy, zawołałem: Chryste!
W Imię Twe święte racz Ty mię zachować.
I wnet uchwycił mię ktoś jak w ogniste
Skrzydła, i wyniósł w nieskończoność ciemną,
I przez powietrze mgliste leciał ze mną.

Skorom wyleciał nad czerwone brody,
Zacząłem wołać: wody! wody! wody!
Czarny cherubin, co mię w skrzydłach nosił,
Skoro posłyszał, żem pokornie prosił,
Postawił ciało me grzeszne na skale,
I ulitował się mnie, i wspaniale
Oko swe własne z nad dzióba wyłupił,
I dał mi z oka pić... a jam się upił.

Polak prawdziwy, kiedy się upije,
Wspomni ojczyznę i płaczem zawyje;
Potem, jak ludzie w zmysłach nieprzytomni,
Śmieje się głośno, gdy o niej zapomni.
Tak ja, mój panie! to śmiech, to łzy żywe
Lałem na moje długie wąsy siwe.
I cóż! gdy miła ojczyzna nie żyje,
Kto starca może obwiniać, że pije?
Hej! nieście dzbany! i stawiajcie wkoło,
Niech pomagają umierać wesoło;

Niech pomagają tysiącami dźwięków
Nie słyszeć kajdan i płaczu i jęków;
Niechaj na kwiaty obalają śliczne,
I pod lipami do snów cichych tulą.
Na cóż nam serca chować balsamiczne?
Cóż po tem? że łby siwe się rozczulą
I znów na piersi zasklepioną ranę,
Jak łby łabędzie, spadną zadumane
Co zrobią myśli pod czaszką ogromną?
Przypominając... co sobie przypomną?
Nic... Wszędzie nędza, smutek i zgryzota!
Ojczyzna .. kawał skrwawionego błota!
Polak... wygnaniec, męczennik, sierota!
To pić i szukać zapomnienia w dzbanie.
A zbudzić serce, gdy kraj zmartwychwstanie.
Upił się starzec... a tu właśnie sina
Zachodzi jemu drogę Katarzyna.
Spojrzałem na nią! o krwawa! o sroga!
Trupy! skrzydełka! nieście mię przed Boga!
Spojrzałem na nią i w źrenicę cisnę,
I powiekami mogiłę zawarłem;
I będę milczał, aż ją krwawem gardłem
I krwawem okiem przed Bogiem wybłysnę;
Aż, ze mściwego serca wyrzucona,
Przed Panem Bogiem upadnie i skona.
Trupki! skrzydłami wy bądźcie pośpiechu...
O wy nie śpieszne już! o wy leniwe!
Główki! ptaszęta wy moje nieżywe!
Ja się wam każę nieść przez kraje grzechu
A wy płaczecie, i wasz głosek niemy
Mówi mi: Ojcze! my już w grobie śpimy!
Dobrze! nie będę was płakać, o! dziatki!
Ani jak ojciec, ani tak jak matki;
Lecz jak jaskółka jaka nieszczęśliwa,
Co puste gniazdo skrzydłami nakrywa,
I o swych dzieciach jak o żywych roi,
I pod skrzydła się własne zajrzeć boi.

Ciało carycy zgniłe, starożytne
W sercu ma węże, jak miecze błękitne;
Za sobą skrzydła te wężowe wlecze,
A z czarnych piersi krew jak koral ciecze;
Na grynszpanowej krwi te węże tyją,
I nad umarłą niewiastą się wiją;
A twarze mają blade martwych ludzi,
A usta im krew zastygniona brudzi,
A z bladych twarzy wznoszą się do góry
Płomienne z ognia piekielnego sznury
Tak, że ujrzałem i dziś jeszcze widzę
Na siedmiu wężów splątanej łodydze,
Jakby ten świecznik tyleż liczył prawie,
Widzę głów siedem trupich i błyskawic.
Świecznikiem była.*) Tu nagle, o zgroza!
Jeden wąż nad nią nagiął się jak łoza,
I zdjąwszy z siebie człowieka oblicze,
W usta jej czarne, krwawe, tajemnicze
Wszedł i do serca aż może przeniknął,
Bo potem wyjął głowę i krwią syknął;
A senność jakaś spadła na umarłą,
Poziewające otworzyła garło;
Patrzałem trwożny, co się dalej stanie,
A z niej ogniste wyszło poziewanie
I w gadzinę szło jakby płomień siny;
A drugi płomień w trupa szedł z gadziny.
I tu już wstrzymać nie mogłem szablicy!
Jak tnę w nadęty żywot czarownicy,
Cały otworzył się jak czarna grota;
Wyszedł dym, płomień i węże z żywota.
Węże i na mnie lecą czarnym kłębem,
Próżno je szablą tnę, zgrzytając zębem,
Próżno: z gadziny rodem niema rady;
Ten kłębek w setne rozsypał się gady.
Lecą i myślą że szlachcica zniszczą,

*) Przypisek z str. 55. (str. 26 w. 15 z góry).

Lecą i skrami sykają i świszczą.
Uciekam, a wąż tuż, tuż za mną ściga.
Odcinam się im, kręcę się jak fryga;
Wreszcie do głowy po ostatnią radę,
Chwytam dzieciątko moje jedno blade,
Rzucam je, więcej sam niż trup wybladły;
Na głowę dziecka wszystkie gady wpadły,
I okręciły ją wiankiem i zjadły...

Tam węże jedzą głowę, a tam krzyki!
A tu mię liżą płomienne języki;
A tu duch jakiś okropny, ponury,
Ze złotą tacą, w chałacie z purpury,
Idzie i usty ognistemi piecze
Na złotej tacy — co? — serce człowiecze.
Spojrzał nocnego na mnie okiem ptaka,
I rzekł mi: patrzaj! to serce Polaka.
Kłamiesz! krzyknąłem, straszydło szkaradne,
Bo w nas się serce tak nie trzęsie żadne,
A choćbyś rozdarł mi szponami ciało
I wyjął moje, aniby zadrżało.
A ta rzecz drżąca i zgniła i szara,
To musi serce być jakiegoś cara;
To serce, co jak wąż z tacy umyka,
Musi być z cara, albo z niewolnika,
Bo drży wyjęte z piersi, bo się boi.
A duch: co ci się, mój szlachcicu, roi?
To serce przyniósł tutaj pies szatański,
I szczeknął do mnie, że to Erywański;*)
A ja upiekłem je dla Lucyfera.
Tak mówiąc, usta na nowo otwiera
I na to serce ogniem z gardła dmucha.
Serce się kurczy pod ustami ducha,
Więdnie, i krwią się rozlewa po misie;
A kiedy szatan jaśniej dmuchnie, skrzy się

*) Przypisek z str. 56. (str. 27 w. 7 od dołu).

Poszedł. A szlachcic, poleciwszy Panu
Serce Polaka, co nie dźwięk liczmanu,
Ale dotknięte od fortuny młota,
Wydaje smętny brzęk szczerego złota,
To serce Panu oddawszy w pokorze,
Wyszedł jak okręt na nieszczęsnych morze.
I wyżeglował w jakieś kraje smętne,
Gdzie było niebo krwią narodów mętne,
I krwawa tęcza była na ciemnicy,
Jak wstęga z cichej krwi i z błyskawicy.
A całe niebo zielone jak z miedzi.
A pod tą bramą czerwoną trup siedzi.
Złożyłem ręce na piersiach pobożnie,
Koło martwego przechodzę ostrożnie,
Abym nie trącił o rzecz taką cichą,
Siedzącą martwie pod krwiami narodów.
Idę — i moją nie dźwięczę szablicha,
Myśląc, że to jest jaki trup Herodów,
Któremu tu jest wieczności początek
I wieczna skrucha za rzeź niewiniątek.
Aż tu ktoś do mnie z ciemnego powietrza:
Pluń w twarz, zawołał, tej bezwstydnej marze,
Która jak szakal tu krew trupią zwietrza.
Stanąłem, myśląc, że Boga obrażę,
Że mię tu szatan w swoje sidła łowi,
Każąc mi w ciche lice plwać trupowi.
A gdym z sumieniem zadał się do sporów,
Głos znowu krzyknął: plwaj! bo to Suworów.*)
Ha! ha! krzyknąłem, szlachcicu! Moskalu!
Więc i ty teraz po krwi naszej w żalu?
Siedzisz jak żeglarz na rozbitej łodzi,
A krew po oczach przelęknionych chodzi;
I nigdy na nie nie spada powieka;
A czasem tylko mgnienie krwi powleka
Sine szkło, w czaszce oprawione trupiej,

*) Przypisek z str. 56. (str. 28 w. 8 od dołu).

A czasem się wzrok cały w tęczę wsłupi;
A wtenczas, jako liść na drzewie chory,
Źrenica twoja ma różne kolory,
I różne blaski i haniebne cienie
Miota o rzeczi mówiące sumienie.
Czy słuchasz jeszcze pod okropną tęczą,
Jak matki krzyczą? jak dzieciątka jęczą?
Jak wyrzynana Praga wre i płacze?
Maro! na ciebie żaden wąż nie skacze,
Żadna przy tobie nie szeleści dusza;
Lecz piekło trupów się pod tobą rusza;
A tęcza, jak bicz na ciebie okrutny,
Bo siedzisz blady, drżysz i jesteś smutny.
To nieszczęśliwym nam znośniej w ciemnicach,
Z łańcuchem u nóg, ze łzami na licach;
Mniej obrzydliwie, gdy z więzienia nory
Wychodzą blade szpiegowskie potwory,
I stają, nakształt ciemnego anioła,
Słuchać, co we śnie mówią blade czoła.
To stokroć lepiej w krwawą upaść rzekę,
Oddawszy duszę swą Panu w opiekę,
I świat utracić jak rzecz jaką podłą,
A potem, gdzieś tam, pod cmentarza jodłą
Leżeć spokojnie, i z umarłych pychą
Słuchać, jak sławy hymn śpiewają cicho
I przerywają sobie często łzami
Żywi, śpiewając — nad zmarłych trumnami.

Hej! hej! piekielna rozszerza się góra,
Im dalej idę, tem bardziej ponura.
A tu jakiś trup, niby wierzba sucha,
Ogniem jest jasnym po głowę od brzucha,
A jeszcze, panie! uda ma zupełne,
Wewnątrz oleju, krwi, żył, ognia pełne.
Tak opuszczona chrzcielnica kościelna,
Gdzie była niegdyś woda nieśmiertelna,
Kiedy ją ludzie opuszczą, pleśnieje,
Wąż ją wypełni i mech przyodzieje:

Tak i w żywocie tym trupim już gady,
Płomień i błędnych iskierek gromady;
A nad tem wszystkiem śpleśniała skorupa,
A ciągle nowy grzmot walił w półtrupa.
I taki był blask, że szlachcic Leliwa
Myślał: tam Bóg się za światłem ukrywa.
Z taką nadzieją człowiek nie ze słomy
Krzyżem się świętym opatrzył — i w gromy!
Skry go opadły, a piorun potrąca,
Nie dotknąć szabli, jak ogień gorąca.
Duszyczki, z twarzą niż lilijki bladszą,
Na starca z ognia piekielnego patrzą,
Proszą biedaczki o Ave Maria;
Szlachcic się żegna, modli się i mija.
Męki się biednych duszyczek użalił,
I szedł, i w ogniu Pana Boga chwalił.

Przeszedłem gromy i ognistą chmurę,
Idę, a oczy zanoszę na górę.
A tu na złotem niby słońca denku
Krzyż — A szlachcicu Piaście, pomaleńku!
Do krzyża waćpan przystępuj z pokorą,
A niech obłudne ludzie dyabły biorą!
Lecz krzyż, choć w piekle siedzi przez trefunek,
Niechaj u siwej głowy ma szacunek.
Wtem patrzę, napis haniebny, o! trwoga!
„Na krzyżu nigdy tym nie było Boga.“
Cóż to! krzyknąłem, więc to jakaś stara
Szatańska sztuka! krzyża trup i mara.
A to co? Jakieś pobożne trupiątko
Złożone rączki trzyma jak dzieciątko;
W grobowcu świeżo wykopanym klęczy,
Podnosi ręce, skarży się i jęczy;
A ma na głowie koron potrojenie,
W koronach z ognia żywego kamienie,
Twarzyczkę suchą, co się wiecznie łzawi.
A tu niech mię Bóg, jeśli może, zbawi,

A człowiek, jeśli chce, niech nie dowierza:
Ale ja powiem, żem widział Papieża.
Tu mi się wszystko pomieszało w oczach;
Chwytam na złotych wiszącą warkoczach
Główeczkę syna i rzucam na marę;
A trupek złotą mu strącił tyarę
I tak uczynił pokutnika z króla.
A ja krzyczałem: Papieżu! a bula?
Tu starzec zawył z przeraźliwą chryją:
Krzyżu! trupami na mnie, wołał, biją!
A ja na jego płaczu kiryele
Rzekłem: a co ty robiłeś w kościele?
Takżeby Chrystus dziatki w krwawych rosach
Trzymał na łonie i głaskał po włosach?
Bo my dziatkami prawie niewinnemi
Kładli się we krwi na ojczystej ziemi.
A ty, o stary! czyś wyciągnął dłonie,
Ku tej ojczyźnie, która we krwi tonie?
Czyś ty się za nią pomodlił przed Bogiem?
Widzianoż ciebie, przed ołtarzów progiem,
Żeś sypał popiół na twe włosy siwe?
Trupami cię przywalę! znaj Leliwę.
A w niebie skargę na ciebie zaniosę
Pannie Maryi, królestwa patronce;
I całą tęczę aniołów roztrącę,
I przejdę całą gwiazd różowych rosę,
I na księżycu jej białym uklęknę;
I tak ją łzami skruszę — krwią przelęknę,
Że wreszcie z niebios błękitnych wyprawi
Anioła, co nas pocieszy i zbawi.
A ciebie, coś tył pacierzem i czaszą,
Złożyć by w ten grób i krwią zalać naszą!
Na to staruszek: wcale nie potrzeba,
Rzekł mi, po zemstę chodzić aż do nieba.
Obacz! jak mię ten krzyż za szyję ściska.
Tak mówiąc, starzec wyszedł z grobowiska
I Chrystusowe szedł lizać znamiona;

A krzyż go w czarne uchwycił ramiona,
Podniósł za szyję, wstrząsnął i uścisnął,
Aż trup sowiemi źrenicami błysnął;
Z szyi się własnej rwie jakby z powroza.
Krzyż zadrżał — ciało upadło. O! zgroza!
Urwany się trup w mogile położył,
A krzyż żałobne ramiona otworzył;
Głowa człowieka, wzrok miotając sowi,
Wypadła z ramion ciemnemu krzyżowi,
Biegła, aż ciało w krwi jasnej znalazła
I, sycząc jak wąż, do mogiły wlazła.

O! jakże trudno z tych ciemnych padołów
Grzeszną podlecieć myślą do aniołów?
Lecz kto w opiekę się da Panu swemu,
Ten nie ulegnie przestrachowi złemu;
Ani mu zadrżą nawet wtenczas wargi,
Kiedy żałosne rozwodząca skargi
Dusza na wieczność odchodzi z żywota,
Gasnąc jak jaka piękna lampa złota.
A chyba boleść przejdzie serce do dna,
Myśląc, że ziemia go nie była godna;
Że wędrownikiem na polu szerokim
Odchodząc, płakać nawet nie ma po kim.
A kiedy strumień lat przeminął lotny,
Został na świecie jak bocian samotny;
A żaden z druhów we śnie, ni na jawie,
Nie przyjdzie usiąść na gościnnej ławie.
Tylko gołębi znajomych za młodu
Dziatki zlatują pod lipę do chłodu
I po murawach sobie chodzą dumne,
Jakby do starca mówiąc: precz ty w trumnę.
To tak nie wiedzieć, co nam starym czynić?
Kwiaty się zdają nasze oczy winić
I na to listki tęczowe wyciągać,
By szklannym oczom starości urągać.
To więc nam w płomień piekła patrzeć smutnie,

Gdy inni grają w piszczałki i w lutnie.
To więc o rzeczach strasznych rozpowiadać
I nad rzekami utrapienia siadać,
Słuchając, jak te potępione wody
W przepaść nieszczęścia unoszą narody.

Gdzież to ja byłem? Ha! w piekielnym lesie,
Gdzie nieraz wicher nieszczęścia poniesie
Dusze szlachetne i po ziemi szarga
Jak zwiędłe liście, w których szumie — skarga.
A ciemny był las, smutny i głęboki,
A drzew gałęzie powite jak smoki;
Na jednych wisi czarny liść i krwawy,
Te otworzyły wielki pień dziurawy
I siedzą z dumną starości powagą.
Dobyłem szabli, a ujrzawszy nagą,
Taki mię smutek zdjął i tak szalony,
Żem zaczął rąbać las na wszystkie strony.
Aż tu krew tryska, oczy mi zalewa.
Krwią wybuchają, jęczą wszystkie drzewa;
Próżno ubieram pierś w najświętszą Trójcę,
Krwią leją, krzyczą: stój! my samobójce!*)
O! przestań rąbać! o ty bez litości
Człowieku! czemu ty nam łamiesz kości?
Któż wy jesteście, spytałem, o! dusze?
A jeden do mnie: Nie krusz mi gałęzi!
Bo ja w tym dębie pokutować muszę,
Żem duszę moją chciał wyrwać z uwięzi
I otworzyłem jej drogę ołowiem;
Słuchaj mię, stary, to ja ci opowiem,
Jak ruska ręka twarz splamiła jasną,
A jam się umył krwią na twarzy własną.
Nie chcę was słuchać, krzyknąłem, na Boga!
Że wami hańba miotała i trwoga,
To wyście w sobie zacierali święty
Chrystusa Pana wizerunek? krwawi!

*) Przyp. str. 56 (str. 33 w. 15 z dołu).

Przeklęci bądźcie! i las wasz przeklęty!
Nie zabijali się Polacy prawi!
Ani przed dumną Kościuszki mogiłą
O takiej rzeczy kiedy słychać było.
A teraz przyszło nam jak na ostatki,
Że się na trupach samobójczych matki
Kładną i rany ich haniebne liczą,
I w dziurę czaszek pożegnania krzyczą.
A dusza idąc tam, gdzie droga pusta,
Na wyjściu ich łzy znajduje i usta,
I oczy matki otwarte na straży,
I znów do czaszki wraca przerażona.
Nie zabijali się Polacy starzy!
Drugi raz Chrystus w was i Polska kona.
Oto więc hańba w nieświęconej ziemi
Chować się wcześnie pod kwiatki złotemi,
Których to runem lekko wiosna rusza,
Gdy w innych ciałach cierpi polska dusza.
O! czarni! hańby ojczystej niepomni!
Bądźcie wy teraz pokorni i skromni
Pod kamieniami rozstajnemi świata;
Tam łzy — a tu was szlachcic szablą płata,
Choćby go wasza krew zalała z głową.
Tak mówiąc, idę i rąbię na nowo,
A szabla moja smutnie w drzewach brzęczy;
A las oblewa mię krwią, a las jęczy,
I woła za mną i na drzew wyłamy
Wychodzą białe księżycowe plamy:
To smutnych dusze, co z twarzą księżyca
Przez krew patrzały w piekle na szlachcica.
Idę, a czarna krew z tych dębów syka,
Idę, podobny z twarzy do krwawnika,
Idę i niosę niestrwożone lice;
A wtem się chować zaczęły księżyce,
Dusze się trwożne zamykały w korze;
Las cały, panie, w czerwonym kolorze
Błysnął okropnie ciemno i ogniście,

I wypadały płomienie przez liście.
Z trwogi się ręką przeżegnałem lewą,
I pochowałem się grzeszny za drzewo.
Patrzę, a tutaj konnych ludzi kupa
Galopem ściga książęcego trupa.
A niech mnie święty mój Dantyszek broni!
Ci ludzie byli pół człeka, pół koni.
O! biedny książę! o, jaka mizerya!
Wężowe chwosty miała kawalerya,
Z ognia przyłbice, akselbanty z węży —
Takich musztrować, o jakże to cięży!
I nie słuchają komendy i lecą
I kopytami ognistemi świecą;
Próżno się książę drzew płaczących chwyta;
Na łeb mu skrawe rzucają kopyta,
Na blade czoło, na lenty ze srebra.
Aż trupia postać przed burzą uklękła,
A jam usłyszał, jak trzasnęły żebra.
Jak czaszka jego zgrzytnęła i pękła
I dalej leciał ów hufiec kałmucki
I na las runął, gdyby morskie wały;
I rozpłakał się las za nim cały,
I rozjęczał się las — a jęk był ludzki.

Wybiegłem wtenczas blady z poza drzewa.
Coś zgniecionego jęczy i poziewa;
Przychodzę, płótnem nakryte trupisko.
Oddzieram płótno, ciało się oddziera*)
Zmartwiałem cały na to widowisko;
Z pod płachty czaszka odarta wyziera,
Już nie oczyma, o! święte anioły!
Ale czarnemi patrzy na mnie doły.
I nagle się tak poskarżyła smutnie:
O! czemu ty mię dręczysz, starcze Boży?
I czemu ty mi twarz zrywasz na płótnie?
Tak mówi ta kość i serce mi trwoży,

*) Przyp. str. 57 (w. 9 od dołu).

I do litości ku niemu skłoniła,
Więc rzekłem: czaszko! bogdajbyś ty była
Wprzód powiedziała, czem jest przyklejone
Na twoich kościach to płótno czerwone;
A jabym wtenczas Waszej Księcej Mości
Zostawił jego płaski nos na kości.
A teraz więcej już rany nie ruszę,
Bo czasem miałeś ty litość i duszę;
A czasem nawet, czerwony Herodzie,
Uszanowałeś Chrystusa w narodzie.
A nim ci błysła szabla Polski goła,
To przed nieszczęściem uchylałeś czoła.
Więc bądź spokojny! ja zemsty nie biorę,
I oddam drewnu twojemu tę korę.
A nawet jeszcze przed tych konnych przyjściem
Ciało przysypię samobójczym liściem,
I zaśniesz, jako ludzie w krew ubrani,
I nie wynajdą cię pod krwią szatani.
Tak powiedziawszy, nałamałem w boru
Rzeczy płaczącej krwawego koloru,
I książęcego przysypałem trupa.
Zastygła na nim posoki skorupa;
A gdy wstąpiłem cały drżący trwogą
Na nią, to nawet nie jękła pod nogą.

I patrz, na jakiej ja mogile sterczę,
Jak krzyż wsadzony na ciało mordercze!
I wodzę okiem po nieszczęścia światach,
Smutny jak bocian stojący na czatach.
A ty mię widząc tam w ciemnicy piekła,
Pytasz, gdzie moja wesołość uciekła
Na tym czerwonym grobie i liścianym,
Na tym ohydnym, we krwi pochowanym?
Wietrząc arabskich prawie nozdrzem koni,
Skąd przyjdzie wicher Chrystusowej woni,
Z której się strony w samobójczym lesie
Błękitny księżyc zbawienia podniesie,

Skąd mi samotna twarz Bogarodzicy
Błyśnie łabędzią bielą w błyskawicy,
Skąd mi nadzieja słoneczna zaświta?
Stoję, a któż mię o wesołość spyta?
To więc szaleni, co się zawsze śmieją,
I każdą rozpacz farbują nadzieją.
Wesołość była ozdobą Polaków,
Lecz już podcięto skrzydła złote ptaków,
To już nie lecą gwiazdom patrzeć w oczy
A dumne serca teraz robak toczy;
I twarz schylona lepiej dziś przystoi,
Niż stal na piersi i skrzydła na zbroi.
Bo nie polecą już rycerze nasi
Jak ptak, co myśli, że krwią serce zgasi;
Ale gdy wyjdą na walkę ich stada,
Ziemia się mogił pod końmi zapada,
Lub zdrajce. — Co tam! Dolej mi węgrzyna!
Piję za zdrowie zdrajcy, mego syna.
A kiedy teraz, w tym ostatnim łyku.
Czuję truciznę gorzką na języku,
Uczynię sobie może usta słodsze,
Mówiąc o zdrajcy tym i o tym łotrze.

Stałem na grobie Wielkiego Książęcia
Śród drzew, co krwią mi oddawały cięcia;
A oto jakiś wóz przez lasy rusza;
Powozi dyabeł czy stracona dusza,
W ręku ma lejce z płomieni czerwone,
A wóz prowadzą dwa węże zielone.
Patrzę na gady, widok wcale nowy,
Jak ogonami popychają głowy.
Krzyczę na dyabła: Hej! hej! ta kareta
Czy do najęcia? a na mnie woźnica,
Obróciwszy się jako błyskawica:
To powóz, mówi, jest króla Makbeta.
Nie wiesz, kto to jest ten król, co ma żmije?
Ja o nim pierwszy raz słyszę, jak żyję.

Więc w niewinności chrześcijańskiej duszy
Rzekłem, do dyabła: mój panie koniuszy,
Podwieź mię, proszę, dwie piekielne mile,
Jezeli ty chcesz i chcą krokodyle.
A dyabeł do mnie — uważ, jaka zdrada! —
Dyabeł powiedział mi: niechaj pan siada.
Siadam; i dalej po zakrętach góry
Galopowały zielone jaszczury.
To po kamieniach, to się we krwi ślizga,
To ognistemi wóz falami bryzga.
A ja choć czujny jak zając na zdradę,
Haniebny zwyczaj mam chrapać, gdy jadę.
Więc senna głowa na piersi mi spadła,
I śpię, i dusza ze mnie się wykradła,
I poleciała sobie w lata młode,
Pod jakieś wierzby, co płaczą na wodę,
Nad jakieś wody, co się całe śmieją,
Gdy róże księżyc poranny zaleją.
Widzę małego Dantyszka psotnika,
Jak tam gołębia wypuszcza wabika;
A ptak powraca drugim lasu brzegiem
I obsypuje mię gołębi śniegiem;
A choć to kradzież, to jako anieli
Myłem się w ptaszków pokradzionych bieli;
I różany się chłopczyk śmiałem ładnie.
Jak ten, co narcyz aniołom ukradnie.
Senny, gołębie owiany szelestem,
Budzę się, Jezu Maryo! gdzież jestem?
Cwałują węże w ognistej hołobli,
Po błotnem polu, po okropnej grobli.
Jako kamienie obmyte na rosie,
Po obu stronach trupie głowy skrzą się;
Rzecz godna dziwu, że z twarzycą krwawą
Był trup na lewo, a biały na prawo.
I tak w kałużach smętnych utopieni,
Trupowie biali, trupowie czerwieni;
Wszystko się kręci w oczach i przestrasza,

Już chcę wyskoczyć, chwytam się pałasza;
A mój przewodnik: jakie masz rachuby,
Spytał: śród sejmu grząść? czy między kluby?
Jezu! krzyknąłem, więc tu ich jak liści?
A to posłowie są? a to — klubiści?
A za cóż ty ich, Boże, tak potopił?
Nic nie rzekł dyabeł, ale węże skropił.
Lecą i świszczą, drży grobla z piszczeli.
Patrzę przed siebie. — O święci anieli!
Ogień piekielny przede mną, już piecze,
W ogień mię wieczny ten haniebnik wlecze;
Pędzi, chcę krzyczeć, wąs mi biały swędzi,
Chcę krzyczeć, głos mi zastyga, on pędzi
I urąga się ze mnie winowajca.
Patrzę, o! Boże mój! To syn mój zdrajca.
Już w płomieniste ubrany obłoki
Patrzy się na mnie syn mój jednooki,
Okropnie hańbą splamiony na twarzy;
Śmieje się głośno, że mię w ogniu zwarzy,
Że resztę włosa, co miał kolor stali,
Na mojej głowie pobielił i spali.
Śmieje się, leci w przeraźliwym pędzie.
O! nie, krzyknąłem, zdrajco! tak nie będzie!
I wydobywszy złotego szkaplerza,
Wiążę mu szyję, piorun krwi uderza,
Pali, wyrzuca ognistemi ziarny;
Wyszły wzrok biały na wierzch, język czarny,
Z oczu się jedna wytoczyła śloza
Wielka i umarł. Wyskoczyłem z woza
Już rozpalony jak garncarskie cegły;
A węże z sinym trupem w żar pobiegły.

Przepadaj, zdrajco ty! ohydny gadzie!
Owco ty, w białem zarażona stadzie!
Ty, coś mię zabił dwa razy ohydą!
Ty drżąca dotąd w mojem sercu dzido!
Przekleństwo moje jak piorun nie mignie,

Ale na ustach mi martwych zastygnie.
A gdybyś w grobie twarz moją obaczył
Zlękniesz się, widząc, żem ja nie przebaczył,
I śpię, i groźne otwarłem powieki
W grobie, gdzie tylu śpi cicho na wieki.
Lecz ja sen mogił na przekleństwach spędzę,
Z duszy uczynię krwawą zemsty jędzę,
I biegnąc, biegnąc za tobą jak mara,
Znajdę cię, wężu, choć na piersiach cara.
Dawniej, gdy były na honorze szczerby,
Albo ród gasnął, to łamano herby:
To może jakiś trupi rycerz konny
Wleci do gromnic przez jałowiec wonny,
I na trumnie mi skruszy tarczę dumną,
I w ziemię razem zapadnie się z trumną.
Bo kiedy zdrajce honor rodu splamią,
Nie ma imienia już, herby się łamią.*)

Sinego trupa, lecąc jak szalone,
W żar zatargały jaszczurki zielone;
I zniknął, tylko coś — trzaskanie kości,
Jak płacz wilgotnej na ogniu parości,
Słyszałem blady śród płomieni jęku.
Patrz! Jam go niegdyś piastował na ręku!
I całowałem go w oczka ogniste;
Ja całowałem go niegdyś?! O! Chryste!
Jakże od przekleństw do litości blizko!
Zapatrzyłem się smętny w to ognisko
I było już na ustach: powróć, synu!
Obmyj się ty krwią szlachetnego czynu,
Wymyj tę plamę jaką łzą czerwoną
I nie grzesz więcej i chodź tu na łono!
Nie! nie! nie! czuję, o! ty krajobójca.
Ty tego nawet nie zrobisz dla ojca!
Więc wieczny rozbrat z tobą, o szatanie!
Boże mój wielki! o Boże mój Panie!

*) Przyp. str. 57 (str. 40 w. 19 od dołu)

Jak Ty mię dotknął między całym gminem,
Jak Ty mię moim ukarałeś synem.
Oto shańbiony o litość Cię proszę
I smętne oczy do Ciebie podnoszę.

Nie był to płomień, co trzaskał nędzniki,
Ale, jakoby lekkie śniegu płatki,
Błądziły jasne w powietrzu płomyki.
A jako owiec zmoczonych gromadki,
Kiedy przed deszczem schronią się pod gruszę.
Pod smętnem drzewem stały biedne dusze.
A płomień się lał okropnemi rosy
I spływał trupom po drżących ramionach
I oczerwieniał bolesnemi włosy
Te biedne, jeszcze na głowie w koronach.
Bo to królowie, co na to nie dbali,
Że łzy kraj topią, że się w ogniu pali;
Byleby tron swój mieli z baldakinem,
Nie dbali, co tam, jaki miecz nad gminem:
To więc i w piekle szukają kotary
Przed bolesnemi się zakrywać żary.
Ale napróżno, bo płomień ponury
Dosięgnął ramion, odziera ze skóry;
A gdzie upadnie na ciało, tam tleje
Płatek ognisty, skrzy się i topnieje,
I gryzie ciało i kość, aż ją złamie.
Jeden trup spojrzał przez płomień i ramię.
A obaczywszy moje oczy sine,
Mój kontusz, dziatek moich główki, minę,
Przeląkł się i padł krzycząc: jakiś mścisław!
A wiesz ty, kto to był? — to król Stanisław.

Drzewa, płomienie, węże, trupy, mary,
Z drogi! do Boga chce Dantyszek stary!
A jeśli go Bóg z piekła nie wydźwignie,
Gdzieś jako kamień dumając zastygnie.
Coraz mniej światła, coraz większe proby.

Wokoło widzę palące się groby,
W grobowiec trupy walą się jak kręgle,
Płomień je chwyta i pali na węgle;
A po spaleniu znowu w głębi dołu
Leży trup cały z białego popiołu,
I wszystkie członki jak za życia spoi;
A wtenczas się go ogień w grobie boi,
I z pod białego na desce człowieka
Z grobowca dwoma skrzydłami ucieka.
Pomiędzy mogił ognistemi sznury
Szedłem o królach dumając ponury;
Aż tu się jawi z groźnemi przechwałki
Jakiś trup, w drobne pocięty kawałki
I pozlepiany sztucznie krwią człowieczą;
Kawały ciała na nim brzęczą, skrzeczą,
A jak w złodzieja ręku worek krwawy
Szczękają, trąc się o siebie, sustawy.
Członków zaś wszystkich pozrastanych zbiegi
Koralowemi oznaczone ściegi.
Widząc, że ku mnie się haniebny zbliża,
Zrobiłem ręką znak świętego Krzyża,
On mi dłoń podał, — wziąłem — ramię pęka,
I w ręku — trupa została mi ręka.
Trup odskoczywszy, widząc, że się trwożę,
Tyś mię obraził, krzyknął, na honorze!
Panie Leliwo, więc nie czas odwlekać,
Wybierz, co wolisz? strzelać się, czy siekać?
A ja zmartwiały i żółty jak drzewo:
To ty? krzyknąłem, coś miał za cholewą
Zawsze kartelusz, albo pistolety,
Aby za honor, albo za kobiety
Strzelać w tę jeszcze nie zamkniętą bliznę,
Którą szlachetny człek wziął za ojczyznę?
A i tu jeszcze jeżysz wąsy kruczę?
Pojedynkarzu, stój! ja cię nauczę!
Tak mówiąc, z pochwy dobyłem szablichy.
A trup przede mną posępny i cichy

Ręką nie dobrze do ciała przyszytą
Wziął się za włosy chrzęszczące jak żyto;
I podniósł z karku skrzącą się oczyma
Głowę, jak człowiek, co latarnię trzyma,
Myśląc, że stary zlęknę się nikczemnie
Twarzy, co śmiała się w powietrzu ze mnie.
Dobrze! krzyknąłem, przy takiej latarni
Bić się będziemy jak duchowie czarni;
A jeśli taki ty ptaszek grobowy,
To pojedynek nasz będzie na głowy.
Tak mówiąc, gniewem i zemstą zażarty,
Staję, w ręku mi warczy synek czwarty;
W samą pierś godzę, rzucam — od tej gałki
Rozleciał się ów trup w drobne kawałki
I w różne ludzkie groby poupadał.
A płomień z grobów wybuchnął i gadał:
Dobrze zrobiłeś, żeś się zemścił przecie
Za nas pociętych w samym wieku kwiecie;
Wszyscy od jego polegliśmy broni.
Ani z nas kwiatu ojczyźnie, ni woni,
Lecz dusze poszły w tę ognistą wodę
Z ciała naszego, skarżąc się, że młode
Zmuszone już iść i nigdy nie wrócić,
Jak róże, gdy im trzeba listki zrzucić
Dobrze, żeś za nas się zemścił, o starcze!
A pozwól jeszcze, że ciebie obarczę,
Mówił trupeczek jeden z tej gromadki,
Pocałowaniem dla żałosnej matki,
Której ubyło we mnie całe plemię;
Powiedz jej, starcze, jak wrócisz na ziemię,
Że syn. — Tu w ręce dwa razy zaklaskał,
Uciehł i płomień w mogile go strzaskał.

Tak odprawiwszy straszny pojedynek,
Widzę, że jeden mi już został synek;
Lecz cóż? To Boga litości nie zmniejszy,
Bo to najmłodszy, bo to najpiękniejszy,

Matki kochanie i moja pieszczota:
Oczki błękitne a główeczka złota.
Bolesna moja główeczka! kochana!
Umrę, lecz główkę tę rzucę przed Pana.

I hej! Leliwa, co trupy zabija,
W piekle jak złota błyskawica mija.
Ku Panu Bogu prosty wziął kierunek,
Ale mu w głowie wre dyabelski trunek.
To nim ostygnie, kto wie, co z nim będzie?
Z drogi! Leliwa idzie w wielkim pędzie!
Bo właśnie był wir, gdzie biedaczka dusza,
Jeżeli wpadnie, to rusza i rusza,
Więc pan Dantyszek, choć się bardzo smęcił
Po swej ojczyźnie, toczył się i kręcił.
A wkoło duszek zakręconych tłumy,
Gwary, jęczenia, szelesty i szumy;
Szare powietrze wichrzy się i miesza,
Z trupami trupów roztrąca się rzesza;
Zbiją się, zwichrzą, wezmą się za ręce,
I znów się kręcą i znów się ja kręcę,
I całe piekło jak w burzy i wichrze.
Tu fale głośno płaczące, tu cichsze;
Upiory dziewic z młodzieńcami w parach,
Białe i smętne z różami w symarach.
Patrzę! jak tuman ze śniegu zamieci
Jakaś duszyczka kręcąca się leci;
Serce mi drgnęło i warga pobladła;
W otwarte ręce ta mara mi wpadła,
Chciała na sercu odpocząć troszeczkę,
Lecz wicher wyrwał mi z rąk tę dzieweczkę
I dalej poniósł w piekła zakamarki,
Z koszulą białą, pociętą na szlarki.
Co się kręciła na niej jak dzwon biały.
Poszła i wichry ją płaczu gdzieś wiały.
A od niej młodość zapachła i zgniłość.
A taki smutek i przestrach i miłość

Wzięły mi stare moje serce w szpony
Żem był jak dziecko! żem był jak szalony!

Dawniej, to nieraz za legionistą
Strzelano czarną źrenicą ognistą;
Dawniej! o! dawniej! Czy znasz ty, wygnańcze!
Ziemię, gdzie rosną mirt i pomarańcze?
Tam ja błądziłem. A cóż się dziś chwalić,
Że łatwo serce w dzieweczkach rozpalić,
To i ta biedna do kruczych warkoczy
Tuliła moje zadumane oczy;
A gdym ja wołał ojczyzny, ta pusta
Jasne jak róże dawała mi usta;
A jam się na nich uwieszał namiętny,
I zakochany i dumny i smętny.
A dziś ją taki wicher płaczu goni!
Czekaj! Chcę jeszcze raz pomyśleć o niej,
Jeszcze raz tylko, aż te dwie łzy pękną —
Ona tak była urodziwą, piękną!
I patrz — pamiętam — bogdaj mię pożarła
Pamięć, pamiętam ten dzień, gdy umarła.
Na marach białą złożyli dziewicę;
A matka wzięła okropne nożyce
I w szlarki cięła jej koszuli rąbki,
Aby nie było co kraść z tej gołąbki.
Och! bo tam kradną ludzie w tamtej ziemi,
I wstydzą trupy z piersiami białemi.
Och! bo tam nędza, co w grób jeden rzuca
Na pierś dzieweczki suche starca płuca,
Albo dzieciątko śmiercią tajemnicze,
Co pada, jak ssać, na piersi dziewicze.
To niech przynajmniej ciało łzami myte
Będzie w tym grobie koszulą okryte,
Koszulą taką, co kusić nie będzie
Złodzieja, w pióra pocięta łabędzie.
Tak ją ubrały ręce rodzicielskie.
Myślałem, patrząc, że w skrzydła anielskie.

A ta wyrwała się z grobu jak mara
I rozsypała się na niej symara;*)
Pierzchła jak gołąb, dotknęła mi kości,
Owiała wonią trupa i młodości;
Trąciła wichrem spróchniałej bielizny
I wichrem żalu, starca bez ojczyzny.
Czegoż ty chciałaś, martwa szalenico?
Maryo moja! moja gołębico!
O! Florentynko ty moja! ty śpiąca
Tak cicho niegdyś przy blasku miesiąca,
Kiedy cię moja smutna dusza strzegła;
Czemuś ty z grobu w tych szlarkach wybiegła?
I jak pieniążek kręcisz się nikczemnie?
Maryo! czegoś ty chciała ode mnie?
Oczka jej były jak to niebo w górze,
Usta — perłami wysadzone róże;
Do niej podobna ta dziewicza brzoza
Taka wstydliwa — a teraz? O! zgroza! —
Módl się! a nie drwij, że łzy lecą duże,
To i nam starcom niegdyś pachły róże!
A po nas innym zapachną i zwiędną;
Tylko je trzeba rwać ręką oszczędną,
To chociaż serce tam burza skłopota,
Miłą mu młodość temi kwiaty złota.
A pod ich wonią łeb siwy się chyli,
Gdy księżyc błyśnie a słowik zakwili.

O! Boże! Boże! jaka twa opieka
Jest tam w młodości nad sercem człowieka?
Gdyby pomyśleć, to już tyle razy
Miało czem zwiędnąć, lub stać się jak głazy:
A nie! i patrzaj! z włosami białemi
Czuję mojego serca woń na ziemi;
I żywość jego, bo niech kto poruszy
Honoru mego, ojczyzny lub duszy,
Niechaj spróbuje wydrzeć mi nadzieje,

*) Przyp. str. 58 (str. 46 w. 2 z góry).

A padnie trupem i krew go zaleje.
Lecz kiedy starca w pokoju zostawią,
Z włosem się jego białym wróble bawią;
Spokojny w smutnem zadumaniu stoi;
Jelonek się go bez matki nie boi.
A gdy myśliwiec jakiej białej łani
Pobije dziatki i samą porani,
Przychodzi, oczy do starca podnosi,
Skarży się matka i o litość prosi.
A nie myśl, nie myśl, że to są zmyślenia;
Widziałem oczy błękitne jelenia,
I zadziwiła mię jego odwaga
I ufność w starcu i łez szklistych waga.

Ty powiesz teraz, że starzec majaczy,
I czeka w sobie, aż znów co zobaczy.
Nie tak zaprawdę się ze starym dzieje:
W nim wiecznie lampa czarodziejska tleje,
I tęcza blasków wiecznie w głowie świta,
A w sercu wiecznie ojczyzna zabita.
To choć pomyślał o młodości złotej,
Powróci znowu w serce dźwięk zgryzoty.
Nie będzie zawsze, jak ci, co się smucą
Po różach, które zwiędły i nie wrócą.
Ale raz westchnie za wszystkiem, co było;
A potem znowu, jak krzyż nad mogiłą
Uświęcający grobowce posępne,
Czoło pamiątkom wzniesie niedostępne
A pełne tylko nadziei i wiary.
Bo się przekonał, że to w świecie — mary!
Że nic tam niema w krajach podsłonecznych
Godnego serca i łez jego wiecznych.
A wszystko wiotkie, tak zrobione może,
Aby się jako liść zmieniało w borze:
Aby te wichry nieszczęścia i czasu
Miały czem smutnie szumieć w głębiach lasu.

Im dalej idę, to coraz mniej zgrai,
Każdy się z męką swoją jak wąż tai.

Albowiem blizko u wierzchołka góry
Największe zbrodnie, najstraszniejsze chmury
I największemi są łzami wilgotni
Zbrodniarze wielcy, krwawi i samotni.
Idąc na górę, mówiłem do siebie:
Gdzież są więc zdrajce ojczyzny? czy w niebie?
Oto był rodzaj trupa wszelakiego,
A z wielkich zdrajców nie było żadnego?
Czy się ubrali wilki w owiec wełnę?
Bez nich, mój Boże! to piekło nie pełne;
Bez nich tu braknie płomieniom ozdoby,
Na nich wołają z pod ziemi te groby.
Ledwom wymówił: o! rzecz nie do wiary!
Ręka zwyczajnej, jakby ludzkiej miary,
Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
I pokazuje w ciemności zdaleka
Jakąś ohydną rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnej utajony grocie,
Oddany strasznej jędzy w straż — zgryzocie.
Włos, najeżony strachem winowajcy,
Wstał na haniebnem, bladem czole zdrajcy.
I straszne w oczach było przerażenie,
Albowiem w grocie jęczały kamienie.
Wicher napędzał mu przez korytarze
Błąkając się ognie, trupów twarze;
A zaś oblicza i sine ogniska
Szły przypatrywać mu się, stojąc z blizka.
Między ogniami, co przyszły na straże,
Krwią osykany przez upiorów twarze,
Jak człowiek własną uznający winę,
Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
A kiedy jęki ozwały się w grobie,
Do ust po kostki wkładał ręce obie;
Widać miał w bolu słuchowi obronę,
Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwone
Już chciałem uciąć szablicą te ręce

Krwawe, jak szpony orle lub zwierzęce,
Nie zemstą, ale litością ruszony;
Gdy nagle biała mara jego żony
Wybiega, klęka i oczy podnosi
I tak na rany Chrystusowe prosi:
Panie! ty ojca mojego masz lice,
I taki kontusz i taką szablicę;
Więc ci aż do nóg bolesna upadnę,
I do serca się twego łzami wkradnę,
I w niebie mojej ustąpię światłości,
Za jedną nad nim tylko łzę litości.
Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie;*)
Teraz jak mara, jak błędne żórawie,
Ciągle ja latam i ciągła mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga.
A jeszczem biedna nie mogła wyjęczeć,
Aby go jęki te przestały dręczyć.
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać i jęczy i zgrzyta,
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo.
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą, aby rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się!
I czyż tak będzie od wieku do wieku!
Wyproś ty dla nas litości, człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną,
Jeśli przebaczyć nie chcą, niech zapomną?
Jeśli ich nasza męka nie roztkliwi,
Niech myślą, że my byli tak — szczęśliwi!
Od nas niesione błękitami wody
Pary łabędzi uczyły się zgody,
Od nas uczyły się śnieżyste szyje
Chować pod skrzydło to, gdzie serce bije.

*) Przyp. str. 58 (str. 49 w. 12).

Słońce lubiło zaglądać w aleje,
Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje;
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził,
I księżyc prędzej na niebo przychodził.
A ja spojona szczęściem i rozrzutna,
Każdą mu gwiazdę, co wschodziła smutna,
Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
I każdą jego nazywać imieniem:
Bo mię za każdą on całował w usta.
Starcze! pogadaj ty proszę z sumieniem!
Bo mi się zdaje tonącej w rozpaczy,
Że ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy.

Tak mię prosiła: a na głos słowika
Serce się ludzkie, choć stare, odmyka.
Patrz! o! bielutka! patrz, o! pochlebnica!
Twój kontusz, mówi, i twoja szablica
Z ojcem ci moim podobieństwo dały;
O! ty litośny! o ty nie ze skały.
Jakże się ostać przed takiemi prośby?
Twarzą już tylko udawałem groźby,
A już mi serce kruszyło się, miękło,
Już nad nią dwie łez roztopionych pękło,
Już wyciągałem ręce... wtem ta blada
Leci do męża, na serce mu pada.
A nędzarz blady jak płócienna chusta
W jej piersi — oczy pochował i usta.
Patrzę — o, zgroza! z pod kruczych warkoczy
Wstążeczka się krwi koralowej toczy
I plami narcyz ten litości srebrny!
On ją ukąsił — zbrodniarz! O! haniebny!
Jęknła i nagle od ssącej gadziny
Pierś oderwała. A trup blady, siny,
Oczy zbłąkane obraca wokoło.
O niczem nie wie to haniebne czoło,
Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
A jednak spojrzał na krew i na żonę,

I wyszły z oczu mu dwie łzy tułacze!
Wyszły — a piekło wrzasło: zdrajca płacze!
Tu zadziwieni ciemni aniołowie
Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.
Tu tajemne rozjęczały ściany,
Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany.
Wszystko, co było w gmachu i za gmachem,
Wabi się tych łez ohydnym zapachem;
Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowi
Urągający zdrajcy lamentowi.
A jeszcze dalej, duchowie zaskalni,
Z poza ścian słychać, płaczą niewidzialni.
Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami.
Uciekłem, uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne,
Widziałem ludzie do wężów podobne,
I zrastające się ich ciała z gadem:
Ale ten zdrajca oślinion y jadem,
Ale ten własne gryzący piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele,
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy;
Ale ten straszny, co psim zębem broczy
Białą pierś żony i bolem się żywi;
A gdy zapłacze — to piekło zadziwi:
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się, żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna;
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet: a to jeden wyłom,
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie;
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uschła i mieszka w niej gadzina podła.
A choćby i znów powstał lud z rozpaczy,
Któż Polskę taką, jak była, zobaczy?

Czy jaki rycerz ścięty od zawoja
Na zmartwychwstałą powie: matka moja.
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady dzisiejszy słonecznik,
Co za nowości gwiazdą się obraca?
Lud z takiem sercem po śmierci nie wraca!
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie?
A gdzież niewiasty, co synowskie ciało
I zgon nie nadto ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę?
O! dajcie mi krwi ojcowskiej, niech bryznę
I zwalam twarze dziś białe i ciała!
Bo krew w nich płynie jak w gadzinach — biała;
A nie tak ważną jak ojcowie głowę,
Ni takie serca mają bursztynowe;
Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło,
A lud już strupiał, a kraj już mogiłą.

Nie budź!... Bo jestem smutnie zamyślony
O strasznem oku piekielnej korony.
Widzę, jak gwiazda okropna sumienia
Z góry wieżycę trupów opromienia...
A jako okno, gdzieś po nocy w sali,
Od czerwonego księżyca się pali,
I opłomienia łoże królów ciemne,
A w sny ich trwogi rozrzuca tajemne:
Tak owa gwiazda nad piekłem szkaradnie
To zaczerwieni się, to znowu bladnie,
I znów za obłok zachodzi ponury,
Za jakieś ciemne i skrwawione chmury.
A gdy się krwiami napoi ta chłodna,
Z poza chmur jasna wychodzi, pogodna,
Otwiera usta i jakoby z płuca
W ciemne przepaście — krwi piorunem rzuca.
Tam, gdzie kończyła się piekielna skała,
Spiorunowanych krwią widziałem ciała.

Już blizko Boga... patrzę... trup człowieka
W ciemność od gwiazdy sumienia ucieka,
Ucieka.. z czołem na nią obróconym,
W złotej koronie i w płaszczu czerwonym.
Za nim... o horror! niewieście gromady
Trup nań rzucają maleńki i blady,
I kamienują czerwoną gadzinę.
Powietrze blade od trupków i sine.
Deszczem nań lecą z ramion rodzicielskich
Mogiły smętne pagórków anielskich,*)
Jakby niechętne trupki, jakby senne,
Gołębi stadem lecą przez Gehennę.
A dłoń to matek, co je tak umyślnie
Rzuca na trupy... nim rzuci.. uściśnie,
Pożegna wprzódy i łzami opryska,
Potem za nóżki zakręci i ciska,
Wartkie jak kamień, sine jak ze stali
Leci dzieciątko i w purpurę wali.
I kości trzaska na trupie szkaradne.
Patrz! patrz! o zgroza! dzieciąteczko ładne
Z ziemi podnosi trup, za nóżki chwyta,
Broni się matkom, a broniąc się zgrzyta.
Ukląkł nareszcie... a trupiemi ciały
Tak uklękłego zakamienowały**)
Matki po dzieciach płaczące żałośnie:
Grobowiec na nim straszny, śniady rośnie.
Trupki się kładą przy trupkach w girlandy;
Już urósł kurhan jak mogiła Wandy.
I jeszcze kładną się przy duszkach duszki,
I urósł jako mogiła Kościuszki.
A gdy był wielki, krzyknąłem: o! Boże!
Ja stary pieczęć na grobie położę,
By nie zmartwychwstał . . . . . .
. . . . . .

*) Przyp. str. 59 (str. 53 w. 10 z góry).

**) Przyp. str. 59 (str. 53 w. 11 od dołu).

Ej dosyć! już dosyć!
Mamże ja Boga wielką litość głosić?
Czy się przeklinać stary człowiek smutny,
Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.*)
To więc jest Polak... dobra jego sprawa,
Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
Lecz kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
To wstydzić się mu księżyca i słońca.
Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
To i tam w końcu coś widać... nadzieję...
Smutna to lampa i nocnego ptaka,
Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.
To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
Klęknij, wznieś oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę,
Bóg za nią... klękaj! niech się twarz nie bieli,
A cóż, że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli,
Klękaj!... To niech się wola Boska stanie!
Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie;
A przysiężemy... to zmartwychwstać musi.
A cóż, że powróz proroka udusi?
Że może ściętej głowie nie pozwolą
Spocząć na sercu zabitem niedolą?
A cóż, że wnuki łzą kwiaty pokropią,
Kiedy niepełny grób starców odkopią,
I znajdą tylko tam bez czaszki ciała.
To co?... powiedzą... głowa zmartwychwstała
I aniołowie, strażnicy tej bryły,
Wylatującą widzieli z mogiły,
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła,
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem, co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi
I rozpoznawać podobieństwo głazów:
Z pomiędzy białych narysów i ślazów
Niech wtenczas smutne oczy napotyka

*) Przyp. str. 59 (str. 54 w. 4 z góry).

Kwietny grobowiec starca męczennika.
O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy... wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta;
A nie zapomnisz ty o nas, o Święta!

PRZYPISY.

Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia ponurych wieszczów, kontuszem Leliwy odstrychnęło się od oryginału i wzoru, stawszy się więcej rubasznem i polskiem. Kontusz zaś, ten wiele myśli wygnał, wiele opisów skrócił, a nawet często zwięzłości potrzebnej w wyrażeniach nie pozwolił; zamiast zaś rozpraw teologicznych Danta, przymusił autora do użycia tej prostej filozofii, która tak pięknie rozjaśniła niegdyś wiersze Jana Kochanowskiego; przyłączyło się tylko do niej trochę melancholii, nieznanej szczęśliwym przodkom naszym Powiedziawszy te słów kilka o całym poemacie, przystąpię z oszczędnością do wyjaśnienia niektórych szczegółów i obrazów.

Str. 17. w. 16. z góry. (Dla wszystkich płynie fontanna młodości.

Między pięknemi urojeniami wieków średnich było mniemanie, że gdzieś na ziemi w pustyni wytryska źródło, z którego pijąc, można odzyskać młodość. (Marko-Polo szukał tego źródła, jadąc do wielkiego Khana. Minstrelowie Prowancyi często o tej wodzie w pieśniach wspomi-

nają, a dziś jeszcze nieraz Arab wypuszcza konia na pustynię i zagłębia się w piaski w nadziei, że na fontannę młodości wiecznej natrafi.

Str. 26. w. 15. z góry. Świecznikiem była.

W twarzach trupich węży, które stoją na trupie Katarzyny i palą się na włosach, czytelnik możeby ujrzał podobieństwo do Potemkina, Zubowa i innych gachów tej nierządnej. Przez prędkość Dantyszek zapomniał węże nazwiskami ludzkiemi ponazywać, jako też powiedzieć czytelnikowi, że Katarzyna, starająca się długo pochlebstwem u Woltera i innych, aby ją za światłą pochodnię cywilizacyi na północy okrzyczeli, po śmierci hołd ten odebrała od zdrobniałego Danta w kontuszu.

Str. 27. w. 7. od dołu. I szczeknął do mnie, że to Erywański.

Przez patryotyzm zapewne go Dantyszek Księciem Warszawskim nie nazywa, a dziwićby się powinien, że zeń wyjęto serce, on go nie miał.

Str. 28. w. 8. od dołu. Pływaj, bo to Suworów.

Zanadto dumną i posępną ma karę ten człowiek, który za życia miał srogość lwa z postacią małpy. Wiersze jego do Katarzyny po wzięciu Izmaiłowa, w których na skrwawionej karcie imię tej carycy tak bezbożnie z imieniem Boga połączył, a lepiej jeszcze maluje jego małpią i szatańską duszę następująca anegdota. Podczas rzezi Pragi ujrzał Suworow indyka skaleczonego, który gdzieś z zakrwawionego domu, krwią ludzką i swoją okryty, kulejąc uciekał. — O! biedne stworzenie! — zawołał, patrząc na ptaka wódz moskiewski — dlaczegoż ty niewinne masz mieć udział w nędzy i nieszczęściach ludzkich? — Po takiej patetycznej przemowie zawołał swego lekarza, kazał mu owego ptaka opatrzyć i pilne mieć o nim staranie. A gdy się to działo, trwała rzeź i ludzie umierali.

Str. 33. w. 15. od dołu. Krwią leją krzyczą: stój! my samobójce.

W Dancie jest podobnież las, w którym drzewa gadają i mieszczą w sobie duszę samobójców... Dant naśladował z Wirgiliusza; z Danta zaś Tass i Ariost naśladowali, zamykając mary w cyprysach. Kładę tu kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłómaczonych, abym o zupełną kradzież literacką nie był posądzony.

A pień zaś krzyknął: Czemu ty mię łamiesz?
Tu znowu ucichł i na ranę białą
Krew czarna wyszła kroplami z parości.
I znowu krzyknął: Czemu rwiesz mi ciało?
Człowieku! nie masz ty w sercu litości!
Byliśmy ludźmi, dziś drzewami piekła;
Lecz czyliż przeto dłoń twoja tak cięży?
Czyliż nas łamać i karcić ma wściekła,
Choćbyśmy w korze miały dusze węży?...
Jako gałązka, gdy z liściem ucięta,
Kiedy ją ogień od końca kaleczy,
To drugą stroną skarży się i syczy;
A wilgoć razem z powietrzem zamknięta
Płaczliwie w ciasnej wymyka się więzi;
Tak właśnie z owej uciętej gałęzi
Krew ze słowami jedną wyszły drogą.
Rzuciwszy gałąź stałem zbladły trwogą... etc.

Las Dantyszka napełniony jest zapewne duszami oficerów, którzy, zhańbieni przez W. Księcia, szli zabijać się w Saskim ogrodzie i strzałem pistoletowym często płoszyli słowiki spokojnie w ciemnych kasztanach zamieszkałe. Znajome jest mieszkańcom Warszawy wzgórze i urna kamienna, oblana nieraz krwią tych nieszczęsnych.

Str. 35. w. 9. od dołu. Oddzieram płótno, ciało się odziera.

Centaury, tratujące Wielkiego Księcia, nieznani są z nazwiska Dantyszkowi, nieświadomemu rzeczy mitologicznych, również nie wiedział, że płótno, nakrywające trupa, jest koszulą Dejaniry, którą raz wdziawszy, z kawałkami ciała oderwać tylko można było od kości.

Str. 40. w. 19. od dołu. Niema imienia już, herby się łamią.

Posępna i poetyczna ceremonia u dawnych Polaków łamania herbów po wygaśnieniu jakiej familii odbywała się w kościele, do którego wlatywał rycerz konny i drzewcem

w tarczę uderzał. Po śmierci hetmana Branickiego odbył się ten obrzęd podobno po raz ostatni.

Str. 46. w. 1. od góry. I rozsypała się na niej symara.

W narodach, które już zniewieściały, albo wcale nie mają egzystencyi politycznej, dziwna jest obojętność względem umarłych. I tak w Toskanii nie znajdzie podróżny tych cmentarzów, które taką wonią kwiatów obwiewają wzgórza miasteczek niemieckich. Bogatsi Toskańczycy chowani są pod zimnymi murami kościołów, ubożsi zaś wywożeni o cztery mile za miasto na cmentarz zwany Trespiano i rzucani razem bez trumien w jeden grobowiec, który co dnia piętnaście ciał pożera. Hamleta trzeba nad takim grobem! Hamleta, któryby Ofelię swoją widział pomieszaną z ohydną zgrają umarłych w jednej mogile. Z tego zwyczaju Florencyi urodził się zapewne ów wymysł matczynej czułości, godny prawdziwie serca jaskółek: że kiedy jakie biedne ciałko dziewicze lub dziecięce przymuszone są powierzyć czarnym grabarzom Trespiano — bojąc się, aby go ci chciwi ludzie przed rzuceniem w dół z ostatniej koszuli nie obnażyli — ubierają martwego w długą białą symarę i pod fałdami rozcinają tę szatę w długie aż do dołu wstążki, tak że się wydaje całą, a złodziejom już na nic przydatna być nie może. Biedny Dantyszek, będąc jeszcze żołnierzem legionistą i wygnańcem, nie miał zapewne dość grosza, aby dzieweczkę swoją w Santa Croce obok Danta pochować i musiał ją na równinie Trespiano zostawić. — Jeżeli który z wojażerów rozczuli się nad przygodą złotej młodości Dantyszka, niechaj zmówi Ave Maria przejeżdżając około cmentarza, gdzie leży ta piękna, siostra może Fornariny. Dziwny cmentarz, na którym krzyż tylko jeden stoi pośrodku i otwiera bolesne ramiona, a pod nim i wokoło żadnej nie widać mogiły, lecz ziemia gładka, runem niby wiosennem okryta i zielona, i co dnia dół jeden czarny, wielki, otwarty, czekający na umarłe.

Str. 49. w. 12. od góry. Słuchaj, ja niegdyś utopiona w stawie.

Leliwa nie wymówił nazwiska zdrajcy, ale powyższy wiersz pokazuje, że ci oboje widziani w piekle są ci sami, o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczewskiego. O parze tych małżonków czytałem także w manuskrypcie

piękną tragedyę, którą napisał Korzeniowski. Wspomniawszy o tym pisarzu, muszę tu wyjawić moje zadziwienie, że go Polska dotychczas tak mało zna a stąd i nie dosyć ceni — przez taką obojętność gotuje sobie wyrzuty sumienia na przyszłość, kiedy już poetów nie będzie.

Str. 53. w. 10. od góry. Mogiły smętne pagórków anielskich.

Na cmentarzach w Litwie osobne jest wzgórze, przeznaczone na grzebanie maleńkich, i nazywa się: górką anielską.

Str. 53. w. 11 od dołu. Tak uklękłego zakamienowały.

Czytelnik domyśli się, że tu jest mowa o Mikołaju. A Dantyszek mógłby powiedzieć, jak Dante, umieszczający w piekle człowieka żywego jeszcze, że car widzialny na tronie znikomą jest tylko marą i trupem już, a prawdziwie zaś z duszą swoją umarł i znajduje się w piekle. Twierdzenie to Danta tak przeraziło ową żyjącą jeszcze podówczas osobę, że sama zaczęła wierzyć w dwojaką swoją istność, i bać się o rzeczywistość ciała swego na ziemi. Okropny sceptycyzm!

Str. 54. w. 4. od góry. Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.

Obwinia siebie Dantyszek, że uniesiony mściwością, rozrzucił swoje dziatki po piekle, i żadnej główki nie doniósł przed Boga; a nie powiada, czy sam doszedł aż do nieba. Sądziłby więc należało, że ustał na siłach i wrócił na ziemię, nie dokonawszy zamiaru. Bo inaczej skutek jego skargi, to jest litość Boską uczulibyśmy nad sobą.

BENIOWSKI.

PIEŚŃ I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojem namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał, ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,

Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potem swoich białozorów:
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyi,
Nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o expulsyi.
Mało o to dbał, tracąc na chudobie;
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugą wioskę, *et si non mi noces*
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem;
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził. — O nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent, niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnej nocy, świecą w ręku!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z Panną Anielą. Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: a d d i o!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A..wiczów;
Kochała wiernie, wierność była w modzie;
Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce, oczy miała duże,
Czarne. — Jak róże, co się nad mur przegną,
I mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną;
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziewczątek!

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,
Widywała się ze swoim Zbigniewem.

Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi, lecz pozwól Asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej,

Zwłaszcza o innej porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik,
Dyabeł wie jakiej wiary: w rzymskie bogi
Wierzył, i wierzył w proroctwa i w sennik;
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik;
Słowem, była to dziwna meskolancya
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

To porównanie pojąłbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,
Lecz widać było, że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,
Z trzema wieżami baniastemi, w złocie,
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!...
Zwłaszcza, że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
Wężowe w skałach ścieżki powycinał,

I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce rzymskie... Ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą...
Skąd łatwo było poznać, że to... Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na Starosty górach stał bez listka.
Dalej, w egipskich katakombach — ule...
Dalej posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku... jak do antychrystka...
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były... lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tem jednem okiem w ciemną wodę;
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą śród spokojnych toni.
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dyana o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała...

Słowem... było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie... róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,

Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem,
Że kto pił, zdał się mędrcem... nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,
Lecz zakochany w cudownej Anieli
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane... i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga,
I w każdej po niej została część Boga...

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia:
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, co widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę... i sądzę najpiękniejszą z krajów
Jednę maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia... pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny... jako księżyc w chmurach.

O! Melancholio! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą...
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą... dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnem niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy... Kolego!
Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici
Są barankami?... pasą się... i strzegą
Psów... i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza?... Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna.

O! P o l s k o! jeśli ty masz zostać m ł o d ą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje?!
I być ochrzcona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije,
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem:
Zostań, czem jesteś... ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą

O każdej czarze... czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pająka swego
Wlane są jady... Jesteś córką Boga,
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie:
Krzyż twym Papieżem jest... twa zguba w Rzymie!

Tam są legiony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą?
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swem kłamstwie wiedzą;
I swym bezkrewnym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem... lub padalcem?

Lecz pokój z niemi... nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju... więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech pławią na miecz, stworzenia ostrożne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków... niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra, dusze w bagnie,
Niech żyją: takiej krwi nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał... i grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły, lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca,
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczołgnie się żmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy —
Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:

Kiedy czytelnik tę górę omija,
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczere polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę,
I poematu expozycyę zwlekam,
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży.

A potem, nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę,
I tu pokażę, że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice,
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysiemi łapy;
Wsiadł na koń, spojrzał na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy

Pana i sługi. I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! lecz jeśli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna;
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na — tabakierki.

A twe koszule porżną na szkaplerze,
A twe papiery, choćby to był tylko
Od ekonoma list, albo przymierze
Wiecznej miłości z Hańdzią lub Marylką,
Sawantka łzami rzewnemi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
Że twa peruka, jeśli masz perukę,
Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy powieszą w Sybili,
A o znikniony lewy będą skargi.
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś, coś nakształt piekła.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!
Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater,
A kiedyś, dawniej, Czarniecki z kolczugą.
Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem,
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem.

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdem słońcem — słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąc,
Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze
Wojna niebieskich, krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem,
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho, sługa śpiewał
Jednę z tych pieśni, w których jęk zamknięty,
A głos po łanach złocistych przepływał,
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.

Skała ta, jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistemi okny i krużganki.
Całą tej górze postać ekscentryczną
Zdjęła złota noc swoją szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą;
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawią na tuza
Cały majątek. Przegrał go i plunął,
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?“

„Święta Maryo, ratuj! dziecko kona!“
Na to Beniowski rzekł: „poprawiam strzemię.“
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię
Takiem westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał dalej brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu:

Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lezak,
Szczęściem, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgila hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ; a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny.
I bełkotała ta Nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc, jak słodko zapraszała flasza,
Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głazy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy.
I tak bohater zbył swojego sługi,
Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniej. Wtem, o cuda!
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda;
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza;
Tu, widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użycza;
Więc dalej, wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest *ex machina Deus* — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wicher prześcignął,
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,

Ciągnąc za sobą mojej pieśni syna.
Że Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci;
Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu,
Pędził za naszym rycerzem i babą;
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub, jak mówi Strabo,
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,
Za lejc trzymała swój, i lejc rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonemi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?
Ale mu jego koń był bardzo miły.
Czy świśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
Ale i ta myśl druga i ta chętka
Zdawała mu się nie zła, lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy,
Gdyby cię takie spotkało porwanie?
Byś nie spodziewał się znikąd odsieczy?
I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? do miliona krwawych mieczy,
Taką ohydną rękę? pełną kości?
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I — nie wiem pewnie — lecz może wąsatą
Sę-Symonistkę, i nieidealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadal, na rzeczy ważniejszych sądzenie.
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaskę;
Widzę w tem jego gwiazdę, przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżyca; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle, zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka
Między skałami, co mogą za godła
Służyć dwom sercom rozdartym na wieki,
Wiodła go prosto — prosto do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały
I tę ścieżeczkę pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały,
Z których czytelnik może roić drwinki.
Starosta córce dał ten gaik mały,
I od niej nazwał miejsce, Anielinki:
A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,
Była to niańka Panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisa rękę wnet uścisnął.

„Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął!
Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!
I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął
I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
Drugi raz nie graj w dyabła i w Tatara!“

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem.
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
Chata nakryta prostej słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących wokoło gołębi.

Z drżeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł zwolna, parskając, do wody;
Ta wyglądała z pod białych jabłoni
Szarfą księżyca, błękitem pogody.
Za nim koń drugi poszedł rżąc, a oni...
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,
I drzwi otworzył od Panny pokoju.
Na progu stała, jakby smętna ksieni,
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jako złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem,
Potem się zmieszał i o zdrowie spytał;
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!

Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand; że się bajronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżyca
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna, skoro do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie;

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta

Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słonki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki.
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z niemi w zielone gra, lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście nic są w miłości niewarte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya
I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każdą z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną,
I pocci ją rymami zaszczycą;
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą!
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli;
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie. — Strzelna
Nie była swemi źrenicami — zgoła!
Lecz oczy czarne jej paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owo jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi,
Jak? — dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłómaczył, to panna Prakseda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,

Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Prakseda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą kłamerką mię ukłuł jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czemże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy w tej chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek, ludzi sąd? ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi
Potrzeba! pójdę o żebranym chlebie.

Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca, mój los już zapisany w niebie.
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję.
Kto nas rozdzielić chce, ten mię zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moję rękę
Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka, jak na moją mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam — patrzaj, oczy mam czerwone.

„A tu jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja!
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

„Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny
Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą; kiedy mocno kocha,
Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha

Kwiatów, i więcej też żadnej nie trzeba,
Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

„Myślałam, że ty mi dodasz nadziei“ —
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
„Myślałam, że ty w tej smutnej kolei“...
Tu blizko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni.

„Myślałam“... Głos jej o jednę oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorżkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach — w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. A tymczasem,

Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni,
I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię; która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry, ani malin.

O Boże! gdyby przez metampsychozę
W Kozaka ciało wleźć, albo w Mazura,
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki,
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny;
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących, biedni!
Tam nędzni, dla nas posępni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Pewniebym — lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresye nudzą; więc mój czytelniku,

Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ II.

O, nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syryusz, zrzucony przez nią, lub Niedźwiadek,

Spali się, lecz ja nie winien. Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Naprzykład drugą piękną odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to, żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam, jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest s y r e d e ń!...
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.

Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiero
Poetycznem jest... zwłaszcza, jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni mirą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... ta strofa ma pewną zawisłość,
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić.
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,

Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcej niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom,

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim i tam — nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako proba,
Wcale nie według mego serca... ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira; na tym fundamencie
Moralność cała stoi!... Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Ariostyczna droga?...
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d...w być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanczo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo

Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*... Jest to nowa
Krytyka... Stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiąsach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby —!
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Których chciał w trumnie mieć dla słońca szyby!
I dla jaskółek... na co?... Znowu błądzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka równe porobi odkrycia?
Nie wiem. Czasami myśl w Eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnica;
Lecz później, pismo, druk... tęcze obrywa
Z kształtów... A teraz odbłysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni tej bohater młody,
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawej wody,
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza... czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy,
Klnie, że wokoło zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy!...
Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,
A priori to czuł... lecz i nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnej w nim nie było nowej...
Najnowsze z ustek różanych wysysał,
I teraz, patrzcie: w pasiece lipowej
Klęczy pokornie przy kochanki nodze,
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość... O! ta pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;

To jest kochanków młodość. Mimo plotek,
Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podlotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dlatego tylko, że się mogą bratać
Piórkami... ściskać, i gruchać, i latać.

O pierwsza miłość!... Tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której niema końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dlaczego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła...
Prócz tych... ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszem ucieszony,
Wracam do bajki mojej... z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzóz i bielą okrytych jabłoni,
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszcza mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta
Kłaniał się, pocił, dął, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon,

Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta!
Więc się rozeszli, wołąc sen... niż świat on,
Co się naówczas zdał za-atlantyckim...
Został się pan starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacyi,
Z której niedawno chciał uczynić cmętarz,
Co do jednego wyciąć... niech go kaci!
Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
A tu obaczysz, jak mu się wypłaci
Konfederacya: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryczek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda,
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba litewskie biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich... oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej, jeśli ich pod lodem
Car nie utopi... łatwiej ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!
Lecz obu wielka myśl była powodem:
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiej odrwić Polaków... niż cara.

Walenrodyczność czyli walenrodyzm —
Ten wiele zrobił dobrego... najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego — zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na odyzm,
Co od włoskiego odiar-lo... najprędzej

Może zastąpić brak polskiego słowa...
Walenrodyczność więc... jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz... domyślaj się reszty...
Co? sam Paszkiewicz?... O tem jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny... Pomyślał: a wiesz ty?
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Walida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda.

Tak jest; obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nic rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski
W chmurach się kryją. Więc już rozumiecie,
Że Dzieduszycki nie miał jednej kreski...
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca,
Wszyscy w ojczyźnie mówili: to zdrajca!...

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy:
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr... trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,
Dla tego, że piał. A więc wszystkie zmazy
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował *in petto*
Zemstę, jak Włochy, co się mszczą *stiletto*.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół waryat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę — pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencyą ojca się oświadczył pannie.
Wspomniał o drzewie swoich antenatów,
Nie wspomniał ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów,
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów —
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dlatego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs — za psami szalał —
Zalecał nawet dóbr intendenowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bolu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę... anewryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego, co łudzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu, i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą — oczy utopił sokole;
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole wyciągniętą prosto,
Prosto ku kielichowi, i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić.

Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy.“
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po piciu krzywić.
Tak wyciągnąwszy blizko wina kwartę,
Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą.“
Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem i oczy, co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą;
A miał na oczach swoich jak jastrząbek
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół śpiący ale grzeczny,
Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,
I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uśpionego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: *niech tak będzie.*

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone;
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,

Że po pjanemu zdobył sobie żonę,
Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzeszczał,
Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie.

Orzeł na karcie był, a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita,
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niej toną, myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz Karmelita
Za stołem cicho stał i patrzał z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,
To znów na ściany patrzał, wstając zwolna:
Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza
Ledwo się w sobie pohamować zdolna;
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okolna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk — wzrok Karmelity.

Już dawnoby się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli; ale mówiąc szczerze,
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę;
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty;
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jednem oknie miesiąc stanął złoty —
Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy.
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łoskoty

Na dachu, jakby jęczenia grobowe,
Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?“ Ksiądz milczał. „Co tu robisz, mnichu!
Co znaczy papier ten? na Lucyfera!“
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera,
Jak w zwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzał i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, któremi go szukał
Pan Dzieduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swem, na ludzi nie hukał,
Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Samby się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.
Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jednę szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk — wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: *Konfederaty.*

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
„Przebacz, wielmożny pan, jeślim ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie.“

Podczas tej mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate,
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „ja jestem ksiądz Marek!“

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,
Zmarszczył się i rzekł: dla kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.

Na to starosta krzyknął: „protestuję!
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moich kościów.“
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów!
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa! — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kasyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pęknionych,
I Filomelę, co tak jak J. B. O.
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.

Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „pójdę i skonam za kratą!“
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak przysiągłbym, że niefałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak dalej...
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!“
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmieszało — nie bardzo,
Ale cokolwiek zmieszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni — smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące:
Gołębie słychać tam było gruchania,

Łzy zimne — usta zmywają gorące;
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli, rzecz skończona! — Horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor,

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą!
W dole: Raphael pinxit, albo Giotto.

W galeryi siedzi dusza. O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem —
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! Pod jego rozbiciem

I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie co? krzyż i mogiła.

Przez wszystkie takie sceny, odrywane
W teatrze naszych wnętrzności, Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
Kto wie, za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonemi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedno swe oko topiąc w Galatei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana, stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić;
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Niekroć łezkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,
I serce biło w niej, bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichem brzęczały i gwary;
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.
A w tem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa raca, nakazana
Przez księdza Marka, na znak pana Sawie;
Pod biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi, wąż leciał, paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Pióra płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta raca na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i falena:
Już zdało się jej, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. — Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemnem powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonych w bok miotała błyski,

Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernatki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon nizki
Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Coś do tej główki wpadło... i pobiegła,
Biegnąć jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się... i różowa wpadła
W bramę i wokoło spojrzała i... zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni:
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patryotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak Transteweranka...
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze...

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;

Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacyą... i tak dalej. W szumie
Tych słów nic więcej nie pojęła córa,
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
Pożyczył niegdyś proszony, na prędce,
Kozaków przeciw panu Pułaskiemu
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzęce
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan cały purpurowy wczora
Wyglądał jako posąg komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnemi kroki do stołu się zbliża:
Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wyrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce Boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru; obie
Te ręce zdrajca położył na sobie

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe,
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach... Potem się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z tej samej przędzy
Winą się... dla nich ten rym i przekleństwo.

Biblioteka Narodowa Radom

Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, rąk własnych zczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zbroczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami!...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę... już dyabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął, krzycząc: „rozbójnicy!“
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
Niż — z mojego cię wyklnę kapitołu!
Córko! podaj mi papier... kozak, świecy!
Siadaj tu panna, *et pagina fracta*
Pisz protestacyę, która pójdzie w akta.“

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie...
A starzec do niej: „ta krew czarna, zsiadła,
Ta krew na stole atramentem będzie,
Umocz to pióro.“ Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,
Krwią, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrzała i dreszcz ją przeniknął.
„Wezwawszy bogów na świadki... pisz córo!
Których bogdajby wzroku nie uniknął
Ów czyn nieszczęsny i haniebny... j u r o!...“
Tu Karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
„Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...
Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze

„A ty, panienko, grzech ściągasz na duszę,
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
I na tem miejscu krwi popłynie rzeka,
Gdzie stoję... a te góry, palcem ruszę
I na Moskali pójdą!... Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z bożego Ducha?
Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?

„Zaprawdę mówię ci, panie starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek... prosto,
Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę,
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
I gdyby nie ja — te komnaty złote
Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
I purpurowe i w ogień odziane.

„Czy nie wiesz o tem? że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyrżnięcie?
Pod święconemi nożami krew płynie;
Pop pierś otwiera, a chłop daje ciecie
W bijące serce!... Cały naród ginie,
Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale bezczynny, sądzisz, żeś bezpieczny?

„Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!
Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,
A przy nim zbójców powiązanych siła,
Idź! obacz, jakie teraz mają łoże:
Leżą na workach, a w tych workach... noże!

„O! taka pościel będzie dla grzesznika,
Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!

Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
Zamordowany... Pan Sawa się zbrojnie
Z twojemi chłopy na moście potyka,
I za twą całość krew wylewa hojnie.
A twoja siwa się tu rzuca głowa,
Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?"

Podczas tej mowy pan starosta w czoło
Księdza jasnemi patrzał się oczyma;
Nagle, jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma,
Zadrżał. — A wtem pan Sawa wszedł wesoło...
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,
Że całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzał i zmieszał się cały,
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, Karmelita biały
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy.

Jako Sybilla z piórem w ręku... Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących. — Romans w. poemat urasta!
Cóż w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyę,
Dyabłowi oddam bohatera duszę,
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyę —
A tych, co płakać ze mną nie chcą... zmuszę.

I demokracyę i arystokracyę
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

PIEŚŃ III.

O! jakże smutno w jasnej życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat satyrą!

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezya gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań — kwita,
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcya,
Która poezyi uczy, jest dyssekcya.

Szkoda, że z takiej dyssekcyi wynika
Jakaś szkodliwa materyalność, sucha —
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:

„Oryginalny wieszcz do Tygodnika
Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny;
Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!“

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby!
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby;
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dlatego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobre i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody.
Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoją przyszłość czytał;
I widział ją tak uwitą, jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał

Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogiemi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet —
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
Panteistyczną jest, i wszystkie głazy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdej gruszce, do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;
U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jednę z tych przestałych
Owoców, starą pannę, serafícznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.
Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!
Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie,

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni dla tego, że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby, w balladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza;
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień; jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi;
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezyi boi;
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem epos i, niestety!

Może nie skończę! i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladuje grzbiety,
Nie zapróbuje miecza i to zaraz,
Zjadłszy przynajmniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach, wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnej kwerendy
Wieszał, i przyszłą respublikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi, jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi;
Druga, choć trochę Maltusa kaleczy,
Systema i to, co za ziomki swemi
Pisze pan Czyński zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskiemi,
A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza. — patrz Tacyta o Feniksie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzał i rozmyślał, co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady; wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błyskitach,
Wyrzucając błysk, do żądeł by pszczelnych
Podobny. Kule szumiały po żytach,

Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem, jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk, dalej, gródek zbrojny
O milę, na równinie; działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i zdaleka.

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa, jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szczeknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferye,
I zamiast pisać akt, stawia baterye.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane:
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko wkoło wre; tylko zadumane
Na szarem polu dwie Maćkowe grusze,
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie;
Tu kawalerya się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula po nad uchem
Gwiźnie, i znów się prostuje, gdy minie!

Tu garść kozaków jakby oczeretów
Kępa; tu błyski szabel, tam — bagnetów.

Na to pan Zbigniew patrzał z ponad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień, ale mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże,
I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biedz, gdzie burza błyskała czerwona;
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona
Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał, na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, gonił
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie grzeciwnie

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim — w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swej gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy,
Najmilsze z siebie dali malowidło:
Senną kochanką gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I wkoło chodząc, budził gardłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takiem darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takiem się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoją senną panią,
Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły, i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Z razu był nieszparki
Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoję myśl w serce człowieka,
Coraz prędszemi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna Rusałek. O! domysły trafne!
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których, jak z dobrej wioski będzie przychód;

Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się w małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikarby
Nie latał, nigdyby nie żył Don-Kichot,
Nigdyby w Trzecim Maju nie urosły
Iluzye, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły;
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły.
Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,
Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —
Nocą, z pod owych skrwawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I nie znalazłszy w nim... dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyścu, a na tym świecie wszystko czerni —

I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili — wiatr dął taki jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,

Oprócz kozaków dwóch... Z tych jeden, stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało!... nie chcę i nie muszę
Mówić; bo to rzecz należy do wiary
Grecko-rosyjskiej: lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii, gdzie car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl!... lecz nie dla cara,
Który wolałby może z tego względu
Większą bezpieczność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza młodego zapędu
Poszła *ad umbra*... i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia przesytów,
Bankructw, poezyi głupich, jezuitów,

Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam — gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie...

Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, on wiedział, nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone! —

O czemże ja mówiłem? — ha — w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzał w blade twarze;
Wtem ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu: a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana
Jak płomień zdjęty przez burzę z wulkana

Leciała, hucząc głucho, i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego — więc — O! myśl szalona!
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów,

Roziskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłąb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słysząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze, jak rzecz suchą...
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu nie chciał uczynić świecznika
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy kredowemi syka,
I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
Stał... jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzał... owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,

Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła:
Owe gołębie, których ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości... nigdy za małżeński związek! —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić... nie wiem, czy mógł... wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka
O sławie onej i o rybach onych,
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno-niebieski,
Bo próchno, niby brabanckie koronki

Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle... światło nadzici!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle błękitnem powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacyi i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom... a ujrzy tu znienacka, nagle —

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owem drzewie
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,
W błękitne próchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką
Arachną... Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczątką

Ów utwór nowy... W błyskotnej sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
Sięgały jej ust dziobki różanemi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na wałki,
I dwie perłowych łez zrobił równemi —
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotemi.
I z włosów dziwne rzucały promienie —
Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
I ten rumieniec, co w skażonych mija...
Widzę, że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim Rusałek kościele;
Gdy wkoło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele...
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej...
Miłości moje, jako próchna świecą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, trwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę
W przypiskach... mój bohater będzie czuły:
Już to nie będą moje rytmy wieszcze,
Ale esencya serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły...
Nie emigracyą, bo tej dyabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuleteny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekryślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach niemam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!

Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko-wiedzący,
Krwią do was byłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie.
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze;
Może wieszcz — zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa,
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę, zasnę — ha! lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nade mną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.
Między ciemnemi położył się drzewy,
Słowiki będą mojemi sąsiady.

Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nade mną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchylę,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potem wskrzesza,
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. — Skarży się na moją ciemność.
Poeto, fiat lux zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,
Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrżną: *sta viator.*

Wtenczas ratunku już ze śmiercią niema,
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Nakszałt Hektora, Ajaxa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda.
O awanturach własnych geografią,
Po której ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: *Pomysły*
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku jak rektorska linia;
Jeśliś ciekawy, patrz rozdział: *Opinia.*

O autorowie z nudy! O, Feniksy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek.
O polityczne moje nowe Iksy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek,
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styksy.
A teraz z waszych korzystam przestróżek,
I już nie ody piszę, ani hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeśli co mówi? mówi bardzo krótko.
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków,
Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilia, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

I mógłbym, mógłbym, — lecz nie chcę, a może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno świecące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru
Pełne. — Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę, lodowaty;
Dlatego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie, śpiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa,
Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i, całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potem zaczęła śpiew o sobie szczery;
Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,

Jakie tam miało być z niej auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią.
O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałosne łzy nade mną ronią,
Bo Muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat *oktawą*.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę,
Mówiąc płakała — na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce.
Pan Zbigniew patrzał zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi *krzywo*,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo!

„Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą
I całą duszą. Z blizkiego mię raju
Te dwa gołębie sztuką prawie dyablą
Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grablą
Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

„Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze, lecz gorący."

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
„Ja znałem twego ojca! gdyby dożył,
Pewnieby twoję chęć pochwalił prędką.

Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym, jak człowiek wielki; ani wędką
Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
Zlituj się, Matko niebieskiej korony!

„Oto dziecko to oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
Broń rzuconego w te nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza.
Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

„Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał,
I będzie, jak ten dąb umarły, szumiał.

„Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi, a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
Grobowiec sławny! ale nie posiędą
Grobu ni sławy. I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

„I niechaj będzie jakoby stuletnie —
Lecz nie. O Boże! nie słuchaj, Jehowa.“
Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie,
I pięknem srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa

Za morze, albo za Egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki biały.

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi,
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce? i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił, i nic więcej.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — „Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami — w nawiasie: Niech was powystrzela

„Moskal i dyabeł, że się tak kłócicie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda Boska i plugastwo.
Pan regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbir przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel.

„*Venit judicium!* Nie ode mnie sługi
Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo pan Rożański, co Fabiusem
Jest w naszej partyi, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem,

I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
Piszę to z głębi żalu do Waszeci."

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy, albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał, myślałby, że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd, lub pełnej malwie,
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Ksiądz z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Lecz w owe czasy któż jednę godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie,
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko, co się zowie modą? —
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty.
Że dla niej każda smakuje trucizna;
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj, każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty,
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnemi uczyni
Czas. Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżej chmur co grzmią, niż ludu co szczeka!

I dziś od ogni Boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli shukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;

Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? nie wiem, i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje ode mnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką.
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony napój, lubię róże
Takie, jakiemi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. Teraz wam powieścią służę
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,
I wszystko może ujść w kompanii grzecznej

Stoi więc w dębie moja małodyca
Ze świecą, jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. Posłuszne się papiery kurczą

W kopertę; z lakiem ożeniona świeca,
Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi
Rozumu, jeszcze więcej elegancyi —

Ożeniona więc świeca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku;
Zwłaszcza, jeżeli Moskal na granicy
Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
Z pomocą drugiej ożenionej świecy;
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy (styl Delilla).

Już więc ksiądz Marek, tu mnie nie doścignąą
Iksy warszawskie, kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał, już tak naczubił
Już, już... wtem szable mu po oczach mignąą!
Ksiądz wstał, szczęk wielki był, pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice, każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z panem Sawą pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą.
Tak mówiąc patrzał, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.

Światłość ich obu owionęła krwawa,
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone!
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu dwie czerwone
Trysły fontanny — jak rubin się żarzą,
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni — między oczy;
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę... co skrami pryskając odskoczy,
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwonem.

Więc pewnieby ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc pan Sawa
Ledwo przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. Była to zabawa,
Którejbym wcale z innemi nie dzielił.
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w samo czoło,
I palec już giął, gdy nagle, o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoku spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc, i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomieszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętemi jako ptak rączęty.

Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem.
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohaterze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał, a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzał, gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dlaczego Waść się bił z Kozakiem?

„O krwi gorąca! że też ja nie mogę
Utrzymać nigdy między wami zgody!
Oto Pan Sawa znowu ruszył w drogę,
Bóg wie, czy wróci, a rzeźki i młody.

O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
Nigdy się w jednem miejscu nie zagnieździ.

„Skąd-że wam przyszło, żeście tu z jaszczura
Dobyli szabel i na konie wsiedli?“
Na to Pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która
Zwaśniła obu; gdyśmy tutaj jedli
I pili, oto złota miniatura,
O którą srogi bój obaśmy wiedli.
O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
Ja mu ją, księże, sam zerwałem z piersi.

„A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
Z pod żeber jego tą szablą turecką.“
Tak mówiąc, strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: „O takąż rzecz chodziło świecką?
Wartoby obu dyscypliną chłostać!
Wstydź się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko:
Tę miniaturę mi dała dla ciebie
Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

„Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie,
I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,
Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.
A przytem i list skropiony obficie
Łzami, a w takim pisany sposobie,
Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę.
Podjąłem się ten list schować w kapturze.

„Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;
Bar potrzebuje dziś mojej pomocy,
Lub go ocalę, lub niebo zdobędę.“
Beniowski blady jak duch o północy
Już nie uważał na księdza gawędę;

Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niźli Troi;
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze;
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy,
I córkę z walki uprowadzić pola.
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy,"
Pisała panna, „nigdy ojca wola.
Nigdy poręta, nigdy przestrach krwawy,
Nigdy szalone szczęście lub niedola
Nie skłonią mego serca do odmiany!
Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

„Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
Woniami, które były tak urocze,
Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
Ty mię porzucał, a ja ci warkocze
Dałam całować, przenikniona strachem,
Abyś mi u nóg nie padł konający,
Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

„Powiem ci teraz, żem się była zlękła,
Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów.
Z któremi w sercu jakaś struna pękła,
Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.
Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,
I że westchnienie śmierci — jest uśmiechem.

„Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem, czemu
Cała się zlałam łzami i rumieńcem;
Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu
Podobna, póki mi był oblubieńcem
Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

„Niespokojności pełne serce moje!
Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
Aż do mojego zamku, do Ladawy,
Każ sobie panny otworzyć pokoje;
Na stole stoi filiżanka z lawy,
Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,
Nosiłam go dziś całą noc — bławatek.

„Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma
Wolę, ten wszystko pokona. — *Addio!*
Z wyciągniętemi za tobą rękoma
Jeszcze raz wołam tobie — *caro mio!*
Przy tobie zawsze będę, niewidoma,
I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
Nie! ty nie możesz zginąć tak jak oni,
Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

„Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
Że się o ciebie wiele duchów kłóci
Czarnych i złotych z tęczowemi grzywy;
A czyny twoje ktoś na harfie nuci;
Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze;
Nie będziesz temu wierzył, lecz ja wierzę.

„Przepowiadając, mówiła mi stara,
Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,

A zaś przy tobie stoi jakaś mara
Ubrana w szaty dziewicze; to chyba
Ja — czy nie prawda? O! gdyby ta szpara,
Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,
Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,
Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
Pomagałabym ci okiem — do szczytu
Szczęścia i sławy — choćby...“ Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
„Te całuj!“ krzyknął, „te rany czerwone,
Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
Z których rdza pada na kryształ puklerza.
Rzuć ten list — daj go, jak mówią, szatanu!
A słuchaj! ważną misyę dam Waćpanu.

„Piszą mi, że tron odzyskał Khan Giraj;
Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko.
Masz listy, których proszę nie otwieraj,
Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blizko;
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
I bocian także z małą szarą pliszką
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest, pliszka sternikiem.

„Ona ptakowi na ogonie siedzi
I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
Tak, jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada;

Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi,
Prosto wędruje i w gniazdo upada
Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany,
Przebywszy morskie burze i bałwany.

„Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
Drogę, a prostą, to choćby do słońca
Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
Odpoczywając. Lećże więc bez końca.
A będziesz chodził w anielskiej ozdobie,
Jako ojczyzny i wiary obrońca;
A nim zasługi twoje w niebie zginą,
Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

„Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
A kto wie, co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany,
I chodzę, tuląc do głębi rozpacze.
Wolałbym może już w grób, jak złamany
Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa imię Boga.

„Więc, że i starość jeszcze Jowiszowe
Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone,
Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe,
I wulkany z nich rozrzuca czerwone;
I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
I kładzie na nią zbawienia koronę —
Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
A pomyśl tylko ty — czemże ja jestem?

„Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
Będzie rodziła chwasty i lilije;
Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
A który jutro Bóg nogą rozbije.
Nośże ty ducha w tej cielesnej glinie;
A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije

Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.

„Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone, i nie ginie jedna
Kropelka, ani biała, ni różana,
Lecz każda waży i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
A byłaby też ta ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie zginionego młodo
Łez nie znalazła. Bądźże więc tą wodą

„Ochrzcony teraz i w grobowcu poźnym.“
To mówiąc, ręce wyciągnął, i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnym.
I był na twarzy przerażeniem biały,
Iskry mu z oczu szły — i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały
Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty,
Z ręku księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi;
Jechał i marzył o przyszłości cudnie,
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie przez gościniec z ostów, —
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerye chyba z szkła i dyamentu
Zbuduję, w karczmach posadzę Dyanny.
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blizko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogni plecie:
Tam ślubuj przyszłość. Muza mdleć zaczyna!
Dajcie mi bursztyn, i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół-senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny,
Napróżno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim.

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nade mną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,

W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia.
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,

Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone;
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły, czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa —
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy, na niebie łopocą
Kurki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawemi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmieszane z szumem liściannych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącemi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży, albo sęp bezpiórny.

Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi, albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Odprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony;
Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklanemi
Zdała się żebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości...
Drugi otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy, trochę baba
Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
Malowanemi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy, ani czaju
Żelaza kawał nosili na głowie,
Jak starej kawał arki na Synaju!
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie.

Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.
Litwin, pancernik jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był starej daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwono-kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych Bogów:
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy
Śpiewał, lecz dyabła żmudzkiego straszydło
Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny.
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym — ni piu ni meno,
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszu! O nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz... marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
Nie łża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyanę usłużną —
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku — —
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski — nie był to bohater modny,
Co się księżyca tylko karmi blaskiem —
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny...
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo... lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią,
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materyalne gusta, moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka, na kształt czerwiennego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,

Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie...
Choć uczty prostszej nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.
Ta rozmaitość może być pokrzywą
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami — szumiał,

Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mięszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz! mowo smętna,
Co myślom, własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię,

Niż — moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z tej strony zrobiłabyś cmętarz.
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz,
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

Ej, ty na szybkim koniu! Dalej wiecie,
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: Skąd, powiedz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz! jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop w połowie pierwszej hexametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,

Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zdradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
Pędził do swego stepowego domu:
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.
Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał!
Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto poniżał
Korale — szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał.
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atencyami do jednej z podstolin,
Wracając, patrzy, pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżyca,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi,
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dlatego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość, zajadłszy w parowie
Poetę może — z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistemi błamy.
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. Obraz ten oprawić w ramy!
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały,

Brylantowemi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały.
Idylę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały?
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda,
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się, dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: „Oj moja Swentyna!
Latasz po stepie, jak cygańczuk bosy,
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj będzie licho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na licho — Cyganka!“

„Na licho wyjdę, czy na spokojnicę,
A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
Córkę starosty, albo kasztelana,
Taj się żeń. Ja ci ubiorę w brusznice
Korowaj, sama pójdę w step Bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

„Mnie świat szeroki! Jak złotego gila
Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
Ty na kurhanie dumał Czaromyla,
Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.
A mnie Włoch bił! bił! Oj! Iza mi rozchyla
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? wiatr! i gołębica!

„Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
Pocałuj, zapłacz, świśnij, taj polecę!
Gołębie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece.

Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę wpław po rzece,
A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie
I pochowają w śpiewającym grobie.

„Taj będzie koniec z żałosną Swentyną!
Oj! nalatała się ja po kurhanach!
Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
Jak jemiełuszka! Była ja przy panach!
I była między chłopami Caryną!
A wszystko smutno! Chodzę ja w kajdanach,
Ni ojca, ani matki na tym świecie!
Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!“

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
A co! straciłaś już twój srebrny wianek?
Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
Co ty robiła z nim przez cały ranek?
Cóż? oszukana, ha? kwiatku kaliny,
A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?“

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnemi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złotemi,
Wstała, i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

„Pomiędzy nami stoją te hramoty!
Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
Ani mnie ujrzysz! Ani ja wiem, kto ty?
Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?

Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
I komu zechcę dam pierścionek srebrny.“

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“
Na to jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną,

Podobnie wtenczas się zarumieniła,
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,
„Pierwszy raz jestem spłoniona przed tobą;
Teraz się będę zawsze czerwieniła
Przed każdem okiem, przed każdą osobą.
Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

„Gdy dawniej, w rękach i na linie Włocha
Giętam się jak wąż, cóż robiły pany,
Aby mię słowem zczerwienić choć trocha!
A byłam jako kwiatek ołowiany.
Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
Jeśli, jak mówisz, kocham? — lecę kochać!

„A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
O! przyjź na kurhan mój z psem i sokołem!
Połóż się chwilę na darniny świeże;
Niech sokół czarnem krzyż obleci kołem.
Ja także jestem jak polscy rycerze,
A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem;
Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

„A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?
Kto różę na nim posadzi odludną?
Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Spać na kamieniu!“ tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu,
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;
A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany,
Stanęli. Burzan podobny do lasu
Purpurowemi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prułо,
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.
Ale się pieśni narzędzie popsuło!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozyi słodkiej już zabrakło w krużu,
A więc żegnajcie! na stepowem wzgórzu

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!

Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę:
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z niemi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedyę, legendę lub odę,
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna...
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci,
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do arystokracyi,
I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznem

Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym!
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu wierzę żywot wieczny,

A m e n ... To a m e n krztusi mię i dławi
Jak Makbetowe a m e n ... Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga ...
Wierzę w to wszystko ... ha! ... a jeszcze w Boga

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym ...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,

Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie ... ja sądzę, że znajdzie ... i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci . . Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą ... i świadczą o Bogu . . szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza ...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków ..
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta ... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały —
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie ... tylko męstwo.

Zaprawdę!... Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwyceą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienickiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrają... i stanąć za mną... lub pode mną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych:
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy —
Lecz rzekł: Niech idzie tam, gdzie my [idziemy.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie?... Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.

Kiedy kląć zechce... przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,
Mię powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą... ty nie jesteś zniczem.
Lecz choćbyś bogiem był... a jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.
Kocham lud więcej niż umarłych kości...
Kocham, lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych... Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj —? przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...

Legnic przede mną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył: —
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi!
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

Paryż 1841.

KRÓL-DUCH.

RAPSOD PIERWSZY.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne,
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja, Her Armeńczyk*), leżałem na stosie
Trupem..., przy niebios jasnej błyskawicy;
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.

*) Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t. Rzeczpospolita.

Niebo zczerniało... ale świeciło się
Grzmotami, jak wid szatańskiej stolicy.
A ja świecący od ciągłego grzmota
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

III.

I duch niewyszły z umarłego ciała
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała
I unosiły się duchy rycerzy.
Trójca widm mój stos ogniem zapalała,
A ja czekałem, aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze jak duch zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy;
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice
I trzy siarczane, ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
I o swe ciało już nie utroskana,
Ani za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana;
W Styxie, w Letejskiej wodzie, albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: — a wiedzą tylko wniebowzięci.
Czem jest moc czucia! a strata pamięci!

VI.

Tam, kędy dusze, jasne jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory,

Moc utrudzona biegiem Atalanty,
Szukała tylko szczęścia i pokory...
Orfeusz między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory;
A jam pomyślał, że mu śpiewem będzie
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulisses poszedł w prostego oracza,
Aby odpoczął po swych wędrowaniach.
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek.

VIII.

Ja sam z harmonią obeznany młodą,
Własnego ciała nie chciałem odmiany.
I siadłem smutny nad letejską wodą,
Nie usta moje myjąc, ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX.

Wszakże letejską przykładając wodę
Do ran — by pamięć boleści straciły,
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały, jako świt daleki,
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiaździce, co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą
Tak błyszczącemi, że mórz dziwotwory,
Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
I obchodzą je cicho jak upiory;
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją,
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI.

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którą ja poznał z oblicza,
We mgłach letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk, duchów girlanda słowicza;
Pod nią, jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły,
Na kwiatki jasne pod ciemnemi jodły.

XII.

Z tych łąk i z tych puszcz, jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą;
Szedłem... choć strzały numidzkiemi ranny...
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys, którą na świat znosi szklanny
Obłok? a tęcze świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przede mną do lesistych zacisz
Weszła... a harfy śpiewały wiatrzane:
„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny przez dobre duchy malowane;
Żywot tysiącem żywotów zapłacisz;

A zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema;
Tę jednę smętną ranę: że Jej niema!

XIV.

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie,
Serce ci damy, ale spustoszeje.
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mającym nadzieję.“
Na to ja: niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jej ust światło leje,
A nie dbam o to, co mię dalej czeka:
Żywoty ducha, czy męki człowieka!

XV.

W jedną girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą, jako świata książę,
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią...
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!

XVI.

Pamiętam ten głos i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „to Królowa!“
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło... A wtem jasność przyszła nowa,
I w tem powietrzu jako w dyamencie
Ukazał się wid... Piękność, córka *Słowa*,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy...

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;

Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły, jaśminy i maki-korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych, niby fala;
Jak atłas, który bierze różne tony
I drżąc, swe hafty gwiaździste zapala:
Tak niebo za nią od północnej strony,
Gwiazdy swojemi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać... w ogniu od zorzy rumianym.

XIX.

Więc czego woda letejska nie mogła,
To ona swojem zrobiła zjawieniem;
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty, i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem...
Opowiem. Ja, Her, powalony grzmotem,
Nagle, gdzieś w puszczy, pod wieśniaczym płotem

XX.

Budzę się. Straszna nade mną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
„Ojczyzna twoja,“ wrzeszczała, „zabita;
Ja jedna żywa... A ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i piołuny
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
Synu popiołów, nazwany *Popielem*.

XXI.

„Sam jeden jesteś, ale cię przymioty
Ojców napełnia ... a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanie-ć jeden anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy:
Ci dwaj, ty trzeci, i mój głos jak grzmoty
Pędzący w zemstę.“ To mówiąc, pieluchy
Moje chwytała, i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem, jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada;
Gdy spojrzę, liść się tylko zawieruszy,
I w kształt złotego widma wstaje, pada,
Czasem na moją pierś tumanem runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

XXIII.

O! pierwsze mego ducha nawałnice!
Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
W której się mój duch niby gołąb kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszczę wejdę, to mię coś tak smęci,
Że radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiaździc morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali właśni;

Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mając w sobie całe Polski *Słowo*
I moc, i rózgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiem, jako duch pod ziemią widzi,
A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
Żórawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wloką duchy; świat zeń szydzi,
Ale go chłopek czuje królem gadu;
I wie, że na te źrenicy blachmany
Bije świat duchów tęczą malowany.

XXVI.

Te oczy ręką zasłonione bożą
Czasem pod ziemią idą złotą żyłą,
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą,
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą ... właśnie ... gdy gromada
Urąga ... śledząc zamyślone czoło.
Ta mądrość, która cały świat spowiada,
Dawniej perłową wieńczona jemiołą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar ... nie próżna guślarka.
Lecz Mądrość — chorób duchowych lekarka.

XXVIII.

Więc wkoło ... wioski w wieńce kaliniane
Strojne i roki poświęcone duchom,

Mogiły kozom i pasterzom znane,
Trzody dziwiące się ptaków rozruchom,
Mogiły dawne! dawno zapomniane!
Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
Z darni odarte...

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski nakształt złotego upiora
W lasach powstanie... Kiedy rycerz sławny
Umrze... to lud go grzebie jak Hektora:
Dwanaście koni bije, i krwią spławny
Stos... gdzieś pod lasem... pod mgłami wieczora,
Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
Zamienia w ogień... i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszcze się jawią w ogniu i guślarze
Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże
Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
Cześć ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy, wyroki uprzedzając boże,
Dla ciał... nie krzyże mieli... ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał jak sok bachusowy.
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata wkoło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskroś przeszyła,
I przeszył ogień zorzy brylantowy...
Gdy wejdziesz w ciemne granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi?
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?

Ale jak żóraw skrzydłami ciężkiemi
Próbujesz nowej po błękitach drogi.
Między głazami dawniej czerwonemi,
Między miesiącem i polnemi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przelatują.

XXXIII.

W takich kościołach, duch z wysokiem czołem
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kłątem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni:
Padajcie, głazy! przed ducha aniołem!
Krzyczałem: — jako gromada jeleni
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych... gińcie lub wstajcie!

XXXIV.

I nic! Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zieloności...
Bom przewędrował kraj, który mię rodzi...
Inaczej z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną...

XXXV.

Ja, syn wyrżniętych ludów... ja, istota
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu...
Gdy obaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane:

XXXVI.

Gdym to obaczył — a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobów smętnego słowika),
Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka...
Już tchem... już ogniem była... już bez ciała...
Już mgłą... a jeszcze za światem śpiewała: —

XXXVII.

Gdym to obaczył... tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi... sam nie wiedząc czemu...
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnej łodzi... bez nikogo...

XXXVIII.

Przerażon w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem...
A głos jej czasem nie był — ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jej rady,
(A rada była dla ducha fatalna)
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,

Sądząc, że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm... usiada na czele...
I drogę moją piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być... i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.
Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnemi sprzymierzył,
Teraz tak straszny!... że komu Ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył — wnet się wali.

XLI.

I zczerniał cały świat: a Ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.
Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym nad gopłową wodą
Byłem najpierwszym złotym wojewodą...

XLII.

Tu, patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy,
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych... w tak wielkiej ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Pierze leżało zmokłe... lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku takiej miary!

Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno... to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało — stając leniwe z moczary:
Niby wezwany czarodziejstwem runów,
Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV.

Taka w tym skrzydle była tajemnica
I ludzkość! żem się spytał: — Powiedz, sępie,
Czy was na wiatrach paląc błyskawica,
Rzuciła w takie nic... i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?...
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw?... czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

Powiedz, jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych?
Gdzie tyle górnych duchów dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych!
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych,
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy, wspaniały!... czas późny!...
Błyskawic blaski wszędy!... wojsko w dali;
Gdzie każdy człowiek był, jak upiór, groźny,
Skrzydlaty, w czarnej rozświeconej stali.
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: Sława Bohu! świat się wali!
Ja pierwszy moją piersią go roztrącę!
Ja, duch! a za mną wojsko latające.

XLVII.

To mówiąc, skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła, za cel brałem sławę;
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomódz do domów.. O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły, choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli;
Jam wszedł jak anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się król w odblaskach rubinu,
Spojrzał i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem: jako łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, Dobroć cicha
Znikła... A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał nakształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna,
Żali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw, i króla w źrenicę nie bodła?...

L.

A on, na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc, (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura)
Pobladł i berłem mię wskazawszy, zwalił.
Wzięto mię. Dusza ma czarna, ponura,

Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć;
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać, mój miecz w łono starca wsunąć,
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał, nie bronią, lecz wężem.

LII.

Wzięto mię... a ja w podziemnej ciemnicy,
Sam do filarów przykuty kamiennych,
Jako pający, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych
Snuć długie pasma. Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata!
I taką wielką rządzicielką kości,
Że ciągle echem duchowego świata
Gadała; ciągle z jego okropności,
Z tych głębin, gdzie ćma niewidzialnych lata
Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepcących... brała straszną siłę sztychu,
I tę jak piorun ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
I goił burze ducha, ten się mylił.

Z ducha mi ciągle szedł grzmot, a Lech słyszał
I czuł, żem ja go gryzł, do ziemi chylił.
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnej mocy ducha nie wysilił;
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te, jak sługi moje, były ze mną.

LV.

O! wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza;
Dla was są próżne tych czynów postacie,
Dla innych... ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żałobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu jakaś mara biała...
A tam... kształt jakiś czarny i niepewny...
Owdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała;
Ujrzałem lice przecudne królewnej,
Której z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła, zamieniwszy jej ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg złociste jej włosy
Wlokły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone jak dwa złote kłosy,
Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni.
Te kwiatki, rzekłbyś, że dwa żywe Losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę, uczepione skrycie
Do nóg idącej falą Amfitrycie.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojej przed rysy innymi.
Reszta mgłą. A mgły moje tak ją krwawią,
Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawią
W oczach pamięci duchy... i z białemi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja gdzieś w głębi, do granitnej nory
Schowany, niby kłąb piekielnych duchów
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory,
(Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słysząc, że niegdyś rodziła natura
Smoki w płomienie ubrane i w pióra)...

LX.

Ja pomny na to, żem tronowi służył,
A doznał zdrady, choć nie miałem winy,
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył,
Dotknięty okiem królewskiej dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy, cały siny...
Z takiem sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić jak płomieniem.

LXI.

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy!
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty!
Który na słońce idzie w księgach Edy,

I gwiazdy... niebios lazurowych kwiaty...
Ogonem zbiera, w swe czerwone płuca
Wchłania... i z ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny,
A tem straszniejszy, żem był nieszczęśliwy,
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcej wtenczas jej, niż wolności chciwy.
Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota? (cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone)
Nie wiem, to wszystko poszło w mgły czerwone.

LXIII.

On jednak, ten duch, nie wiedząc co czyni,
Jednem niebacznem słowem pchnął mię w górę.
Ona — ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś Sybillijnej skrzyni,
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom), że jej koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

LXIV.

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła: a ojciec zasmucił
Czoła... i miał już przywołać guślarze
Sny tłómaczące. Gdym ja nagle wrócił —
Skrzydlaty orzeł — i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długiemi ustawił,
I sen jak w jasnej błyskawicy zjawił.

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała pani,
Jakoby sama siebie winująca,

Że wtenczas śniła, gdy w skrzydła uprani
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca
W ogniu piorunów. Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca,
Sprawili, że snu na nią malowidła,
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

PIEŚŃ II.

I.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki,
Zamek stał cichy na piaskowej górze:
Zimno północne i traw zapach dziki
I serce smętnie bijące w naturze
Dwa razy mocniej zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie... i koń był koło mnie.

II.

Na jednem ręku niosła swe warkocze;
A drugą, północ wskazała odludną.
Na to ja rzekłem: na północ nie wkroczę,
Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę,
I będę pędził aż drugą tak cudną
Jak ty pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królowę ognia albo wody!

III.

Jeśli nie... wrócę jak straszydło krwawe
A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
Cień obalony miesiącem na trawę
Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka.
Miesiąc mu daje tę straszną postawę,
Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka,

A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może napowrót grom go tu przypędzi.

IV.

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
A tem wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny.
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świeciła..., szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące, jak morze.

V.

Dyana, jak liść wierzby — już zielona,
Już jako róży liść różano-złota,
W ognistych się mgieł zanurzała łona,
Zmienna, jak w sercu młodzieńczem tęsknota,
A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją, niż przed strażą.

VI.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
Jak upior złoty, a we krwi umyty,
Złotem cię dziwu wabił ku zdobyczy,
A krwią ohydzał wszelki czar zdobyty,
Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go ucisnął: a tarczy błyśnieniem
Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

VII.

Po ciemnych puszczach, gdziem się błąkał — gnana
Wichrami straszna przyszłości orlica!

Kto mię napotkał, myślał, że szatana!
Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica,
Zbroję i skrzydła i młot u kolana,
I dzidę, która gorzała jak świeca
Między sosnami, samych niebios blizko,
Miedziane mając ostrze — jak ognisko.

VIII.

Na jednym pustym śród sosen smętarzu
Spotkałem smętne i dzikie Germany...
O! duchu! dawnej przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
A na nich orły wydarte legionom,
Podobne lampom złotym i koronom.

IX.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie,
Kto ci przyczynił głosu i języka?
Liczni — krzyknąłem, jak gwiazdy na niebie!
Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
Ja, syn popiołów, ojciec mogilnika!
Urra ha!.. Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. — Wszystko wstało!...

X.

Wszystko!... Dziesiątki całe groźnych kroci
Wstały gotowe na rzeź urahanną...
Wszystko!... Na boku tylko śród paproci
Białością swoją mnie zadziwił szklanną
Kształt jakiś, śpiący, cudownej dobroci
I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posąg... w jutrzenki światłach jak w płomieniu...

XI.

Rzekłem więc: Czy to jaka jest królowa
Wyrzniętych ludów? nieskalanej bieli?
Którą tu smętnie czarujące słowa
Na fiołkowej uśpiły pościeli?...
Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
Jak lampa, która ciemność rozweseli,
Skoczyła... chwilę na błękicie trwając,
Jak gwiazda... potem błysnęła spadając...

XII.

A ja, zawrzawszy gniewem... i brzeszczota
Dobywszy... tego barbarzyńca w czoło
Tnę tak, że jako grenada się złota
Rozwalił ów łeb... tu połą... tam połą...
A ja ów zegar widzący żywota
Z tajemnicami, żył czerwonych zioło,
Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy,
Porównywałem dwie głów, jak dwa duchy.

XIII.

Ledwom uczynił to... nowe mi moce
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc... tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem;
Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

XIV.

Dziś tam głęboki sen w tej puszczy lata!
A może jeszcze posąg biały leży!
A może jaka nadistrowa chata
Mówi powiastkę moją... i nie wierzy...
Ani wie, jako na zniszczenie świata

Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy?
I obaczywszy mnie jak burzę ciemną...
Duchy gwiażdżące zawiesił nade mną.

XV.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów miliony?
Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony...
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam
Czynić, a one na pomoc przywołam.

XVI.

Z barbarzyńcami... sam... na uroczyskach...
Człowiek... duch... pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda,
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą... jak pianie kurów u Piłata...

XVII.

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją...
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny;
Przedrannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny...
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,
I przerażeni cichością godziny,
Gotowi zaprzeć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

XVIII.

Jam to czuł, mimo że krew moja biła
Jak piorun w żyły, że hełm od niej dzwonił;

Kita się ogniem czerwonym paliła,
A młot skry takie jak miesiące ronił;
Koń gadał... dzida rosła... szabla żyła...
Wiatry dawały rady... obłąk bronił...
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze...
O dobrym złote żórawiane klucze.

XIX.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany
Wpadłem na ziemię moją nieszczęśliwą;
Lech nie żył; a lud jego zabijany
W królewnę patrzał, jako w gwiazdę żywą...
Ona też pancerz złoty, malowany
Kwiaty różnemi, jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
Podobna białej Anhelicy — Sławie.

XX.

Koło niej ciągły tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
Ilekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą:
A nic, gdy biją... straszniejsi, gdy jęczą.

XXI.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków...
Gdy te ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków.
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysiączników,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę.

XXII.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
Siedząc na prostej powózce Germanów,
Rzekłem: niech pierwej dziewczęta rozplotą
Warkocze... córki najpierwszych Supanów,
Niech sama Wanda płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina... Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą.

XXIII.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
I nasze dzikie dusze pozachwyca!
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanemi:
Co chce!? niebiosa całe — i pół ziemi...?!

XXIV.

Z tem stary Śwityn i Czerczak posłowie
Odeszli. A mnie jej postać, wprzód senna,
Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie,
I coraz bardziej jawić się płomienna.
Więc potem, kiedy ległem na wezgłowie,
Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie,
Jak duch tęczami różnemi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie

Wiązała jedną pieśń na różne nuty...
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne,
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI.

Słysząc te głosy, z któremi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
Obracająca powietrznem chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc... przywiodła duch, że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń, jak zwaryowany.

XXVII.

Jeszcze noc była, a ja hełm na głowę
Włożywszy, wsiadłem na koń, pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
I zamek, wieży sterczący kawałem
Nad Wisłą, gdzie lud tę swoją królowę
Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy, w róg mosiężny dzwonię,
Grzmię, aż mi wszystkie oderżały konie.

XXVIII.

Wychodzi siwy Śwityn Wojewoda,
Ze snu czerwone przeciera źrenice.
— Idź, rzekłem, bo mi słów wczorajszych szkoda,
Za nadto ostre pokazałem lice;
Niech mi królowa wasza, jasna, młoda
Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona:
Pieśń mi zaśpiewać, paść w moje ramiona. —

XXIX.

Nic nie rzekł Śwityn, lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.

Rybacy srebrne trzymali niewody;
Kilka świec (choć już ranek błyszczał biały)
Nieśli kapłani, z lutniami Rapsody
Siedli na zrębie jednej małej skały,
Pod bladą wierzbą, mgłą ranną okryci.
Na wzgórzach w zmroku zapalano wici.

XXX.

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem, tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Dyadematów złotych półmiesiące;
Inne bławatki do wieńca potrzebne
Zbierały w trawach, kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
Lecz ileż razy różaność przedwschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki budzące się do dnia,
I tęcze, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
Przypominały obraz on tak rzewny!...
Ubranie martwej na łąkach królewnej.

XXXII.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą pozłotę słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni,
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
Pełny, okrągły, blady się przemienia
W mgłę... jak cudowna twarz srebrnego cienia...

XXXIII.

Taka jej bladość! nieco ku błękitom
Nachylona już zgonu okropnością,
Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
Z upiorną niby odśmiechnione złością.
Zresztą, spokojnie się onym kobietom
Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu —
A strach powiększał trupa w oczach gminu...

XXXIV.

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I połamawszy miecza, w błyskawicę
Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nade mną ducha mrok i złote świece
Miecza nad kitą moją purpurową,
Jak zawierucha olimpijska, wstały —
Mój duch na hełmie stanął... w ogniach cały.

XXXV.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
I szli jak morze huczące zdaleka.
Stos wystawiłem okropny, książęcy!
Taki wysoki, że wiślana rzeka
Na bladych trupów zatrzymana murze
Stanęła — cała jak upior w purpurze.

XXXVI.

Lecz pierwej nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!
„O! włosy! nie dam ja waszym pierścienio
W ogniu z wiślanych oschnąć dyamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom

W gmachy filarów pełne i zakrętów,
W alabastrowej cię położę trumnie,
Każę strzedz wieków śpiewaczce — kolumnie.

XXXVII.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem
Cicho na białych atłasach położę;
Sam przyjdę, jak lew legnę, i wzdychaniem
Śmiertelnem twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz w tych podziemych cieniach
Coś czytająca wiecznie na kamieniach?

XXXVIII.

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica
Z otwartą, szklaną źrenicą i suchą;
A ty, jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Że pieśń z tysiąca lat... chwilę... uczyni!"

XXXIX.

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
Upoić krwawym rycerskim sztandarem!
I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

XL.

Tam ją, krzyczałem, gdzieś na lodowiskach
Złożę, jako kwiat ujęty w kryształe!

I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale,
A sama z dzikiemi orły na urwiskach
Dzikszy niż burze! straszniejszy niż fale!
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć! i ogniom pochłonąć!

XLI.

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą.
Potem więc roki się zabrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał;
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XLII.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej a nie dla spowiedzi?
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.

XLIII.

A nie Bóg nad tą żywota fortecą
Zgwałconą twarzy pokaże, to przecie
Komety złote na niebie przylecą
I bliżej oblicz ukażą na świecie,
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
Jak widma, jedno i drugie i trzecie...
Jeśli nie zlęknę się a krew mię splami...
Kto wie!?... jak słońca przyjdą tysiącami!

XLIV.

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych! może z krwawemi oczyma!
A tu koło mnie powietrze cmentarzy
I ciągła burza, wiatr, ognie i zima,
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy,
Słońce pobledniе, księżyc się zatrzyma,
Gwiazda zajęczy jaka lub zaszczeka?
Wszystko pokaże, że dba o człowieka!...

XLV.

Jeśli nie, rzekłem, jeśli z tym motłochem
Postąpię sobie jak król zwaryowany?
A żywot jak wąż schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany?
To ludzie są proch! i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tem straszniejszy, że go własne siły
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

XLVI.

Zaledwie ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją jasny i suchy,
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach, czy są duchy?
Więc naprzód Czerczak u nóg mi nikczemnie
Proszący o łeb pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj prorocy,
Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

XLVII.

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem, niby z nim będące w zmowach.
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi
Idących na śmierć z świecami, w okowach.
A niebios! niebios błękitne framugi,

Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche, obojętne!
Mnie się wszelako zdawało, że smętne!

XLVIII.

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze;
Albo, że ze ścian ogniem zapisanych
Wyjdą pająki z ognia... straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą
I wyrok jakiś ognisty napiszą!

XLIX.

Myślałem, że me noce niespokojne,
A dnie jak noce bez gwiazd będą czarne,
W ciemnościach jęki, albo chrzęsty zbrojne,
Tchnienia na czoło chłodne, albo parne! —
I nic!... ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z bożą wzgardą.

L.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło z czasów onych,
Gdy stepy całe, dziś w mogiłach widne,
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych...
Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa,
A jam był senny jak wąż, gdy poziewa.

LI.

Czasami z góry na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię, i tak jako owce

Najpierwsze państwa Karacze, Supany
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce.
A ja, bywało, z góry jak sęp dziki
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore... dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono,
Ani się serce strachem zakołysze...
Jako Lucyfer z błyskotną koroną
Stoję... a zbrodni mojej towarzysze
Na większą niż te wszystkie okropności
Patrzą — na mą twarz śmiertelnej bladości.

LIII.

Dziwią się wszyscy, że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam;
Nie wiedzą, że ja, duch natchniety, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych, i znów za miecz chwytam
I znowu cały świat na siebie wściekam!
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciał długość przedłużył...
Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
Póki kruszyłem duchom łódź i wiosło...

LV.

Poszedłem dalej... i w męki wyborze
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa Boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć.
Matkę mi z lasu stawiono na dworze...
A ja zamiast się u nóg jej położyć,
U tej w łachmanach podartej orlicy —
Ciała użyłem za knot smolnej świecy...

LVI.

Rzekłem ludowi, że mnie czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła.
Z włosem palącym się jak ptak latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuła
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła;
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnej chorobie.

LVII.

Raz tylko byłem tak na niebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
A byłem cały jako trup zczerniały,
Który stoletnię miał w ziemi trumnicę,
A już robaki z niej pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
I czerwonemi przerażone łzami
Trupa... i kości spróchniałych ogniami.

LVIII.

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący!
Taki upadły! i taki zużyty!
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity
Tę ziemię jako anioł wzlatujący

Z pieśnią ... co była jako szklane zgrzyty
Harmonik i szła w ton coraz boleśniej,
Aż upadała w śmiech, w szaleństwo pieśni! ...

LIX.

Gdy mię, bywało, taki czar omami
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko piana się ze łzami,
A usta milczą, to mój duch omamion,
Wszystkiemi zda się kręci księżycami,
A gwiazdy nakształt muzykalnych znamion
Chwyta i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie *Pieśń Sen*, lecz *Pieśń Mocarza*.

LX.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały,
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły ... pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów ... i zamknął napełnioną grzmotem.

LXI.

A tymczasem mię wielki Pan niebieski
Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
Grzmiały jak trumny. O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy,
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII.

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, żem blady

Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
W której pływają gniazdem wężo-gady;
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi
(Purpurowe tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla duchów czerwonych — do piekła.

LXIII.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie.
Gdym wyszedł ... lud giął przede mną kolano,
Lud owiec, który się k'pasterzom garnie!
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie!
I między niemi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

LXIV.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte;
A przez czerwoną, rubinową korę
Patrzy duch, widmo przeszłości przeklęte!
Przez jakież, Panie! męki i pokorę,
Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte
Musiałem ścierać strach z mojego czoła!
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?

LXV.

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce,
I meteorów ogniska i burze,
I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę,
I chciał zobaczyć, sługa, komu służę?
Żem chciał zobaczyć, Panie! Twoje lice,
Cztery pioruny Twoje, świata stróże ...
Wszystkie potęgi Twoje o świat drżące,
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące,

LXVI.

Tyś mną pogardził, Panie! i ominął,
I do straszliwej śmierci doprowadził. —
Śwityn żył jeszcze. Starzec sławą słynął,
Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Granicę mego królestwa rozwinął,
Na dwu srebrzystych morzach mię posadził;
Stary, a miecza do pochwy nie chował.
Jam go jak ojca — kochał — i szanował...

LXVII.

Pamiętam, biła północna godzina,
I konstelacya łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdziem był, leciała jedyna,
Sufitów próżnych lampa śród ciemnoty;
Wtem myśl ohydna o śmierci Śwityna
W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą, żem wnet ku niej dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niej...

LXVIII.

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
Już jako pani mego serca była.
Sprobuj, wołała — jeżeli ten skona...
A żadna zorza by nie zaświeciła;
A żadna gwiazda z tych gwiazd przerażona
Nie przyleciała? krwi się nie napiła?
To wtenczas będziesz spokojny o ducha:
Ziemia proch! człek z niej jak wulkan wybucha.

LXIX.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach
I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
Za myślą twoją idź, nie myśl o czynach!
Probuj, czy niebo martwe jest, czy żywe?
Tak mi ktoś szeptał. Gdyby w stu Świtynach
Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzały na mnie z grobu jego wzrokiem,
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX.

Wysłałem katy; lecz myśl, gdy się kwieci,
W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.
Posłałem drugie... dwór, żonę i dzieci
Wyciąć. Był ciemny dzień i grad z ulewą.
Czasami słońce ponuro zaświeci,
I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze,
Bom stał, czekając tych katów — na wietrze.

LXXI.

U progu mego żebractwo się szare
Skupiło. Patrzą... król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę
Jęczącą gradem bijący po zbroi.
Wtem wyszło do mnie suche widmo stare —
Żebrak... i blizko stanąwszy podwoi,
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościał... i podał mi list od Śwityna...

PIEŚŃ III.

I.

Na dworach wówczas nasze wojewody
Trzymali sobie nadwornych gęślarzy,
Ci byli jako rycerstwa rapsody,
Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze srebrne, długie brody
Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral lub w srebro lub w bursztyn oprawne.

II.

W ręku trzymali niby pastorały
Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Temi, bywało, chłopczyków chorały
Pędzą... i wiodą takt przez harmonije;
A kiedy w górę kij podniosą biały...,
Wtenczas z choralnej pieśni piorun bije;

A kiedy spuszczą na dół berło dziada,
To na kolana pieśń jak anioł spada.

III.

O takim kiju, z lireczką u pasa
Stał stary rapsod Śwityna u proga.
Na płaszczu, pomnę, była różna krasa
I łaty różne; zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
I różne światła płoną... Jego noga
Bosa, dziś świeci przed memi oczyma,
W obwiązkach, srebrna, jak muszla pielgrzyma.

IV.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą
Podróżny żuraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrną-włosą,
Stał w płaszczu starym, jak w błękitnej chmurze,
I list podawał... Iryda za kosą
Wlokąca tęczę, gwiaździce i róże
Nie jest mi piękną tak... gdy z niebios spada...
Jak to wspomnienie dawne — tego dziada!

V.

O! złote serce śpiewaka i sługi
Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana!
Miej grób, którego nierozorzą pługi,
Do zaklętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi
(Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana)
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiewaj! — a liry też czasem pokręcaj!

VI.

Niech mi przypomni czary tobie znane
I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
Rzędem, jak dźwięku anioły w organie;
A przebacz mi już tę okropną ranę

I to straszliwe nóg przyćwiekowanie,
Któreć odjęło (to coć najboleśniej!)
Twój najpiękniejszy czar — wędrowność pieśni!

VII.

On mi podawał list... a ja na nodze
Jego oparłem miecz żelazny, krzywy,
I czułem, że mu między kości wchodzę:
A on stał — jak Bóg wielki — bo cierpliwy!
Mieczem przygwożdżon w kamiennej podłodze,
Którą czerwienił krwawy koral żywy...
Stał... obwinięty ów żebrak w błękicie...
I tak się na mnie patrzał, jak na dziecię.

VIII.

A ja nie zdjąwszy miecza z jego rany,
Owszem głębiej go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
Paliły mi mózg i gryzły wnętrznoście.
Ten list! na sercu mojem zapisany
Nad wszystkie ducha mego okropnoście
Głębiej swe straszne zarzuty wykował!
Bo mną ten człowiek gardził — choć miłował...

IX.

Kacie ojczyzny mojej! i tyranie!
Mój królu wczora! (pisał Śwityn stary)
Na dobrowolne poszedłem wygnanie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary...
Ty mię wyganiasz? a ja, o mój Panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie, sam znikam bez wieści...
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści...

X.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój! chętnie w ręce twoje złożył

Tę głowę ściętą ale uśmiechnioną,
Której Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono
I nad kościami ludzi się nie srożył,
Gardząc miłości ostatniem spojrzeniem,
Mszcząc się nad kością, jak pies nad kamieniem.

XI.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie... Twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak jak pochodnia świecąca w wilgoci,
Cały oświecon ogniami i parą.
Tyś mię sam ostrzegł!... a to nie z dobroci,
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słychać ciebie... i czuć... choć z daleka...
Kiedy pomyślisz... o śmierci człowieka...

XII.

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega:
On naprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega,
Gdy twoje ciało śpi... a ząb twój zgrzyta.
Duch twój wychodzi i po kraju biega
I targa włosy... jęczy jak kobieta...
Ty zmordowany jego lamentami
Wstajesz, nie wiedząc, żeś płakał nad nami...

XIII.

Jakiś cię anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe,
Lud rozhartował... a ciebie skamienił,
I kazał ludy orać jako niwę..,
Abyś co?... wiatry wiejące spłomienił
Duchami, które wyszły z ciał... a żywe
Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie...
Jak wiatr na ciebie! — i przeciwko tobie!...

XIV.

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze...
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem... który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie! na wylądzie
Brzegu, o który grzmi ogniste morze
Krwią twoją jasne i zafarbowane!
Czekam!... z tym listem przeciw Tobie stanę!...

XV.

Tu ci nie błyśnie więcej moje lice,
Choć niedaleko lecę... żóraw szary.
Pobytu mego mają tajemnicę,
Ja tylko, mój koń, mój Rapsod stary.
Prędzej byś zgonił letnią błyskawicę
Niż mego konia... Człowieka zaś wiary
(Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszą) sprobuj, królu, masz go w ręku!

XVI.

Taki był straszny starego Śwityna
List... ja w nim groźbę jęczącą słyszałem,
I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko... a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina
Z całą wściekłością! z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć!
Wszystko!... a złamać harfiarza — lub skruszyć!

XVII.

Stary był... pomnę... Zoryan się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał,
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał — ani wydobywał

Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki:
Głaskał ją tylko (wyjaśniwszy lice),
Niby zlęknioną, białą gołębicę.

XVIII.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
„Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką!
Ani się lękaj cielesnego zboja!...
Nie bój się, moja maleńka lirenko,
Nie bój się, siostro! nie bój, córko moja!...
A na tożby to nasza mądrość była,
Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX.

„Przyjmowano cię po domach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
Bądźże dziś wdzięczna... a nie płacz przy katach,
Bo się ucieszą i ton twój pochwycą.
Czekaj... wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą!...
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak anioły śpiewają!

XX.

„Czekajże, liro!... śpij!... Błogosławiona
Ta błyskawica jasna i rumiana!“
Tu wzięty w złote, ogniste ramiona
Zniknął... A mój duch uczuł wtenczas Pana.
Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana...
Pierś, która wiatru w się więcej nie bierze,
Ostrzegły... że już do piekła należę...

XXI.

Dysząc, na konia siadłem... od popiołów,
Które pożarły pieśń obsypan... w szale.

A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła... w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzony... za mną w Wisły fale
Rzucił się, gotów mordować do końca,
Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII.

Ja przodem. — W czerep czarny, ołowiany
Ukrywszy głowę moją, jak w kapturze,
Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany,
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień w chmurze.
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze...
Że trupy swoje wyrzezane chował.
Duch mój przede mną tam był — i mordował.

XXIII.

I przestraszyłem się — bo mi z pamięci
Wczora wydane rozkazy wypadły.
Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali blademi przede mną widziadły;
Jam wrzeszczał: kto tu prędzej niż me chęci,
Niż myśli moje? kto srożej zajadły
Na krew Śwityna niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił jak Bóg — myśli moje?

XXIV.

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
Tu wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
Te sionki z cedru... które głosem ruszę...
A one pełne ech, jęków i krzyków,
Śwityna głosem brzmią na każdem piętrze,
Jakby starego instrumentu wnętrze.

XXV.

Ja jeden... który do szaleństwa skłonność
Mam... wpadłem tutaj o jutrzenki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
Ani pieśń rodu śpiewana w sufitach,
Ani mię zemsty nieudolnej płonność,
Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach
Nie zatrzymali... Nic niema na niebie!
Ja sam jak Bóg będę sądził siebie!

XXVI.

To mówiąc, kostur wraziłem okuty
W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was, zbrodni wykonawców...
Tu zamek cały błysnął na kształt huty
Ognisk czerwienią... A ja tych bladawców,
Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
Siadłem — trup jasny pijaka rumieńcem.

XXVII.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
Śwityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały zbrodnie...
Widma... w płaszczach z krwi, z zielonemi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne... a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

XXVIII.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie! Ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore...
Jam zbladł: i kosztur wyrwawszy ze ściany,

(Sądząc, że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka)
Na wskroś przeszyłem w pierś tego człowieka.

XXIX.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiaździcy...
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy.

XXX.

Wtenczas... w tej gwieździe oczyma usiadłem,
I mocowałem się z nią jak z szatanem:
Truciznami ją serdecznemi jadłem,
Trawiłem jadów duchowych gryszpanem.
Więc czasem ona... a czasem ja bladłem.
Ażem nareszcie padł... jednem kolanem
Przyklękły... dysząc... przejasnemi świty,
Jak rycerz w szrankach dzidą, w pierś przebity.

XXXI.

I obaczyłem w gnieździe niby znamię
Ognistsze... powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem, że mi ducha łamie
Na wieki jakaś moc straszna, głęboka.
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy, i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: Przyszła z moim zgonem

XXXII.

Kometa. I tu coraz bardziej blady,
I mieszając się już, rzekłem ponuro:

Świat zwyciężyłem! i oto są ślady,
Żem duch mający moc nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady,
Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

XXXIII.

Idźcie... Już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią... i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią i tem się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał!

XXXIV.

Co do mnie, jam jest bicz okropny, Boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłości... jak psy spuszczone z obroży!
Żądze jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi, i wszechcierpienie!

XXXV.

Duch mój odpowie. Lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
I w pieśni długiej wędrownego dziada,
Żem żył. Chwasty mi porosną na grobie.
Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

XXXVI.

Ale po latach! — Chciałem mówić więcej,
Wtem się zaczęła kości targanina.
Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
Szło iskier... topniał na mnie drut i cyna.
Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły czarną,
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII.

Nic więcej. Straszne zaćmienie i głusza!
Na sercu ręki bożej położenie;
Docisk ostatni, pod którym się dusza
Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie.
Więc jako robak, co się w ogniu rusza,
Tak ona, póki w ustach było tchnienie,
Leżała na dnie swej serdecznej plamy,
Aż Bóg otworzył jej — wieczności bramy.

XXXVIII.

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czem była istota
Czynów? w czem wyższość od rzymskich Herodów?
Nade mną była myśl słoneczna, złota,
Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi.
Jam szedł jak rycerz krwawo — i bez trwogi.

XXXIX.

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słychać było w każdym moim kroku;
Choć być na takiej drodze? lepiej w trunie!
Choć z myślą taką? lepiej z włócznią w boku!
Prędzej, czy później? deszcz piorunów lunie

Na orła, który słońce miał na oku;
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją...

XL.

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból — skała
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ja wycisnął
Pod krwią, tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął!

XLI.

Śpijże, mój kształcie pierwszy, z ducha zdjęty,
Świecący w dali, jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane.

XLII.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I dalej szedłem; a jużem był Boży.
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem.
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

R. 1846. Paryż.

DRAMATY.

MINDOWE

KRÓL LITEWSKI.

OBRAZ HISTORYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

Mindowe, król litewski.
Rogneda, matka Mindowy, ociemniała.
Hejdenrich, krzyżak, Legat papieski.
Dowmunt, książę znalszawski.
Aldona, żona Dowmunta.
Trojnat, synowiec Mindowy.
Herman, krzyżak.
Wojsiełko, mnich, syn Mindowy.
Lutuwer.
Krzyżak.
Mnich 1-szy.

Litwini. — Krzyżacy. — Paziowie. — Orszak mnichów.

Scena w zamku nowogrodzkim.

AKT I.

SCENA I.

Sala w zamku Mindowy.

Trojnat, Herman, Paziowie niosą kobierce.

Herman, do Paziów.

Rozścielcie tu kobierce, papież je przysyła
Dla króla poganina, co dzisiaj chrzest bierze.
Święta korona skronie pogańskie okryła,
Niech więc czci wiarę, niechaj jej świętości strzeże,
Niech poważa Krzyżaków święcone klasztory.

Trojnat.

Jakże cudnie utkane zamorskie bisiory!
Po takich łąkach nieraz śledzę sarny tropy.
Niemcy musieli pokraść z naszych dolin kwiaty,
Wstąpię na nie, woń może wydadzą z pod stopy.

Herman, wstrzymując go.

Wybacz, Książę Trojnacie, nie masz chrzestnej szaty,
Nie możesz po nich stąpać, z Rzymu je przywożę.

Trojnat.

A kiedy będę królem, będę mógł?

Herman.

Ha! może?
Jeśli razem zostaniesz i kościoła synem.

Trojnat.

A kiedy będę królem nie-chrześcianinem?

Herman.

Marzysz, Książę!

Trojnat.

Ty marzysz! jam dziedzic korony.
Kto wie, czy będę czekał, aż losu koleją
Spadnie na mnie dziedzictwo?

Herman.

Łudzisz się nadzieją,
Płonną nadzieją... Słyszysz chrześciańskie dzwony!
Słyszysz? chrześciańskiemi przemawiają słowy.
Umilkły wasze bory, ustały drzew szumy,
I ludzie milczeć będą i uchylą głowy.
Słyszysz te dzwony! teraz zbądź niewczesnej dumy.
Zbladłeś?

Trojnat.

O nie! myślałem — że dzwony usłyszę
Na pogrzebie Mindowy.

Herman.

Przy dzwonów odgłosie
Może ciebie w grób włożą?

Trojnat.

Ja — spłonę na stosie!
Mnie modrzew cichym szumem do snu ukołysze.
Jeszcze usiądzie sokół na martwem ramieniu,
Nastrzępi pióra — chartów zaskowycze sfora.
Ani mię ciasna ziemi uwięzi zapora,
Ja z pieśnią wajdeloty ulecę w płomieniu:
Ulecę — może razem z jaką Niemca duszą.

Herman.

Nie słyszę twojej mowy, bo ją dzwony głuszą.

Trojnat.

Wykręt krzyżacki — słyszał!

Herman.

Już wydane hasła,
Śpieszę chrzcić króla Litwy.

Trojnat.

Tyś zawsze gotowy
Chrzcić i grzebać ochrzconych — idź na chrzest Mindowy,
Zapal tam świecę — zapal — i strzeż, by nie zgasła,
Nim się dopali, pójdziesz za Mindowy trumną,
Oszczędzisz sobie trudu.

Herman.

O książę Trojnacie!
Nadto słabą masz rękę, duszę nadto dumną;
Do czegoż próżne groźby...

Trojnat.

Czyliż wy mniemacie,
Że trudno zabić stryja? Ochrzcić trudniej było,
A wyście go ochrzcili. Byłem królem we śnie,
A o chrzcie nigdy mi się nawet i nie śniło.

Herman.

Jeżeli tak? zamiary odkrywasz zawcześnie.
We mgle ukryta zemsta, posępna i cicha
Jest stałością rycerza; jawna — dumą dziecka.

Trojnat.

Gdzież więcej dumy jako pod tą zbroją mnicha!
Jak wąż się kryje podła, nikczemna, zdradziecka,

Sam cel często łożonych trudów nie opłaci.
Patrz! Braciszek zakonu, najpodlejszy z braci,
Ostatni, wśród posępnej wychowany celi,
Nędzny — na granitowej zasypia pościeli,
Lub, o nędzo człowieka! w trumnie odpoczywa.
I tam uśpiony, dumę zdradza przez sen, słowy,
Rządzi klasztorem, z dumnej przełożonych głowy
Brylantami błyszczący znak godności zrywa,
I sam się stroi — patrzaj! a ten przełożony
Już marzy o czerwonym na głowę birecie;
A ten, co biret posiadł — przez sen już ma trony,
Trony papieskie — Papież? — Papież starzec — dziecię —
Dziecię przy królu Litwy, nie straszny nikomu.

Herman.

Wielki nasz Papież usiadł gdzieś w italskim domu,
Z drżącą starości dłonią, z osiwiałą głową.
Wielki! — niechaj wyrzeknie jedno ciche słowo,
Którego brzmieniem ledwo zabrzmią echa sal;
Od dźwięku tego słowa mnogi tron się wali:
Spadają króle, berła wypuszczają z dłoni,
Lub chwieją się jak wieże, gdy Bóg wstrząsa ziemię;
Ale gdy twarz łagodną przed ludem odsłoni,
Chrześcian mnogie na twarz pada przed nim plemię,
Drżące błogosławieństwo starca się rozlega
Od wzniosłych wież Solimy do Baltyku brzega.
Książę! będziesz przytomny przy chrzestnym obrzędzie?

Trojnat.

Nie jestem wam potrzebny.

Herman.

Żegnam cię.

Odchodzi z orszakiem paziów.

Trojnat sam.

Więc wszędzie!
Wszędzie mnichów spotykam! ale przyjdzie pora —

Przyjdzie — on zginąć musi — z nim Niemcy wyginą.
Mindowe, pierwszy z książąt, Niemcom groził wczora,
Dziś tron otoczył zdradną krzyżaków drużyną.
Lecz ten sztylet — w nim Litwa pokłada nadzieję;
Ze mną jest lud, kapłani, Dowmunt, mąż Aldony.
Dowmunt, gdy na się zbroję krzyżacką przywdzieje;
Przyjdzie szukać wydartej przez Mindowę żony;
I mścić się będzie — dla mnie wolny tron zostanie.

Patrząc w głąb.

Oto matka Mindowy ciemna, obłąkana.

Rogneda wchodzi chwiejącym się krokiem, rękami naprzód wyciągniętemi szukając drogi.

Rognedo! przyjm od twego wnuka powitanie.

Rogneda.

Wnuka! ja nie mam wnuka — nie mam syna — z rana
Miałam syna i wnuka — już syna grób kryje.

Trojnat.

Rognedo, ty masz syna! syn twój żyje.

Rogneda.

Żyje!
Syn mój żyje — ze wzrokiem pamięć utraciłam.
Kiedyś patrzałam na świat, wtenczas i ja żyłam,
A teraz noc tak ciemna! Boże Litwy! Boże!

Siada z obłąkaniem starości.

Anno! daj mi przędziwo, oto zeszło zorze:
Dziewczęta, wy do pracy — miły szmer wrzeciona.

Usiłując śpiewać.

Śpij, moje dziecię! matka przy tobie,
Na twojej głowie korona.
Śpij, moje dziecię! śpij, moje dziecię!

Po chwili.

On żyje i ja żyję — ale moje życie
Blizkie, blizkie już grobu — i on zaśnie w grobie.

Nie ujrzę go przed śmiercią — śmierć prędko się zbliża.
Czy go widziałeś? jak on wygląda?...

Trojnat.

Mindowe?
Krzyż ma na piersiach.

Rogneda.

Nigdy nie widziałam krzyża,
Jak on straszny być musi...

Trojnat.

Krzyże brylantowe
Są darami papieża.

Rogneda, podnosząc się ze zgrozą.

Papież! Papież!

Pada na krzesło.

Trojnat.

Kona.

Rogneda po chwili.

Anno! staw kołowrotek, podaj mi wrzeciona.
Papież? kto tu wspominał Papieża? — to echo,
Echo mojej pamięci, rani mię boleśnie.
Dwóch miałam synów: tamten był moją pociechą;
Twój ojciec, drugi, marzę — ja marzę jak we śnie,
Drugi, gdzież jest syn drugi?

Podczas ostatnich słów wchodzą na scenę: **Mindowe** w białej chrzestnej szacie, z koroną na głowie. **Hejdenrich** w ubiorze legata, z pod komży przezroczystej przebija się zbroja. **Herman** niesie krzyż złoty przed legatem. **Dowmunt** w krzyżackiej zbroi z zapuszczoną przyłbicą, na której jest godłem róża, na wezgłowiu również niesie złotą różę i opodal od tłumu opiera się o jeden z filarów.

Lutuwer.

Czuję krew koło mnie,
Mindowe jest tu blizko... Przybliż się Mindowe!

Pewnie z nowej wyprawy wieziesz łupy nowe?
Pewnie teraz twa sława zabrzmi wiekopomnie?
Słyszę, jak lud okrzykiem uwielbia twe czyny,
Czy wracasz z ciemnej Żmudzi? z ponad brzegów Dźwiny?
Czy ukorzyłeś Niemców zakon świętokradzki?
Czy Ruś drżała przed tobą? czy drżał król Kipczacki?
Czy z mnogim wracasz łupem? z mnogiemi dostatki
Powiedz, cieszyć się będę i ze łzami matki
Będę ci błogosławić, przybliż się, mój synu.

Mindowe.

Matko! co te szydercze słowa mają znaczyć?
Na ubłaganie bogów dam kubeł bursztynu,
Dam dwa, jeśli za jeden nie zechcą przebaczyć.

Rogneda.

On bluźni! jam słyszała — on bluźni... O książę!
Nie mogę równie pojąć, co znaczy ta mowa,
Z ust twoich płyną dzisiaj niezwyczajne słowa;
Lecz jeszcze miłość matki do ciebie mnie wiąże,
Zbliż się, z błogosławieństwem dłoń ma na cię spadnie.
Cóż to? ty mnie unikasz jako zgryzot mary;
Czy bez wszystkiego możesz obejść się tak snadnie,
Jak bez błogosławieństwa matki — i bez wiary?

Mindowe.

Nie, są rzeczy, bez których obejść mi się trudno,
A wszakże się obchodzę, potrzebą naglony.
Tak z niejedną dzierżawą rozstałem się ludną,
Oddałem Haliczanom brylant mej korony,
Ów Słonim, co wśród smugów wznosi się pod niebo,
I wołkowyskie moje rozległe dzierżawy.
Rognedo! trudno mi się obejść i bez sławy,
Jednak sławie ujałem, naglony potrzebą.
Jestem królem, lud wielbi — szydzą wojownicy,
I straszniejszy dla Niemców był połysk przyłbicy,
Niżeli ta korona, która tylko świeci

Blaskiem marnym dla niewiast i gminu i dzieci.
Ale cierpmy do czasu, taka losu wola,
Trudno, nawet Mindowie, z losem działać sprzecznie.
Matko! czyliż mnie będziesz nienawidzić wiecznie?
Matko! czyż ci nie miło widzieć w synu króla?
Oto przed tobą czoło wieńczone uginam,
Błogosław mnie więc, matko! błogosław!

Rogneda wyciągając nad nim rękę.

Przeklinam!

Hejdenrich.

Nikt nie odpowie Amen.

Rogneda.

Mindowe! Mindowe!
Posłuchaj mnie, słuchajcie wy, mnichy krzyżowe.
Przekleństwo wam! przekleństwo krzyżackiej obłudzie,
Co jak zaraza Litwę ciemnem skrzydłem kryje.
Synu! ciebie zaraza dotknie — nie zabije,
Ale od ciebie będą uciekali ludzie.
Zostaniesz sam na świecie, będziesz żył, mój synu!
Wymrą ludy, na któreś kładł żelazne pęta,
I zostaniesz samotny na mogiłach gminu.
Ta wiara! wiara ciemna przez ciebie przyjęta
Połączy cię z narodem, co Litwę pochłonie.
Siedzisz na tronie, z tobą i Papież na tronie!
Mindowe, ty masz dzieci, to będą morderce,
Idź, zabij je w kołysce, własne morduj syny!
Urodziłam gadzinę! ty rodzisz gadziny!
Ha! rozdarłam ci serce! rozdarłam ci serce!

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

Mindowe.

Słyszeliście!

Hejdenrich.

Cóż znaczy przekleństwo poganki?

Mindowe.

To jest przekleństwo matki! Ale tak — cóż znaczy?
Marne słowa bezsilnej zemsty i rozpaczy.

Hejdenrich.

Zaprzestańmy już przykrej o przekleństwach wzmianki,
Oto z błogosławieństwem niosęć list Papieża.

Mindowe.

Ja nie znam pisma — czytaj!

Hejdenrich.

Krótko rzecz przełożę...
Papież ciebie pozdrawia, królu, w Imię boże,
I chrześcian poddanych twej pieczy powierza.
Przypomina ci, królu, abyś był gotowy
Bronić twej wiary mieczem, a rozszerzać słowy;
Nadto, znając jak wielka jest twoja potęga,
Gdy państwo Litwy mieczem skreśloną granicą
Od Bałtyckiego morza do hord Krymu sięga,
Powiększone nie jedną ościenną dzielnicą;
I jak potok wezbrany ciągle się rozlewa;
Z wielkich krajów nasz Papież twej wielkości miarę
Biorąc, po wiernym synu słusznie się spodziewa,
Że skoroś tak ukochał chrześciańską wiarę,
Dając nam przywiązania niemylne dowody,
Zechcesz, jak czynią Polski i Niemiec narody...

Mindowe się marszczy.

Znana albowiem wielka wspaniałość Mindowy;
Zechcesz, mówię, jak czynią inni wojownicy,
Na olej lampy w Piotra świętego kaplicy
Przysyłać rocznie w darze jeden grosz od głowy.
A chcąc dowieść, jak wielce cnotę twą miłuje,
W zawdzięczenie ci Papież daje i daruje,
I wszelkiej władzy tobie, Mindowe, użycza
Nad wszystkiemi krajami, które w dalsze lata

Zagarniesz mieczem Rusi, u Towtwiła brata,
Lub zyskasz na Danielu, książęciu z Halicza.

Mindowe.

Czy to szyderstwo? pierwszy raz papieska mowa
Zabłądziła aż w Litwy ponure krainy;
Pół dnia płynęły słodko twe miodowe słowa,
Z trudnościąm rzecz wyśledził wśród słów plątaniny.
Cenię łaskę Papieża — korzystać z niej będę,
Zatrzymam pewno kraje, które sam zdobędę,
Nikomu nie ustąpię mojej pracy plonu;
Wezmę kraje zdobyte na Haliczu, Rusi,
A gdy się uda, kraje waszego zakonu.
Papież, gdy tak rozdaje, sam wiele mieć musi,
A stąd rzecz uważając, łatwo teraz wnoszę,
Że mu na olej Litwy niepotrzebne grosze.

Hejdenrich.

Ze złej widziana strony rzecz złą się okaże,
Lecz wierzaj mi, najlepsze są chęci Papieża.
Patrz, jaką drogą świętość przysyła ci w darze;
Jej straży twoje ciało i duszę powierza;
Ona ustali cnoty, zgasi złe zapały.
Pewnie wiesz, jak Sebastyan z cnót swych znakomity
Skonał męczeńską śmiercią — oto drzewce strzały,
Którą ten święty został na krzyżu przebity,
Obficie napojone we krwi Sebastyana.

Mindowe, wyjmując sztylet.

Dam ci podobną świętość dla Papieża pana.
Ten sztylet od dzieciństwa wisi mi u boku,
Pił krew starców i niewiast — i tkwi mi w pamięci,
Że kiedy umierali, w tym ofiar natłoku
Było kilku tak świętych, jak są wasi święci.
Cóż to? drżysz...

Hejdenrich.

O Mindowe! godzien boskiej kary
Ten, kto wiarę przyjąwszy, bluźni przeciw wiary!

Z naszej ręki niedawno wziąłeś tytuł króla,
Jeszcze nowa twa godność niepewna i drżąca.
Wiesz, jak czarno pisana nasza rzymska bula,
Dawnych królów, cesarzów z dawnych tronów strąca
Jednym pociągiem pióra, bez sporu, bez bitwy.

Mindowe.

Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to, co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe!

Hejdenrich.

Panie! oba innemi przemawiajmy słowy.
Przez usta posła Papież uczucia wynurza,
Zakończę więc poselstwo.

Wskazując na niesione przez Dowmunta wezgłowie.

Oto złota róża
Dla twojej, panie, żony, litewskiej królowej.

Mindowe.

Dla mojej żony? dawno umarła mi żona.
Czyż nie wie o tem Papież?

Hejdenrich.

Przebacz błąd Papieża.
Ale ta ciemna Litwa, lasami omglona,
Zasłania cię przed światem, zamku twego wieża
Jest niższą niż te sosny. Komuż złożę dary?

Mindowe.

Matce mojej...

Hejdenrich.

Święcownej nie przyjmie ofiary.

Mindowe.

Posłuchaj więc, krzyżaku, złóż je przed Aldoną,
Jest siostrą mojej żony, będzie moją żoną.
Niech tu stanie Aldona.

Jeden ze straży wychodzi.

Wy Głowie Kościoła
Odnieście te wyrazy... Choć korona złota,
Z lekkiej blachy, zaledwo dotyka mi czoła;
I gdyby nie przecudna jej liści robota,
Ledwie kilka florenów zaważy na szali!
Jednak wdzięcznie przyjmuję dar Papieża pana,
Lekką jak liść koronę żelazo ustali.
Jakiż tron jest świetniejszy? czyli Ruś znękana,
Gdzie książęta, stargawszy krwi związki przyjazne,
Lodowaty kraj niszczą sprzecznymi zamachy.
Już Halicz drży przede mną, jedne tylko Lachy
Rosnącej Litwie piersi stawiają żelazne.

Aldona wchodzi.

Oto jest pierwsza z dziewic litewskiego grona,
Sprawiaj twoje poselstwo.

Hejdenrich, do Aldony.

O ty! której skronie
Wkrótce uwieńczy Litwy złocista korona,
Przyjm różę, którą Tybru wychowało błonie,
Tam pod wiary promieniem złote rosną kwiaty.

Aldona.

Źle się zgadza blask złota z żałobnemi szaty.
Miałam męża, mam męża; jeśli jeszcze żyje,
On się tuła po świecie. Przysięgłam mu wiarę,
Nigdy korona moich skroni nie okryje.
Ale wdzięcznie przyjmuję Papieża ofiarę.

Czuję, wkrótce z tym zimnym rozstanę się światem,
Ten kwiat niezwiędły będzie mym śmiertelnym kwiatem.

Hejdenrich.

Jak niemieckie dziewice przyjęła bez braku,
Złoto zawsze jest złotem...

Daje znak Dowmuntowi, aby podał różę. Dowmunt się zbliża drżący.

Mindowe, wpatrując się w Dowmunta.

Co ty drżysz, krzyżaku?
Ktoś ty jest?

Aldona, wznosi oczy na Dowmunta.

Ach!

Pada omdlała. Dowmunt wychodzi.

Mindowe.

Omdlała! wynieść ją z komnaty!
Ścigać tego krzyżaka. Ha! co to się znaczy?
Kto on jest?

Hejdenrich.

Nie wiem, panie, nosi giermka szaty,
Przybył do nas posępny, z wyrazem rozpaczy,
Zaciągnął się w szeregi nieznany nikomu;
Sądzę, że to wygnaniec z wyspy Albionu,
Na hełmie nosi różę, znak Lankastrów domu.

Mindowe.

Precz stąd, mnichy najemne! koło mego tronu
Widzę sztylety... precz stąd!

Hejdenrich.

Wiara królów strzeże.
Żegnamy ciebie, panie.

Odchodzi z orszakiem krzyżaków.

Mindowe.

Przystąp, Lutuwerze.
Nie wiesz, co to za jeden jest ów krzyżak młody?

Lutuwer.

On najmniej podejrzanym zdawał mi się w tłumie,
Młody jeszcze, rycerskiej nie nosi ostrogi,
Milczy, bo po niemiecku nikt go nie rozumie;
Stroni ludzi, bo smutny — smutny, bo ubogi.

Mindowe.

Trudno, abyś podejrzeń ciemny tłok rozegnał.
Jam go dobrze uważał przy chrzestnym obrzędzie,
Gdy kapłan błogosławił, on się nie przeżegnał.
To Litwin.

Lutuwer

O Mindowe! pewnie jesteś w błędzie.
To krzyżak. Czyżby Litwin przywdział taką zbroję?
Z czarnym krzyżem, w krzyżackim święconą kościele;
Sambym się nie odważył, wyznam, królu, śmiele,
Że ja się więcej krzyża, niż krzyżaków boję.
A chociaż chrzest przyjąłem za twoim rozkazem,
Lękam się nowej wiary, jako nowej tarczy;
Nowa nie zawsze z wrogiem w obronie wystarczy,
Często jak szkło się kruszy, dotknięta żelazem.
Zmuszony żyć wśród Niemców, męczę się i żyję,
Lecz nienawiść do tyla rozkrzewia się w duszy,
Kiedy jestem przy Niemcach, tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.

Mindowe.

Tak myśli lud litewski... Słuchaj, Lutuwerze,
Wierzę twej nienawiści, jak w twą wierność wierzę.
Teraz mi tej ostatniej potrzebne dowody.
Ten krzyżak, przewiduję, jest to Dowmunt młody;
Nie wiem, nigdy Dowmunta nie widziałem twarzy;
Lecz przeczuwam, on śledzi, by mnie zejść bez straży,
Zdradziecko zamordować. Trzeba rzecz wybadać,
Wyśledzić; jeśli Dowmunt, pewna śmierć go czeka.
Dowiedz się...

Lutuwer.

O Mindowe, i na cóż odkładać?
Nigdyś nie myślał tyle nad śmiercią człowieka.

Mindowe.

Jeżeli teraz myślę, mam słuszne powody.
Śmierci krzyżaka mszczą się wszyscy krzyżownicy,
A ja, nim z niemi zerwę, chcę ażeby wprzódy
Rozeszły się ich wojska z litewskiej granicy;
Chcę, żeby się wprzód Rusi rozprószyły tłumy,
Które jak czarne chmury ponad Litwą wiszą.
Potem u siebie rogi litewskie usłyszą,
Teraz niechaj rozsądek trzyma miejsce dumy.

Lutuwer.

Gdybyś posłuchał, królu, co radzi to serce,
Tobyś wszystkich krzyżaków zebrał w dolnej sali,
Potem zamek podpalić, niech się z nimi spali;
Lub Litwinów ukrywszy za ścienne kobierce,
W kryjówki, w czcze kolumny i w próżne filary,
Skinąłbyś — na skinienie padłyby ofiary,
I krzyżackiej krwi strumień po murach popłynął,
A jeśli jest w tym tłumie, i Dowmunt by zginął.

Mindowe.

Poradziłeś z zapałem, tak radzą rycerze,
Co wolą mieczem działać, niż myślą i słowy.
Lecz nie pójdę za twoją radą, Lutuwerze,
Inny mam wcale zamiar, usnuty, gotowy,
Ona sama odkryje tajemnic zasłony,
Dowmunt zginie, padając przy stopach Aldony.

AKT II.

SCENA I. *Rogneda, Trojnat.*

Rogneda stoi oparta na kamiennym stole.

Podaj mi czarę... Litwo! Litwo nieszczęśliwa!
Dla twoich bogów nową poświęcę ofiarę,

Syna poświęcę — rozpacz serce mi rozrywa,
Ja go zabiję z płaczem... podaj mi tę czarę!
Napełnię ją trucizną... Boże Litwy! Boże!
Niech on umrze spokojnie — niech nie cierpi długo,
Ja go łzami obmyję — na stosie położę,
Zaśpiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.

Sypie truciznę.

Łza upadła do wina, może ta łza matki
Zniszczy skutek trucizny? czy już noc na niebie?
Tak mi ciemno... Wsypałam trucizny ostatki,
Dla mnie nic nie zostało.

Mindowe wchodzi na scenę. Lutuwer rozmawia z nim, wskazuje na czarę i sam oddala się.

Mindowe, z udaną spokojnością.

Matko! witam ciebie!
Witam, młody synowcze. Powracam z ogrodu,
Słuchałem jak z nad Niemna śpiew słowika płynie,
Zachwycony urokiem wieczornego chłodu;
Ale niemniej szczęśliwy przy mojej rodzinie,
Znajduję szczęście w domu — zawsze miłość wasza
Chmury nieszczęść wiszące nade mną rozprasza.
Przy was jestem bezpieczny, zasypiam w pokoju.
Ty milczysz, matko?...

Rogneda.

Synu, może chcesz napoju?
Oto wino...

Mindowe.

Już wino piłem dzisiaj rano
Przy chrzcie moim.

Rogneda.

Bluźnierca!

Mindowe do Trojnata.

Nim gwiazdy powstaną,
Trojnacie, masz opuścić litewską stolicę.

Zaniesiesz Wojsiełkowi to pismo ode mnie,
Zawiera ono w sobie ważną tajemnicę;
Powinno być wręczone prędko i tajemnie.
Wojsiełkowi skądinąd znane są me chęci,
Wymagam więc pośpiechu — pomnij, nakaz srogi,
Biada! jeśli się zwrócisz z przykazanej drogi,
Biada! jeśli wojskowej naruszysz pieczęci.
Oto masz list.

Rogneda, na stronie.

Już odkrył Trojnata zamiary... (głośno)
Więc pozbawiasz mnie wnuka? przynajmniej z tej czary
Spełń toast pożegnania.

Mindowe bierze podaną czarę, lecz jej nie pije. Rogneda po chwili drżącym głosem.

Czyś wypił?

Mindowe, uderzając się w czoło.

Rogneda!

Rogneda.

Nigdyż krwawe sumienie spoczynku ci nie da?
Widzisz krew w głębi czary?

Mindowe.

W napojach biesiady
Nigdy krwi nie spostrzegam, ale trucizn jady.

Rogneda.

Pokażę ci, jak twoja podejrzliwość zwodna,
Spełnię ją do połowy, ty ją spełnisz do dna.

Mindowe, ciska i tłucze czarę.

O matko! coś wyrzekła? precz, czaro przeklęta!
Tyś mi była najdroższym przodków moich darem,
Jedyny prawie spadek, zawsze dla mnie święta,
Nieraz na ucztach słodkim szumiąca nektarem.
Gdzieś za morzami w kryształ roztopione piaski
Wydały ciebie z łona — nieraz, pełna wina,

Zachwycałaś zdumione wejrzenie Litwina,
Gdy słońce w tobie grało tysiącznemi blaski;
Ja ciskam cię o głazy! Matko, coś wyrzekła?
Skąd ta nienawiść czarna? skąd ta zemsta wściekła?
Chciałaś umrzeć i syna wtrącić do mogiły.

Rogneda.

Ukarz mnie — zniosę karę, ja mam jeszcze siły!

Mindowe.

Ha! tak, chciałabyś, matko, znosząc karę srogą,
W obliczu ludu umrzeć męczenniczką wiary?
Alem nadto przezorny, bym powściągał kary
Tych, którzy chcą mi szkodzić, lecz szkodzić nie mogą.
Bądź więc spokojna, matko — uraza tak mała...

Rogneda.

Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała.

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

Mindowe, sam.

Sam więc jestem, sam jestem; walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi;
Wędzidłem krwawem ściągać dzikie ludu hordy,
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię. — Zbędę się Trojnata,
Pochwycą go, postrzygą, zamkną w mur klasztorny.
Przed ludem mnie zakrywa tajemnicza szata.
Chrześcianin, krzyżaków przyjaciel pozorny,
Wkrótce zgnębię te zmienne, dwugłowe poczwary.
Wyginą wszyscy. — Wiara? wiara czcze wyrazy!
Chrzciłem się, bo mi wtenczas trzeba było wiary;
Teraz, cóż za różnica? czy krzyż od Papieża,
Czy w cerkwiach ruskich złotem błyszczące obrazy,
Albo księżyc Mongołów — miecz wiarą rycerza.
Lecz Aldona nadchodzi, zbadam tajemnicę,
Kto jest ów tajny krzyżak.

Aldona wchodzi.

Aldono! twe lice
Zawsze we łzach, więc wszędzie widzę łzy i zdrady,
Sztylety, trucizn czary i miodowe słowa.
Przebacz, ciebie przelękła ta gwałtowna mowa,
Ty drżysz, Aldono? zniknął twój rumieniec blady.
Oto czara z trucizną o głazy rozbita,
Chciałem ją spełnić, dotąd byłbym w cichym grobie;
Lecz wyznam ci, Aldono! nadzieja ukryta
Wytrąciła mi czarę, jedna myśl o tobie.
Aldono! powiedz słowo.

Aldona.

Panie! twe cierpienia
Ani mnie twoja miłość nigdy nie zniewoli.
Na cóżeś mi domowe przerwał zatrudnienia,
Któremi słodzę długie godziny niedoli?
Gdy w gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu
Widzę, jak wkoło srebrne toczą się przędziwa,
Gdy słyszę pieśń rodzinną w ich łagodnem pieniu,
Przez chwilę cichem szczęściem tak jestem szczęśliwa,
Że często nad mojemi krosnami schylona,
Widząc, jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita,
Cierpień moich zapomnę — póki ciężkie z łona
Nie wyrwie się westchnienie, z oczu łza ukryta.

Mindowe.

Tyś spokojna, ja nie chcę widzieć cię spokojną.
Szczęśliwa? nie chcę, żebyś ty była szczęśliwa.
Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,
Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa;
A gdyś z widokiem cierpień nadto oswojona,
Śmierć jest dla ciebie nową, dziś skończysz dni twoje.

Aldona, z przerażeniem.

Błagam cię, panie! błagam na bogów imiona!
Nie zadawaj mi śmierci, ja się śmierci boję!
Wszystko mi! wszystko blizki zgon już zapowiada.
Koniec mój, o! przeczuwam, będzie nadto skory.

Patrzaj, Mindowe! patrzaj! jak twarz moja blada,
Na twarzy rozmarzone gorączki kolory,
Szklistym blaskiem posępnie ożywione oczy;
Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy.
Niejedna z dziewic moich, co cierpień nie znała,
Mówiąc do mnie, nim skończy, łzami się zaleje,
A gdy mówi, głos zniża, jak gdyby nie śmiała
Dźwiękiem mowy, lub marne podając nadzieje,
Zbudzić głębokiej ciszy, która jak sen miły,
Żyjącą osłoniła świętością mogiły.

Mindowe.

Ty chcesz żyć, jakże silna chęć życia? Aldono?
Może w sercu nadzieje karmisz brylantowe?
O wiem ja, że głęboko oczy dziewic toną,
I przenikają głazy i zbroje stalowe,
Aż dopóki z pod hełmu nie wykwitnie lice
Znajome, ukochane — wglądasz pod przyłbice.
Musiał być blady?

Aldona.

Panie! kto?

Mindowe.

Ten krzyżak młody,
Krzyżak, czy Litwin.

Aldona, na stronie.

On go nie poznał!

Mindowe.

Widziałem!
Jakeś zadrżała, padła. Silne to dowody,
Lecz jeszcze będą inne. Niegdyś ja sam drżałem,
Kiedy bladość cierpienia omgliła twe czoło,
To dzikie serce z twojem sercem biło razem,
Kiedyś się weseliła, brałem twarz wesołą;
Dziś to już przeszło, dzisiaj jestem zimnym głazem.
Słuchaj! czy znasz krzyżaka, co wśród mnichów zgrai

Nieznajome mi lice czarną zbroją tai?
Znasz go?

Aldona.

Wierzaj mi! wierzaj! ja go nie znam, panie!

Mindowe.

Może go poznasz, słodkie to będzie poznanie!
Próżne prośby, mam zbroję i serce ze stali.
Aldono, ja się skryję w tej przybocznej sali,
Tam każde wasze słowo dojdzie mego ucha,
Zwłaszcza, gdy teraz nocy panuje milczenie;
Kiedy go będziesz witać, pomyśl, że król słucha,
I mieczem przerwie krótkie szczęścia zachwycenie.

Odchodzi przez drzwi boczne.

Aldona, sama.

Mindowe! o Mindowe!... poszedł... Nieszczęśliwa!
Zostałam sama jedna czekać chwili zgonu,
Chwili nad zgon straszniejszej... Lampa dogorywa.
A na dworze noc ciemna, słychać szum jesionu,
Szum sosen cichy. Wszystko! wszystko mnie przeraża,
Ten szum drzew i ta cisza — to cisza cmentarza.
O jak mi ciężko!... Niema i jeszcze go niema,
Może nie przyjdzie? Boże! niechaj nie przychodzi!
Niech go anioł ostrzeże! — przeczucie zatrzyma!...

Patrzy przez okno.

Tam widzę; za lasami blady księżyc wschodzi,
Czarne sosny posępnym witają go szumem;
Rozdarte chmury — duchów napełnione tłumem.

Po chwili.

Nie przychodzi, on może nie przyjdzie, ja płaczę!
W tej chwili groźnych króla nie pomna wyroków,
Smutno mi, że nie przyjdzie, że go nie zobaczę...
Chciałam go widzieć... Boże! słyszę odgłos kroków!
O nie, to źródła szumią w zamkowym ogrodzie...
Ach! on idzie! to Dowmunt! poznałam po chodzie.

Jeszcze głośniej — i głośniej, jam znowu słyszała...
Udam, że ja go nie znam, żem nigdy nie znała.
Król go nie pozna...

Dowmunt wchodzi z zapuszczoną przyłbicą w krzyżackiej zbroi.

Potwarz oklamała zdradnie
Serce Aldony — teraz widzę ją, tak blada...
Czy dręczona sumienia wyrzutami bladnie?
Umiem rozróżnić bladość od bladości... Siada...
Nie odwróciła lica... Dawniej szelest szaty,
Szelest kroków odgadła — poznała... a teraz
Nie odwróciła lica! Idąc w te komnaty,
Będąc na progu, z progów wracałem się nieraz.
Tak mi okropnie! ona mnie nie pozna? może
Nie zechce poznać... Pani!... zadrżała.

Aldona.

Rycerzu,
Ktokolwiek jesteś, w północ błądząc po tym dworze,
Módl się — oto różaniec widzę przy puklerzu,
Módl się i — wyjdź...

Dowmunt.

Wyjdź? Widać, że Litwy królowa
Przywykła rozkazywać, na jej zawołanie
Przybiegnie zbrojna, liczna warta pałacowa.
Wyjdę z wrót gmachu — tylko po mnie tu zostanie
Krew...

Aldona, cicho.

Moja...

Dowmunt.

Nie wiem! nie wiem; lecz tu krew zostanie.
Wiesz, kto ja jestem? czyli twe serce przeczuwa?..

Aldona, jak echo tym samym głosem.

Czy twe serce przeczuwa?...

Dowmunt.

Powtarza pytania!
Odpowiedz!...

Aldona.

Wyjdź...

Dowmunt.

O Boże! ona myśli, czuwa,
I tak jak śpiąca związać nie może wyrazu,
I myśli ją odbiegły. — Słuchaj! czyś ty z głazu?
Dwa słowa! imię moje!... Szalony! szalony!
Oto mi czoło ciemna przyłbica okrywa,
Postać kradnie płaszcz czarnym krzyżem naznaczony,
I jakże poznać mogła?...

Odkrywa przyłbicę.

Patrzaj! nieszczęśliwa...
Czy ty mię znasz? jak żądasz być zbawioną w niebie,
Odpowiedz... i uciekaj! ach! uciekaj ze mną...
Znasz mię?

Aldona.

Czy ja znam? Boże? nie, ja nie znam ciebie,
Nie! nie! nie przypominam... może — tu tak ciemno,
Może dlatego... Słuchaj, teraz moje oczy
Od ciągłych łez posępną skryły się zasłoną,
Mgła ciemna wszystkie dla nich przedmioty pomroczy,
I zaledwo z łez oschną, znowu we łzach toną.
Szczęście moje z nieszczęściem nie zna równej szali,
Jak mara obłąkana kończę życia drogę.
Nie! nie! ja ciebie nie znam — teraz znać — nie mogę.

Dowmunt.

Nie poznała... to lampa tak ciemno się pali.

Bierze lampę ze stołu i oświecając twarz, przybliża się do Aldony.

Patrz! patrz!

Aldona.

Błagam cię! błagam ach! oddal się, panie!
Oddal się — światło lampy oczy moje razi.
O patrzaj! niezadługo zabłyśnie świtanie!
Patrzaj! już blask jutrzenki twarz księżyca każi.
O nieba! ciebie w sali światło dnia zastanie...

Dowmunt.

Ha! męczarnio okropna! męczarnio szatana!

Do Aldony, która się zbliża pomięszana.

Czego chcesz! precz ode mnie! śmierć jedna została..

Ze śmiechem obłąkania.

Cha! cha! jaka myśl dzika! upaść na kolana,
Upaść przed nią... Cha! cha! cha! prosić, by poznała.
Lub może kupić pamięć zimnym, złotym kwiatem?
Więc wrócę tak samotny w dziką świata drogę?
Przepaść się otworzyła między mną a światem,
Nie mogę wrócić, trzeba umrzeć — umrzeć mogę...
I przed śmiercią nauczę ją wymawiać imię
Znajome, zapomniane — nauczę jak dziecię,
Lub jak uczą sokoła, wtenczas gdy zadrzemie,
Przerywając sen: przerwę jej sen — senne życie...
Słuchaj! wiesz, kto ja jestem?

Dobywa sztyletu.

Nie! nie! bezimienny
Upadnę przy jej stopach jako liść jesienny.
Rzucam się całą duszą do grobowej ciszy...

Aldona.

Dowmuncie! ach Dowmuncie!

Dowmunt.

Jeszcze głos Aldony?

Aldona.

Znam ciebie! kocham! słuchaj — on widzi! on słyszy!
Tam Mindowe w tej sali! za temi zasłony!...

Dowmunt.

O Boże! jakże miło powrócić do życia.
Ty mnie kochasz! Mindowe gdzie jest? gdzie się kryje?
Ach straszną! straszną miałem chwilę do przebycia,
Dotąd mi krew wzburzona głośno w piersiach bije.
O Aldono! ta chwila stoi przed oczyma,
I nie chce zniknąć, póki szczęście się rozpali,

Ta chwila wszystkie myśli nad przepaścią trzyma;
Ale nie wróci...

Aldona.

Luby! słyszałam dźwięk stali.
Chroń się! chroń się, Dowmuncie! mój drogi! mój miły!

Dowmunt.

Co mówiłaś? Mindowe gdzie jest? w tamtej sali?
To daleko — uciekać nie chcę — nie mam siły...
O nie! nie! tyle szczęścia! nie, to nie jest zdrada.
Ja muszę być szczęśliwy — muszę widzieć ciebie.
Zgasła lampa, lecz księżyc przyświeca na niebie,
Chodź do światła, Aldono... O! jaka ty blada!...
Rumieniec łzy obmyły, żar gorączki strawił;
Jaka ty blada! — jam cię nie taką zostawił!...

Aldona.

Nie, to bladszy niż zwykle, to ten blask księżyca
Twarz mi dzisiaj ociemnił...

Dowmunt.

Więc księżyc przeklinam,
Jeżeli barwę róży kradnie z twego lica.
Ha! przeklinając księżyc, ludzi zapominam.

Aldona.

Luby! słyszysz dźwięk stali? czy słyszysz? to oni!

Dowmunt.

Słyszę jakieś stąpania — słyszałem chrzęst broni,
Idą jakby tygrysy na mą krew zażarte.

Aldona.

Dowmuncie! wychodź! wychodź, jeszcze drzwi otwarte!
Wychodź! Aldona wiecznie wiary ci dochowa...
Tu wszyscy nas zdradzają, bogi, ludzie, ściany,
Uciekaj!...

Dowmunt.

Moja luba, bądź zdrowa! bądź zdrowa!...

Wychodzi, lecz po krótkiej chwili wraca.

Aldona.

Przebóg! czemuś powrócił? blady, pomieszany,
Powiedz, coś widział?

Dowmunt.

W końcu przybocznej komnaty
Oni już są!... już przyszli!

Aldona.

O nieba! o zdrady!
Słuchaj, wyłam te okien pozłacane kraty,
Pod niemi nie daleko są zamkowe sady...
Uciekaj! nad głowami grożą czarne burze...
Uciekaj...

Dowmunt usiłując wyłamać kraty.

Kraty mocno osadzone w murze...
Wyłamać niepodobna... nie, to próżnym szałem...
Niepodobna... Ha pękły! pękły! wyłamałem...
Bądź zdrowa! daj mi rękę... dłoń zimna jak z lodu...
Bądź zdrowa...

Staje na oknie... po chwili wraca do sali...

Nie... naprożno! pośród drzew ogrodu,
Widziałem tłumy zbrojnych Mindowy rycerzy;
Pod samemi oknami las włóczni się jeży.
Daremna więc ucieczka — przyszedłem bez miecza
By nie wzbudzić podejrzeń, cóż ten sztylet znaczy?
Ani mię przeciw wrogów ciosom zabezpiecza,
Ani usłucha dłoni — zdradzi ją w rozpaczy!
Bez ulgi i bez zemsty w zimnym legnę grobie...
Aldono! tyś pobladła! Aldono! co tobie?

Aldona.

Nic, nic... daj mi tę różę, z hełmu twego różę,
Może zmysły orzeźwi.

Dowmunt daje różę.

Tak mi w oczach ciemno!...

Dowmunt.

O rozpacz!... ona bladnie. Chodź ze mną, chodź ze mną!
Chodź, uciekajmy! Boże! gdzie uciec? w tym murze
Są kryjówki... szalony! tam będą i ludzie:
Te gmachy już zdradzieckiej nawykłe obłudzie...
O Aldono! nieszczęście — usiądź tu, Aldono!
Oczy moje jak dziecka całe we łzach toną.

Aldona.

A ja płakać nie mogę... Cha! cha! luby! drogi!
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy...
Cha! cha! cha! niech tu przyjdą! niech przestąpią progi!
Oto próg pałacowy!...

Pada przed drzwiami.

Dowmunt.

Aldono! Jak głazy
Zimna...

Składa omdlałą na krześle.

Rękami będę rozdzierał tych ludzi...
Codzcie tu!... O te oczy! ta twarz, blada, sina!...

Po chwili.

Z rąk martwych wyrwę różę... kiedy się obudzi,
Mnie już nie będzie... niech mnie nic nie przypomina.

Obrywa liście kwiatu.

Kwiat zerwałem — gałązka w jej została dłoni,
Tak mocno trzyma.

Pod koniec tej sceny słychać coraz mocniejsze szczęki oręża.

Słyszę! już idą... to oni!...

AKT III.

SCENA I.

Hejdenrich, Herman.

Hejdenrich.

Oby już prędzej rzucić litewskie krainy.
Hermanie! oto wracam z królewskiej biesiady,
Radość niezwykła wrzała pomiędzy Litwiny,
Ja jeden byłem smutny! jeden tylko blady!
Dzikie ich uczty. Słuchaj! w granitowej sali,
Wokoło stół dębowy puharami błyska;
W środku komnaty ogień z modrzewiu się pali,
I wkoło wieje dymem, wkoło iskrą pryska.
Sześciu Litwinów w burkach, bez ruchu jak głazy,
Unosili nad stołem smolnych sosn pochodnie,
Jako żywe świeczniki. Gwar, dzikie wyrazy!
Na lica miód przywołał występki i zbrodnie.
Dziwnie się wydawałem ja — mieszkaniec Rzymu
Wśród tej niesfornej zgrai — mój krzyż brylantowy
Ledwo blaskiem roztrącał czarne kłęby dymu...
Hermanie! oby prędzej rzucić dwór Mindowy.

Herman.

O panie! nie czas teraz rwać z Litwą przymierze,
Nie są przygotowani do wojny Krzyżacy;
Jeden krok nierozmyślny korzyść nam odbierze
Z długich naszych podstępów, z misyonarskiej pracy;
Gdyby Mindowe umiał korzystać z tej pory,
Przycisnąłby i zgnębił krzyżackie klasztory.

Hejdenrich.

Prawda, trzeba lwa głaskać. Lecz wyznam ci, bracie,
Że mi w niesmak już idzie poselstwo Papieża;
Mam sławny miecz komtura, mam serce rycerza,
Jednak bawię tu dotąd! bawię w mnisiej szacie!

I nadto, muszę podle mnicha obyczajem,
Starać się wziąć przewagę podstępnemi słowy.
Dawniej krzyżak pogardzał tym księciem i krajem,
A teraz jam spowiednik? jam sługa Mindowy!
Czy pamiętasz, Hermanie, braciszka zakonu,
Który przybył tu z nami, nosił róży znaki,
Nazywany od braci synem Albionu;
On zniknął teraz, żadnej nie mamy poszlaki...
Jeśli Mindowe zgwałcił tajemne umowy?
Jeśli się targnął z mieczem na sługę kościoła?
Słusznie zakon oburzy postępek takowy,
I krew brata naszego o krew Litwy woła.

Herman.

Rycerz, o którym mówisz, w więzieniu zamknięty,
Nie oburzaj się — Litwin nie wart tych zabiegów.
On poganin, zagnany aż do Niemna brzegów,
Chroniąc się przed Mindową, przybrał habit święty,
I znów pod tą opieką wrócił utajony
Szukać wydartej sobie przez Mindowę żony.
Ale go nie zbawiły nasze święte szaty.
Wczoraj, kiedym w ogrodzie odmawiał modlitwy,
Odkryłem jego wieżę i przez okien kraty
Miecz mu podałem ostry.

Hejdenrich.

Zbawiasz syna Litwy...
Nienawidzę Litwinów! pocóż z taką pracą
Nawracać ich na wiarę? jakież stąd korzyści?
Chrzest nie zgasi wzajemnej ludów nienawiści;
Mogliby płacić haracz — a teraz nie płacą.
W nas zgaśnie duch rycerstwa, zakonu granice
Otoczą zewsząd tylko przyjazne krainy;
Pójdziemyż ścigać błędne po stepach księżyce?
Ha! chyba z morzem walczyć! lub z nurtami Dźwiny!
Wygaśnie duch rycerski... Idzie Litwy książę...
Trzeba znów przybrać postać podłości, pokory,

Jak jaszczurka zamorska zmienne mam kolory;
Lecz jestem posłem, straszna przysięga mnie wiąże,
Cały zakon w legata przedstawiam osobie.

Daje znak, Herman oddala się. Mindowe wchodzi.

Wielki królu, Bóg z tobą!

Mindowe.

Pozdrowienie tobie!

Hejdenrich.

Panie, tyś pomieszany? wzrok zamglony wróży
Jakieś tajne zamiary, znamię wnętrznej burzy.
Zapewne niedość jeszcze ustalony w wierze
Nie umiesz zbroić serca przeciw troskom świata;
Niepewny Boga, który z nieba czuwa, strzeże,
Niepewny, jaka w niebie dla cnoty zapłata.
Modlitwą prędko ziemskie rozprószysz zgryzoty.

Mindowe.

Modlić się? dzisiaj wziąłem ten różaniec złoty,
Ostrzem sztyletu święte przebiegałem ziarna;
Lecz na sztylecie była krew spiekła i czarna,
Nie wiem czyja? i kończyć nie mogłem pacierzy.

Hejdenrich.

Królu! jeśli twe serce żałuje i wierzy,
Bądź spokojny! nasz kościół nigdy nie zostawi
Twej wiary bez nagrody, żalu bez pociechy,
Litościwy odpuszcza, kocha, błogosławi.
Odkryj nam skryte myśli, wyspowiadaj grzechy,
Nic nie ukrywaj, synu, a sługa ołtarzy
Rozwiąże je na ziemi.

Mindowe.

I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni... Kto? ty, trwożny mieszkaniec klasztoru,
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.

Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał.

Pokazując sztylet.

Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na tej rdzawej stali...
Czy mi przebaczysz?

Hejdenrich.

Ufaj! od Boga mi dane
Mam prawo tych rozgrzeszać, co się krwią zmazali.

Mindowe.

Żądasz czarniejszych zbrodni? Słuchaj! przez sklepienie
Jęczy! jego korona moje czoło kryje...
Słuchaj! usłyszysz drugie pod ziemią westchnienie,
Ale nie, nie usłyszysz — dotąd on nie żyje...
Czy mi przebaczysz?

Hejdenrich.

Ufaj! wielka moc kościoła!
Nie będzie próżno błagał chrześciański książe.
Szczera twoja pokuta grzech okupić zdoła,
Co rozwiąże na ziemi, Bóg w niebie rozwiąże.
Więc odpuszczam! niech zniknie ta występku skaza.

Mindowe.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?

Hejdenrich.

Panie! jesteś nad ludem, byś mu przewodniczył;
A jeśli daną władzę spełniasz nadto srogo,

Jeśli chcesz posłuszeństwa, jeśli rządzisz trwogą,
Bóg ci przebaczy — on sam władzy ci użyczył,
Ja ci przebaczam...

Mindowe, z gorzkim uśmiechem.

Dobrze! już jestem spokojny!
Pójdę teraz krzyżackie napadać dzierżawy,
Dawno czekałem chwili sposobnej do wojny,
Skarb mój wycieńczał — ja sam stęskniłem do sławy.
Z waszej zaś strony nic mi nadal nie potrzeba,
Mam już złotą koronę przebaczenie z nieba,
Idę kraj wasz napadać, szarpać włoście Żmudzi.

Hejdenrich.

Panie! ty mnie doświadczasz tak gorzkiemi słowy,
Lecz krzyżak się marnemi słowy nie ułudzi.

Mindowe.

Com tobie wypowiedział, jam dowieść gotowy.
Patrz przez te ciemne kraty na błonia stolicy,
Tłumem zebrani w polu błyszczą wojownicy...
Może się oni tylko zebrali na łowy?
A tam niebo ogniste przywdziewa kolory,
Może to pożar wkradł się w nadniemeńskie bory?
Co, łatwowierny mnichu? teraz znasz Mindowę?

Hejdenrich.

Niech cały ciężar zbrodni spada na twą głowę,
Pomnij na świętą wiarę!

Mindowe.

Szydzisz ze mnie, mnichu!
Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,
Moje gmachy klasztornym kobiercem zaścielę,
I zmówię pierwszy pacierz, gdy mistrz wielki skona.

Hejdenrich.

Ty przez nas jesteś królem.

Mindowe, rzuca koronę.

Tak! precz ta korona!
Rzucam ją, to mi ręce splątane rozwiąże...
Teraz jestem Mindowe, książe, wróg Krzyżaków.

Hejdenrich rozdziera komżę i staje w zbroi i w zwierzchnim krzyżackim płaszczu.

A jam jest — brat Hejdenrich — krzyżak, wróg twój,
Pozbędę się tej szaty, tych pokory znaków... [książe.
Jak mnie tu widzisz w zbroi, przysięgam na Boga,
Że słowa posła memi nie były słowami.
Widzisz we mnie rycerza! widzisz we mnie wroga!
Po takiej czarnej zdradzie już zdrada nie plami,
Będę działał podstępnie i walczył otwarcie,
W twoim zamku podniecę zdrady i pożary,
Za morza pójdę błagać o zemstę — o wsparcie.
Płaszcza tego nie zrzucę, aż na twoje mary
Rozścielę go całunem — i w wieczór i rano
Dodam jedno przekleństwo do moich pacierzy;
Jeśli Bóg je usłyszy? Bóg na cię uderzy,
Nim te pochodnie zgasną! nim zorze nastaną!

Wychodzi.

Mindowe, sam.

Grozi! ale napróżno, przezornym być muszę,
Kiedy zwiodłem krzyżaka — oni światem rządzą,
Zbłądzili, choć myśleli, że nigdy nie błądzą.
Serce moje spowiedzią pozyskali skrusze.

Lutuwer wchodzi.

Lutuwer.

Panie, spełniłem rozkaz...

Mindowe.

Dowmunt już nie żyje?

Lutuwer.

Dowmunt nie żyje!

Mindowe.

Starcze! starcze! biada tobie!
Jeśli się jaki podstęp w twoich słowach kryje.
Chcę widzieć martwe ciało.

Lutuwer.

Panie! on już w grobie.
Dotąd jeszcze, tak, dotąd słyszę pieśń wesołą,
Którę tam śpiewa grabarz, kopiąc grób głęboki,
I pot zimny na moje występuje czoło.

Mindowe.

Gdzież go grzebią?

Lutuwer.

W więzieniu pochowano zwłoki.

Mindowe.

Starcze! mój zamek w wielki zamieniasz grobowiec.

Lutuwer.

Smutno mi, gdy rycerza zgon niesławny ima,
Grób jego zapomniany, i żaden wędrowiec
Kamienia nie dorzuci, wzroku nie zatrzyma.

Mindowe.

Dość tego, słuchaj, starcze! zerwałem z krzyżakiem,
W strasznym gniewie wrącemi odpowiadał słowy.
Dziś wojsko poprowadzisz nowogrodzkim szlakiem,
Przez głuche lasy... dalej przejdziesz bród niemnowy
Na łodziach lub wpław — czasu oszczędzać należy.
A skoro ranek błyśnie, ty z pocztem rycerzy
Zagrzmisz pogańską pieśnią; od waszego śpiewu
Zadrżą szyby Malborga, wieże się zachwieją.

Lutuwer.

Jestże ten napad skutkiem gorącego gniewu?

Mindowe.

Snułem go przewidzianych wypadków koleją.
Nigdy głębszą ufnością nie spały zakony,
Myślą, że chrztu szatami jak dziecię spowity
Zapomniałem o zbroi; że w blasku korony
Zapomniałem o sławie; że w lasach ukryty
Cieszę się barwą królów purpurowej szaty.
Lecz powiedz, Lutuwerze, jestżem tak bogaty,
Bym zapomniał o wojnie, napadach i chwale?
Patrz na kraje krzyżackie! o brzegów bursztyny
Łamią się Baltyckiego morza szklane fale;
Na falach płyną miasta z dalekiej krainy
Z płóciennemi żaglami i z podległych danin
Wypłacają się mnichom, ślą im Franków wina,
Czary z kryształu, zbroje, sukna z cudnych tkanin,
Jedwabiu, lub wielbłądów błędnych Tatarzyna.
A tu lasami łąki zarastają żyzne.
Jakiż tu kupiec zajrzy? gdzież bogactwa moje?
Ubogą tylko wziąłem po ojcu spuściznę.
Nie dbam ja o bogactwa! o złoto nie stoję!
Ale w skarbcu jedyna po ojcu pamiątka,
Jedna szata w rozliczne lśniąca malowidła,
Wagą złota płacona, z jedwabnego wątka,
Której barwy tak zmienne jak motyle skrzydła;
Jeden pas złoty, jedna kryształowa czara,
I ta się już rozbiła. Patrz! krzyżaków miasta,
Czy to Malborg, czy morska Klepidawa stara,
Każde co dzień zamkami pod niebo urasta;
Lud jak w mrowisku tłumne napełnia ulice,
Złotem błyszczą się gmachy, marmurem kaplice,
Dym z ognisk uwięziony wzlatuje nad dachy,
Dachy łączą się z niebios przejrzystym błękitem;
A tu — patrz, Lutuwerze! jak posępne gmachy!
Tu każda sala ciemnym połyska granitem,
Gołe i zimne ściany — jeszcze los szyderca,
Jakby mi chciał urągać! często w dnie zimowe
Ściany zdobi pokryciem srebrnego kobierca,

Wilgoć mrożąc na ścianach w kwiaty kryształowe.
Nędza i wszędzie nędza!

Lutuwer.

Panie, noc uchodzi,
Trzeba śpieszyć...

Mindowe.

Tak, prawda! zeszła twarz miesiąca.
Pójdę, może mnie nocy powietrze ochłodzi.
Zawsze skarga tysiące wyrazów natrąca.
Nadtom długo wyrzekał na mój los ubogi,
Naprawię go, gdy w żmudzkie uderzymy rogi.

Wychodzi z Lutuwerem.

SCENA II.

Przedsienie gmachu.

Aldona, leży bez czucia na ziemi. *Hejdenrich* wchodzi.

Hejdenrich, podnosząc Aldonę.

Ha! cóż to za dziewica? padła na marmury
Bez czucia. Jakie cudne rysy bladej twarzy!
Widziałem nieraz w kraju Franków kształtne córy,
O których śpiewa truwer, błędny rycerz marzy;
Żadna jej nie wyrówna... oto już spłonęła
Jak kwiat, gdy się rozwija — budzi się — westchnęła...

Aldona, z pomieszaniem.

O mój luby... on umarł — śmierć moja snem była.

Hejdenrich.

Dziewico, bądź spokojna! czuwa sługa boży.

Aldona, osuwając mu się do nóg.

Ktokolwiek jesteś, broń mnie! Strzeż mnie! twoja siła
Może te rygle więzień żelazne otworzy.
Boże! tam trup — trup jego bez głowy... o Panie!
Nieszczęsna jest ta, która twej pomocy wzywa.

Hejdenrich.

Jesteś ty chrześcianką?

Aldona.

Okropne pytanie!
Nie! nie jestem! nie jestem! jestem nieszczęśliwa!

Hejdenrich.

Chrześcianin modlitwą nieszczęście osładza.
Lecz powiedz mi, dziewico! ja wszystko uczynię.

Aldona.

Wszystko! o nie, rycerzu, próżna twoja władza,
Nie wskrzesisz go, widziałam krew strumieniem płynie.

Śmieje się z wzrastającem obłąkaniem i wpatruje się w ciemność.

Jakaś postać znikoma, lecz do mnie podobna,
Oddziela się ode mnie, przede mną się snuje,
Jest to część mej postaci — a jednak osobna,
Przy niej zostały czucia — ona myśli — czuje,
Ja sama jak głaz jestem... Wołam cień znikomy,
Cień się coraz oddala — coraz dalej — dalej
Rozpływa się — już blady — już ledwo widomy.

Z rozpaczą.

Ja bez czucia zostanę! Serce się nie pali,
Ostygło — zapominam, pamięć słabo kreśli,
Mówię, a słowa moje nie są wątkiem myśli,
Myślę, a myśli moje nie są wątkiem serca...

Hejdenrich.

Jestem świadkiem początku zmysłów obłąkania.
Mindowe, ten poganin, ten ludzi morderca,
Godzien jest niebios kary. Lecz moje starania
Przywrócą jej spokojność; czarne zmysłów mary
Znikną przed złotem słońcem, przed promieniem wiary.

Aldona.

Wiara? ja miałam niegdyś mojego anioła,
Byłam kapłanką wiosny niedawnemi laty.
Pamiętam obraz wiosny w gaju, w końcu sioła,

Jej czoło uwieńczały świeże róży kwiaty,
Wokoło jodły cichym usypiały szumem.
Ileż razy przy blasku srebrnego księżyca
Sama, lub dziewic wiejskich otoczona tłumem,
Marzyłam — modliłam się...

Hejdenrich.

Nieszczęsna dziewica!
Trzeba ją jakby dziecko łudzić wrażeń blaskiem.
Uchodź ze mną, dziewico, ponad Niemna piaskiem
Stoi klasztor, tam świętych obaczysz królowę,
Jej obraz jest do wiosny podobny obrazu;
Będziesz ją kochać, wieniec z róż krasi jej głowę,
Tak piękna, tak litośna, a kolumny z głazu
W każde święto okryją gałązki jodłowe.

Aldona.

Pójdę! pójdę za tobą...

Hejdenrich.

Już się księżyc zniża,
W cieniach nocy Mindowe ścigać nas nie może.
Weź płaszcz krzyżacki, kaptur, zawieś znamię krzyża.

Okrywa ją swoim płaszczem.

Dzisiaj jeszcze w Wojsiełka staniemy klasztorze.
Wojsiełko, syn Mindowy, tygrys w szacie mnicha,
Ukorzy się przed świętą legata osobą.
Nie płacz, piękna dziewico! nie płacz, Pan Bóg z tobą!
O! prędko w oczach dziewic strumień łez osycha.

AKT IV.

Sala ciemna w klasztorze Wojsiełka.

SCENA I.

Trojnat, Wojsiełko. Orszak *Mnichów.*

Wojsiełko.

Bracia, mówcie pacierze — oto w nasze progi
Nowy gość przybył, nowy klasztoru mieszkaniec.

Trojnacie, porzuć zbroję, weź habit ubogi,
Za pasem bursztynowy zawieszaj różaniec,
Prędko, nie zwlekaj chwili.

Trojnat.

Błagam was na Boga!
Wojsiełko, nie chciej w grobie zakopywać brata.
Powróć mi wolność! wolność nad życie mi droga.
O bogi! więc się za mną wieczna zamknie krata,
Życie pełne zwiędnieje w samym wieku kwiecie.
A ten świat! świat!

Wojsiełko.

I cóżeś zostawił na świecie?
Ludzi? ja ich widziałem, oni mnie widzieli,

Pokazując na miecz wiszący na murze.

Ten miecz krwią był oblany... I bezpieczniej głowę
Złożysz tu na kamiennej klasztoru pościeli,
Niż na łonie człowieka... Marności światowe!
Tu mniej marności, płyną godziny mniej chyże,
I ludzie tu się snują z zasępioną twarzą;
Ale ludzie ci milczą jak grobowe krzyże.
Chcą skarżyć brata, chyba przed grobem oskarżą.
Zakonnik ciemny, twardym miodem zapalony,
Mniej straszny od człowieka w miłosnej godzinie.
Lecz ty żądałeś władzy? żądałeś korony?
Będziesz ją miał... Postrzydz go!

Mnichy sadzają Trojnata na ławce kamiennej i przystępują do postrzyżyn.

Trojnat.

Nim chwila przeminie,
Te nożyce mnie wiecznie rozdzielą ze światem.
Błagam cię, Wojsiełku! jesteś moim bratem...

Wojsiełko.

Jestem mnichem... O! bracia, zapalcie gromnice,
Niech wiecznie pochwalone będzie boskie słowo.

Trojnacie — podnieś czoło! rozjaśń blade lice.
Śmiej się — a my pieśń będziem śpiewali grobową.
Klasztor jest ciemnym grobem — tu wiara okryśli
Wszystkie twoje uczucia, zniknie zawiść czarna.
Tu zapomnij o myślach... gdy masz jakie myśli,
Powiąż je razem z krzyżem jak różańca ziarna.
Wiecznie ograniczony murami ciemnemi,
Gdy zgaśnie ta pochodnia, ty zgaśniesz na ziemi,
Twoja prośba litości mojej nie obudzi.
Ja byłem — byłem niegdyś tygrysem dla ludzi,
I jeszcze raz nim będę... Stańcie tu wokoło...
Patrzcie, litość wzbudzają te włosy trefione,
Co w tysiącznych pierścieniach spadają na czoło.
Przystąpcie, mnichy! włóżcie mu świętą koronę.

Mnich ostrzyga Trojnatowi pierścień włosów.

Trojnat.

O świat! świat!

Wojsiełko.

Pierścień włosów spalić w kadzielnicy,
Jest to dar serca, co się poświęca dla Boga.

Trojnat.

Te włosy twardą stalą przetarte przyłbicy,
Przyłbicy, która była przestrachem dla wroga,
Spadną pod nożycami, jak za ciężkie winy...
O świat! świat!

Wojsiełko.

Dalej, bracia, kończyć postrzyżyny...

Wchodzi Hejdenrich i Aldona, zakryta cała krzyżackim płaszczem.

Któż to?

Hejdenrich.

Papieski legat i książę Kościoła...

Wojsiełko.

Aż do ziemi pokorne uchylamy czoła...
Panie! uświęć ten klasztor łaskawości względem,

Właśnie dzisiaj zebrani w tem ustroniu cichem
Byliśmy wyświęcania zajęci obrzędem.

Hejdenrich.

Cóż to? Trojnat! maszże ty wolę zostać mnichem?

Trojnat.

Na moje wybawienie niebo cię przysyła,
Ja nie mam! nie mam woli — tu mną rządzi siła.
Oto gwałtem wiedziony do stopni ołtarza
Zalewałem się łzami...

Hejdenrich.

I któż się poważa
Przed ołtarze niechętne prowadzić ofiary?

Wojsiełko.

To za wolą Mindowy.

Hejdenrich.

Ja mam wyższą wolę.
Uwolnić go natychmiast! albo święte kary
Jak gromy spadną na was zebranych w tem kole.
Klątwa! klątwa na klasztor! już wasze modlitwy
Posłane nie ulecą aż do Boga tronu.
Wasze pacierze ściągną nieszczęścia dla Litwy,
W proch się rozsypią mury waszego zakonu;
Znamię przekleństwa nosić będziecie na twarzach,
Nikt zmarłych nie pogrzebie, trumny nie poświęci;
Kwiaty leśne porosną na waszych ołtarzach,
Na waszych murach spocznie Anioł niepamięci...
Ha! zadrżeliście, mnichy? chciałem, byście drżeli...
Podnoszę klątwę — moja przytomność jest darem,
Darem dla was. Ja przez noc odpocznę w tej celi,
Wy zaś idźcie się modlić i złotym puharem
Pijcie za moje zdrowie... Tyś wolny, Trojnacie.

Trojnat.

Więc żegnam cię, krzyżaku! żegnam ciebie, bracie!
Bracie Wojsiełku, będę pamiętał o tobie.

Odchodzi — po chwili Wojsiełko i mnichy, oddawszy ukłon Legatowi, oddalają się.

Hejdenrich.

O! lepiej Trojnatowi na świecie, niż w grobie —
Dla Mindowy wskrzesiłem zaciętego wroga,
Pomści się za mnie... Zdala słyszę mnichów śpiewy,
Za legata modlitwy wznoszą się do Boga.
Wzburzam to morze mnichów i uśmierzam gniewy...
Odpocznij tu, Aldono... Nieme obłąkanie
Wyryte ma na twarzy, nie wyrzekła słowa.

Aldona siada w głębi.

Noc głęboka, nie prędko zabłyśnie świtanie...
Jaka wokoło cichość panuje grobowa.
O Bogu zapomniałem wśród światowej wrzawy.
Ja! zakonnik — i pocóż mięszam się do świata?
Dlaczegoż przypasałem do boku miecz krwawy?
Ubiegła dni połowa, mnogie przeszły lata,
A ja pierwszy raz myślę!... o! jak straszne męki
Myśleć...

Słychać dzwon klasztorny.

Klasztornych zdala dzwonów słyszę jęki...
Kiedyś... może i prędko... dla mnie dzwon uderzy...
I cóż czynić? modlić się?... niech się modlą ludzie!
Zapomniałem modlitwy, nie umiem pacierzy,
A jednak... nieraz, nieraz w udanej obłudzie
Klęczę, całuję zimne podłogi kościoła.
Krwią skalany, mgłą czasu osłoniony ciemną,
Jestem wyższy nad ludzi; dlaczegoż przede mną
Aż do ziemi pokorne uchylają czoła?
Mnie uczcili — uczcili szatana w człowieku!

Po chwili.

Jestem ostatni z ludzi! gdy wieki przeminą,
Będą mnie pokazywać jako widmo wieku:

Mnich i zabójca ludzi. — Ciemna mar drużyno!
Czemuś mnie otoczyła? precz! precz, blade duchy:
Oto chwila myślenia! oto chwila skruchy!
Precz, szatanie! nie jestem już twoim w tej chwili,
Już dno odkryłem w prawdy zatrutym kielichu...

Po chwili, coraz gwałtowniej.

Lecz poco ta dziewica? poco ta dziewica?
Zastanów się nad sobą, zastanów się, mnichu!
Litość w tobie wzbudzają ukraszone lica,
Ludzie jej nie wzbudzili!... Już dusza wywrzała,
Włos osiwiał, ja grzeszę... Precz stąd, nieszczęśliwa?
Ty mnie wiedziesz do zbrodni, tyś mnie obłąkała!
Szatan w tobie zwodnicze ponęty ukrywa!...
Precz! precz! ona nie słyszy — dotknąłem się dłoni
I ogień mię pożera... Aldono! Aldono!
Weź ten sztylet, zabij mnie... Moje zmysły płoną.
Zabij mnie! zabij!... Boże! w tej cichej ustroni
Tyle zgryzot... Precz! idź się błąkać w lasach Litwy!
O nie, zostań! nie mogę rozłączyć się z tobą.

Aldona, z obłąkaniem.

Słuchaj, naucz mnie modlitwy!
Okryta czarną żałobą
Będę się modlić...

Hejdenrich.

Nędzna, mów Ave Maria!
Uciekaj stąd! nieszczęsna! ona mnie zabija!
Chodź ze mną, uciekajmy! te sklepienia choru
Spadną na nasze głowy — patrz, już drżą filary.
Kocham ciebie, Aldono! lecz w murach klasztoru
Nie śmiem tego powtórzyć — patrz! te krwawe mary
Męczenników rzucają już obrazów płótna,
I stoją tu przede mną — ożyły obrazy...

Aldona.

Róża grobowa smutna,
Okryła mogił głazy,

Usypia liści szelestem;
A on śpi w grobie! a on śpi w grobie!
Cha! cha! powiem tobie,
Czem byłam dawniej — teraz już nie wiem, czem jestem?

Hejdenrich.

Obłąkana.... Mnich jakiś do tej sali zmierza.

Wchodzi Mindowe w habicie mnicha, z zapuszczonym kapturem.

Z czem tu przychodzisz, nędzny klasztorny żebraku?

Mindowe.

Z rozgrzeszeniem.

Hejdenrich.

Dla kogo?

Mindowe.

Dla ciebie, krzyżaku.

Heidenrich.

Wiesz, kto ja jestem? Komtur i legat Papieża.

Mindowe.

Wiesz, kto ja jestem?

Hejdenrich.

Może klasztoru posłaniec,
Co zbiega okolice i prosi jałmużny?...
Oto masz dar obfity.

Rzuca mu pieniądz.

Mindowe.

Tyś mi jeszcze dłużny
Jednym pacierzem... patrzaj! oto mój różaniec...

Wyjmuje miecz z pod habitu.

Z takim różańcem będziem odmawiać modlitwy.

Hejdenrich.

Precz, mnichu!

Mindowe, zrzuca ubiór mnicha.

Mnich już odszedł — został Książę Litwy.

Hejdenrich, dobywa miecza.

Już stąd nie wyjdziesz księciem!

Biją się — wpada Wojsiełko i mnichy z pochodniami.

Wojsiełko.

Boże! Wielki Boże!
Mój ojciec?... ojcze! ojcze! skąd ta wściekłość sroga?
Na kogoż miecz podnosisz w święconym klasztorze?
Jest to poseł Papieża! jest to poseł Boga!
Mnich niezachwianej wiary, pobożny i święty.
Będziesz wyklęty, ojcze, i klasztor wyklęty.

Mindowe.

Poznaj go, synu, tego papieskiego posła.
Święty? dobrego nabył do świętości prawa!
Patrz na jego oblicze! ta postać wyniosła
Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa,
Jak wąż w żelaznej łuski pierścienie uwita.
Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą.
To poczwara spragniona i nigdy nie syta,
Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.
Złotą ukrywa zbroję płaszcz z wełny ubogi...
Poznajcie posła — dobrze poselstwo odprawił!
Więcej zabijał ludzi, aniżeli zbawił.
Nie sam ujechał... patrzcie, to towarzysz drogi,
Myślicie, że to krzyżak pokorny i cichy?
Odkryjcie jego szaty!... Skamienieli mnichy!
Patrzcie! on z tą dziewicą uchodził do piekła.

Wojsiełko słuchał z natężeniem słów Mindowy i rozerwał różaniec, który trzymał w dłoni, ziarna posypały się po ziemi.

Otoczyć wejścia!... Ojcze, patrz! różaniec złoty
Pękł w drżącej wściekle dłoni... płonę ze sromoty.
Dajcie miecz!

Hejdenrich.

Precz stąd! precz stąd! mnichów zgrajo wściekła!
Pogardzam waszą zemstą! zapęd marny, płonny.
Oto się ciemnym tłumem napełnia komnata,
Ja rzucam miecz na ziemię, sam wyjdę bezbronny,
I nikt się tknąć nie waży osoby legata;
O tyle jestem wyższy nad te podłe tłumy.
Wychodzę... wam przekleństwo zostawuję Boga!

Mnichy rozstępują się, Hejdenrich wychodzi.

Wojsiełko.

Któż widział tyle zbrodni razem z tylą dumy?
Wyznaję, mnie samego ogarnęła trwoga,
I ty milczałeś, ojcze...

Mindowe.

Dziwi mnie odwaga.
Gdzie Trojnat?

Wojsiełko.

Przez legata został uwolniony.

Mindowe.

Trojnat wolny! o nieba, on pragnie korony!
Zły los moje zabiegi niszczy i przemaga.
Wyście go uwolnili... O! mnichy przeklęte,
Miło wam szeptać pacierz po murach zakonu,
Na łonie bezczynności wiodąc życie święte,
Lub dzwonić po umarłym, a słysząc jęk dzwonu,
Razem z dziedzicem z cudzej radować się śmierci,
Że wam znów grosz za pogrzeb wpłynie do karbony.
Z ziemią ja kiedyś zrównam ten wasz gmach święcony,
Was samych wplotę w koło, rozsiekam na ćwierci.

Mnich I.

Tobie służymy, Panie, służąc naszej wierze,
Za ciebie codzień mnogie mówimy pacierze.

Obraliśmy patronkę — na jednym z ołtarzy,
Kędy Solimskiej Matki boskiej malowidło,
Stawialiśmy sześć wielkich złocistych lichtarzy,
I tyleż świec z żółtego wosku — i kadzidło.
Lecz jeśli modłów naszych nie miała na względzie,
Odtąd inna patronka stróżem Litwy będzie;
Odtąd ołtarzom *panny Maryi z Ankony*
Powierzamy los Litwy i straż twej korony.
Lecz ołtarz jej ubogi.

Mindowe.

Skarbu nie wycieńczę,
Bogacąc nowej dzisiaj patronki obrazy;
Znam jej łaskę i za nią sowicie odwdzięczę.
A mając do Maryi Solimskiej urazy,
Chcę, żeby wszystko złoto i drogie kamienie
Przeszły odtąd na ołtarz Maryi z Ankony...
Oto niedługo słońca zabłysną promienie,
Może się zdrada wciska w mój gmach opuszczony;
Wracam do zamku śledzić podstępy Litwina.
Aldono, co krzyżackie ukochałaś zbroje
W nadziei, że Malborga okrasisz pokoje,
Dziś wrócisz do ciemnego zamku poganina.

Mindowe wychodzi z Aldoną. Mnichy, szepcąc pacierze, rozchodzą się po celach.

SCENA II.

Noc. Las sosnowy.

Lutuwer, leży pod drzewem.

Już się do nowogrodzkich zamków nie dostanę.
Rycerze mnie odbiegli — umrę! umrę w lesie!
Jutro spłonę na stosie, wiatr prochy rozniesie.
Miecz krzyżacki głęboką zadał w piersi ranę,
I krzyżak, co ugodził, miecz zostawił w ranie,
A ja ten miecz poznałem — okropne poznanie!
Na nim godło Dowmunta. — Ach! gdzież jest Mindowe?

Powiem mu... Och! och! konam, do zawarcia powiek
Pomóżcie cichym szmerem gałęzie jodłowe.
Konam w rodzinnych lasach.

Mindowe wchodzi, za nim Aldona.

Mindowe.

Ha! cóż to za człowiek?
Zraniony — krew na wrzosach!

Lutuwer, wyciągając ręce.

O Panie! o Panie!
Przybliż się — tajemnica...

Mindowe.

To ty, Lutuwerze?

Lutuwer.

Konam!...

Mindowe.

I tajemnicę odkrywa skonanie.
Jakaż to tajemnica?

Lutuwer, cicho.

Królu! w krzyż nie wierzę.
Nie mam wiary — i krzyż mię nie może przekonać.

Mindowe.

Skonaj bez wiary...

Lutuwer.

Panie! panie, daj mi wiarę!
Jakąkolwiek, nie mogę tak bez wiary skonać.
Przyjąłem chrzest, gdyś kazał — dzisiaj bogi stare
Wołają mnie! wołają! każ mi wrócić.

Mindowe.

Każę.

Lutuwer.

Jodło, tyś moim bogiem... Oto Litwy gromy
W proch obróciły złote krzyżaków ołtarze.
Od twoich zamków niższe dziś krzyżackie domy.
O straszny! straszny byłem, gdy na mnichów głowy
Ciskałem oszczep — zakon czoła nie podniesie...

Mindowe, odwraca się.

Co to za stuk?

Lutuwer.

O panie! to nic — to po lesie
Litwini tną gałęzie na mój stos grobowy.
Czy to mi rosa spadła na czoło!

Mindowe.

Łza moja...

Lutuwer.

Od dzisiaj będzie rosą rdzawieć starca zbroja.
Jak za temi chmurami mgli się blask księżyca,
Jeżeli jej od rosy wnuki nie ustrzegą.
Och! panie, jak mi ciężą jedna tajemnica!
Przeklniesz! nie wypełniłem rozkazu.

Mindowe.

Którego?

Lutuwer.

Och! zabójstwa...

Mindowe, zimno.

Którego?

Lutuwer.

On żyje.

Mindowe.

Kto taki?

Lutuwer, coraz słabiej.

Nie pomnę już imienia, muszę przypominać.
On mnie zabił, chcę przekląć, on walczył z Krzyżaki.
Nie pamiętam imienia — nie mogę przeklinać.
Och! och! och!...

Kona.

Mindowe.

Skonał... zimny... Patrzę na twarz bladą,
I zamiast starca rysów z uwiędłym wyrazem
Widzę rysy dziecięcia; wychowani razem,
Ja go dzieckiem widziałem. Dziś go na stos kładą.

Wchodzą żołnierze.

Litwini — nieście za mną Lutuwera zwłoki
Do zamku Nowogródka. Tam wznieść stos wysoki.

Odchodzi, dając rozkazy, za nim wynoszą ciało Lutuwera.

SCENA III.

Świątynia pogańska w nowogródzkim zamku.

Rogneda, przy ołtarzu sypie kadzidło.

Boże piorunu! rzucam dla ciebie kadzidło!
Wonny się bursztyn pali.
Niechaj twoje mgliste skrzydło
Białowiejskie puszcze wali;
Zostaw tam lasy ogniem zapalone gromu.
Przybywaj! przybywaj, Boże!
Wszystkie duchy do książąt przybywajcie domu,
Nim wasze ciemne twarze jasne rozmgli zorze.
Już słyszę... jako szumi wzdęta nawałnica,
Kiedy sosny druzgota Boga wichru ramię;
Z takim szumem wir duchów przy blasku księżyca
Płynie, topi się i łamie.
Matka królów was wita!
Oto dla was ofiary
Rzucam w kadzielnic żary.
To dla bogini wiosny — ten kwiat, co rozkwita,

A to dla boga zimy — ten kwiat, co usycha,
A to dla boga piekieł — brylant z krzyża mnicha.

Po chwili.

Rozwidniają się duchy w mrocznym kadzidł dymie.
Bogi! syn mój do dawnej znów powrócił wiary,
Na waszych zgliszczach setne zapali ofiary.
Mindowe.. syn mój... z dumą powtarzam to imię!
Mindowe! czy słyszycie? powiedzcie mi, bogi,
Czy on będzie szczęśliwy? czy długo los błogi
Utrzyma go na tronie? czy przekleństwa moje,
Które niegdyś ściągnęła gorzka jego wina,
Nie zaszkodzą mu w życiu? przeklinając syna,
Bałam się ich spełnienia i teraz się boję.
Mówcie! lecz serce własnym modłom nie dowierza,
Już mi braknie na wasze zaklęcie wyrazu.
Mówcie!

Głos z ołtarza.

Mindowe zginie od ręki rycerza,
Który poległ zabity z Mindowy rozkazu.

Rogneda.

To był głos ludzki!... nie, nie, to są boskie słowa!
Bogi, czemuż tak nagle znikacie przede mną?
Daliście mi odpowiedź okropną i ciemną.
Zniknęli, znów mnie ciemność okryła grobowa.
To może natężone zmysły mnie uwiodły.

Oddala się. — Trojnat i Hejdenrich wychodzą z poza filarów, gdzie byli ukryci.

Trojnat.

Rogneda za Mindową zasyłała modły,
Nie można na nią liczyć — to matka...

Hejdenrich.

Trojnacie!
Słyszałeś, jaką dałem odpowiedź z ołtarza?
Pierwszy raz legat zasiadł w takim majestacie;
Pierwszy raz posłańcowi Papieżów się zdarza

Dawać wyrok przez usta pogańskiego boga...
Lecz Mindowe za nami z klasztoru przybędzie,
Nie wie, że w zamku znajdzie ukrytego wroga;
Gdy walczy w Prusach, Krzyżak stolicę zdobędzie,
I za wszystkie poprzednie zdrady mi zapłaci...
Panie! na twe rozkazy mam dwudziestu braci,
A każdy zbrojny mieczem i krzyżem i tarczą.
Teraz, gdy na Krzyżaków wyszli wojownicy,
Te małe siły w naszych zamiarach wystarczą;
Potem miodem znęcimy zmienny lud stolicy.

Trojnat.

Z nocą trzeba otoczyć zamek z każdej strony,
Ja s ım się wkradnę z mieczem w znany gmach zamkowy,
Zgładzę dzieci, by przez nich nie stracić korony.

Hejdenrich.

A Mindowe?

Trojnat.

Kto inny knuje śmierć Mindowy.

Hejdenrich.

Lecz, książę, gdy zasiądziesz w litewskiej stolicy,
Czy wspomnisz, że ci Krzyżak dopomógł w zamiarze?

Trojnat.

Wzniosę ołtarz...

Hejdenrich.

O! niechaj w proch padną ołtarze!
Ale nie waż się wdzierać do pruskiej dzielnicy,
Nie waż się...

Trojnat.

Tak, zadosyć uczynię twej chęci,
Usługę waszą w wiecznej zachowam pamięci.
Idźmy! idźmy; Mindowę już w ręku trzymamy,
Idźmy otoczyć zamek i osadzić bramy.

AKT V.

Sala w pałacu Mindowy.

SCENA I.

Mindowe, Rogneda, siedzi na przodzie sceny.

Mindowe.

Matko! próżna ucieczka, w każdej zamku bramie
Widzę, błyszczą zdaleka buntowników zbroje.
Jak tygrys w klatce, chyba mury te rozłamię.
Nigdym się nie bał śmierci — teraz się nie boję,
Lecz rozpacz ogarnęła, wściekłość mnie porywa.

Rogneda.

O synu mój! nie umrze ten, kto bogów wzywa,
I kto z ufnością boskim wyroczniom zawierza,
Słuchaj... nie możesz zginąć jak z ręki rycerza,
Który poległ zabity za twoim rozkazem.
Ufaj i śmiało ludzkim pogardzaj żelazem,
Chyba umarli wstaną...

Mindowe.

Kto? te mnichów tłumy,
Którzy poszli do piekła... Kto? te Niemcy harde,
Którzy z życiem wrodzonej pozbyli się dumy.
Dla żywych i umarłych równą czuję wzgardę,
Umarłych się nie lękam...

Rogneda.

Lecz Dowmunt?

Mindowe.

Śpi w grobie.
Gdyby ci wstawać mogli, których grób pokrywa,
Nie śmiałyby się żony ubrane w żałobie,
Ani dziedziców radość byłaby tak żywa.
Matko — i ja nie wrócę, gdy dziś w grobie zasnę.
O! zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,

Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku na wysokiej górze!
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać,
I nieraz cię krwią ofiar niewinną zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?

Rogneda.

Serce rozdzierasz, synu.

Mindowe.

Rozdzierałem serca.
Bezbożny, zbójca, tyran, obłudnik, morderca:
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie,
Jam wszystkie spełnił — zimno — znużony po zbrodniach
Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko! ciężkie, ciężkie było moje życie,
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko,
Nikt mnie nie kochał!...

Rogneda.

Słyszysz tego serca bicie?
Kochałam cię...

Mindowe.

A jednak przeklęłaś mnie, matko!

Rogneda.

Nie masz ty serca, synu! on mi przypomina!
Przekleństwo zapomniane!

Mindowe.

Tu czara nalana
Słodkiem winem, truciznę przymięszam do wina.

Sypie truciznę.

O matko! tu Aldona idzie obłąkana.

Wchodzi Aldona i w obłąkaniu zdaje się kogoś prowadzić za sobą.

Aldona.

Chodź tu za mną, Dowmuncie, w tej sali tak głucho,
I ty za głośno stąpasz... słyszy moje ucho
Ciężkość twoich odetchnień — szelest twojej szaty...

Po chwili.

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie?... grób ten dwoje kochanków przykryje

Po chwili.

Chodź za mną, daj mi rękę, jak twe serce bije?
Bije zanadto głośno, Mindowe usłyszy!
Czego tak głośno stąpasz? w pałacowej ciszy
O sklepienie się każde westchnienie roztrąca.
I uśmiech taki zimny — i dłoń taka drżąca.

Idzie do okna.

Czemu tak wcześnie? czemu tak wcześnie?
Już mię porzucasz, drogi mój! miły!
Jeszcze gmach cały spoczywa we śnie,
Ledwo wieczorne gwiazdy zalśniły.
Lecz oko twoje moich unika
I łzami smutna błyszczy źrenica.
Czy cię tak smuci ten głos słowika?
Czy cię tak smuci ten blask księżyca?

Mindowe.

Nieszczęśliwa... więc dam jej zatrute napoje...
I któżby z ludzi sądził, żeby serce moje
Miało tyle litości?

Podaje Aldonie czarę.

Dowmunt ci przysyła
Ten napój, wypij, zaśniesz...

Aldona, z uśmiechem.

To Dowmunt?

Mindowe.

Wypiła...

Aldona.

Noc była ciemna i chłodna,
Czułam, jak się myśl moja rozdzielała ze mną
I mowa z wątkiem myśli stała się niezgodna.
Straszna to była chwila, jeszcze w noc tak ciemną.
Lecz dawniej, kiedyś — w tej samej dobie,
Była straszniejsza chwila w tej sali...
Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... czy słyszysz dźwięk stali?
Chroń się; o Boże! wyłam okien kraty...

Śmieje się z obłąkaniem.

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie...

Śmieje się dziko.

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... bywaj zdrów na wieki!

Wychodzi zamyślona.

Mindowe.

Niech prędko sen śmiertelny zamknie jej powieki...

Rogneda.

Słyszę jakieś stąpania — synu! synu drogi!
Patrz, oto klucz od świątyń — przez te drzwi komnaty
Uchodź — tam będą bronić wielkie Litwy bogi,
Tam w ołtarzu odemkniesz potajemne kraty,
Jest wyjście do ogrodu, kędy lampa świeci...
Zapomnij przekleństw.

Mindowe, wskazując na jedne z drzwi.

Matko! tam! tam moje dzieci!...

Wychodzi innemi drzwiami.

Rogneda, sama.

Poszedł... ostatnich jeszcze kroków szelest słyszę?
I te już nikną... poszedł — wszędy grobu cisze...

Po chwili.

Gdzież jestem? czy młodości wróciła godzina!
Wszyscy są tu koło mnie — książęca rodzina
Otoczyła mnie wkoło. Nie są to obrazy,
Które z płótna się patrzą nieruchomym wzrokiem;
Widzę ich — na obliczu czas nie wyrył skazy,
Nie zakryli się żadnym posępnym obłokiem.
Jak wczoraj pożegnani.

Mówi do otaczających ją duchów.

Ryngolcie! mój mężu!
Siądź tu przy mnie... Patrz, jak ta dziecina na łonie
Uśmiecha się i w twoim podobna orężu.
Nie rusz miecza, Mindowe, okaleczysz dłonie.
Masz kwiatek, baw się z kwiatem, dziecię, duszo moja?
Ty się uśmiechasz, mężu — Ryngolcie kochany.

Słychać szczęk broni.

Broń jęknęła — Ryngolcie, czy to twoja zbroia
Zajęczała tak smutnie? czy miecz spadł ze ściany?
Ty znikasz, pójdę z tobą — nigdy się nie chwiałam,
Czy przyjmiesz mnie do grobu? czy przyjmiesz?

Przez kilka chwil milczy zamyślona. — Trojnat ze sztyletem w ręku, blady, przechodzi przez głąb sali — i wchodzi do pokoju dzieci przez drzwi, na które Mindowe wskazał, oddalając się.

Słyszałam!
Tak, to on był!

Mindowe wraca.

Mindowe.

Kto, matko? kto, matko!

Rogneda, z zadziwieniem.

Mindowe?
Pocoś tu przybył! poco szukasz tu schronienia?
Uciekaj! miecz ukryty spadnie na twą głowę.

Mindowe.

Nikogo tu nie widzę oprócz mego cienia,
Który po raz ostatni pada na te ściany.

Matko, widać nieszczęściem umysł masz zbłąkany.
Próżna ucieczka, losy niechaj się uiszczą,
Byłem w świątyni, zewsząd zdradne miecze błyszczą,
Czy był tu kto?

Rogneda.

Gdzie Trojnat? Trojnat tu przechodził.
Zdaje się, że widziałam sztylet — we krwi brodził.

Mindowe.

Gdzie Trojnat? Matko moja! gdzie Trojnat — on zginie.
Chciałbym ukarać sprawcę niegodnego czynu.
Matko, powiedz! ach powiedz! nim chwila przeminie,
Będzie zapóźno...

Rogneda, z rozpaczą.

Ja go nie widziałam, synu!
Nie lękaj się — nie zginiesz od Trojnata dłoni,
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie.

Mindowe.

O matko! oby prędzej zabłysło świtanie.
Zaledwo się od wschodu rozwidnia noc ciemna,
Srebrne mgły się podnoszą. Zda mi się, że słyszę,
Jak smutno szumią wody błękitnego Niemna,
Jak posępnie litewskim borem wiatr kołysze.
Matko, czujesz przez okna tej gotyckiej sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie.
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go. Niech już słońca zabłysną promienie.
Nie wytrzymam, tak srodze duszę moję nęka
Ta nad głową z sztyletem zawieszona ręka.

Podczas ostatnich słów wchodzi Dowmunt w krzyżackiej zbroi, z zapuszczoną przyłbicą. Rogneda do końca aktu siedzi nieporuszona.

Dowmunt.

Zapłaciłbym krwią moją tak podłe wyznanie,
Boisz się umrzeć, zgonu boisz się, tyranie!

Płacz i głoś żal za życiem niewieściemi słowy,
Nakarmię dziką zemstę bojaźnią Mindowy,
Ujrzę płacz rzewny dziecka.

Mindowe.

To krzyżak! strach marny.
Dzieci tylko przeraża zbroja i krzyż czarny,
Broń się...

Biją się i po długiej walce zastanawiają się oba.

A więc innego użyjmy sposobu.
Oba odrzućmy zbroje — ten, kto mnie zabije,
Musi wprzód wejść do grobu, potem powstać z grobu.

Dowmunt.

Pomnisz Dowmunta!

Mindowe.

Skonał.

Dowmunt, podnosi przyłbicę.

Już zmartwychwstał, żyje.
Patrz, kto ja jestem!

Mindowe.

Matko! matko! mąż Aldony.

Dowmunt.

O Boże! mąż Aldony! tak jest, mąż Aldony!
Broń się, nieszczęsny! cała wściekłość mi wróciła.
Odemszczę w krwi tyrana nieszczęścia mej żony.

Mindowe.

Więc i śmierć jej odemścij.

Dowmunt.

Jakto? ona żyła!
I choćby serce uschło, ją mój wzrok ożywi,

Będziemy jeszcze razem, będziemy szczęśliwi,
Jak dziecka strzedz jej będę i osłodzę płacze.
Powiedz, że ona żyje! wszystko ci przebaczę,
Nawet tę wieść ostatnią okropną i ciemną.

Mindowe.

Ona piła truciznę, zginie razem ze mną.

Dowmunt, przebija go.

Ty prędzej zginiesz! Boże! Aldona! Aldona!

Wybiega.

Mindowe, opiera się o filar sali.

Krew mi płynie strumieniem z rozdartego łona.
Matko moja! chodź, zamknij! zamknij oczy syna.
Jak się ciężką wydaje ta żelazna zbroja,
Ten miecz okropny mrozem krew mi w żyłach ścina
Czyżeś mię opuściła? matko! matko moja!
Przekleństwo wam! o mnichu! mnichu, precz mi z krzyżem.
Na tron nieście, a w mnichy Trojnata postrzyżem.
A ty po co nade mną szepcesz te pacierze?
Boże mój — Boże, ciągle odzywa się we mnie,
Precz, mnichu! sen przerywasz, niech boleść uśmierzę,
Niech zasnę! och, niech zasnę! daremnie! daremnie!
W strasznych bolach o wszystkiem w świecie zapominam,
Świat i siebie przeklinam — i dzieci przeklinam.
Wszystkich przeklnę. — O matko! gdzie są moje dzieci?

Trojnat wychodzi z dzieci pokoju ze sztyletem, blady.

Trojnat.

Nie, tu niema nikogo — lampa tylko świeci.
Gdzież ta korona? gdzież jest? zabić bez nagrody.
Gdzież jest moja korona? gdzie purpura księcia?
Jak mi ciężko — okropnie...

Patrzy przez okno.

Słyszę ranne chłody,
Spojrzę na ziemię, róża jest jak twarz dziecięcia,

Spojrzę na niebo, księżyc jest jak twarz dziecięcia,
Wszystko mi przypomina. Raz pierwszy krew leję,
Potem przywyknę — teraz pot się sączy z czoła.
Noc straszna. Włos od zgryzot przez noc mi zbieleje.
Jakiś szmer słychać — może to mnie dziecię woła?
Czy wrócę ich dokonać? Nie, tak mi się zdało.
Ciemno lampa płonęła, jedno z dzieci spało
Po płaczu utulone jak na łonie matki,
I przez sen niespokojne marzyło wyrazy;
Drugi już się przebudził — i wołał o kwiatki,
I niewyraźne dawał piastunce rozkazy;
Potem nagle zapłakał, gdy żadnej nie było,
I jakby mu się jeszcze coś strasznego śniło.
Jeszcze zapłakał — jęknął — znów cicho w komnacie,
I jeszcze — jeszcze jęknął.

Mindowe.

Trojnacie! Trojnacie!
Skończ! skończ! przekleństwo tobie! o boleść straszliwa!
Mocniejsza teraz, kiedy życie dogorywa.
Gryzłbym z jękiem te twarde kolumny marmuru,
Przeklinam ciebie — matko, ty przeklnij mordercę!
Twych przekleństw ja doznałem. Boleści tortury!
O, gdyby prędzej skończyć! przebij mi to serce,
Lecz nie tym mieczem, którym zabijałeś dzieci,
Precz! precz! czuję, duch z jękiem ostatnim uleci.
Och! och! och!

Kona.

Dowmunt wpada prędko, prowadząc za sobą obłąkaną Aldonę.

Dowmunt.

Ach przemów! przemów do mnie, o droga Aldono!

Aldona, śpiewa z obłąkaniem.

Oto złotą osnową
Winie mi się wrzeciono,
A ja śpiewam dziecinie:

Jeśli się nić uwinie,
Uwieńczona koroną,
Będziesz kiedyś królową;

Przestaje śpiewać.

Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.
Pamiętam, tak mi niegdyś piastunka śpiewała,
Czy się ta nić uprzędła? czyli się urwała?
Nie wiem — już nie pamiętam, to tak dawno było.

Dowmunt, z rozpaczą.

Czy ty mnie znasz, Aldono?

Aldona, zimno.

Tak, myśmy się znali
We śnie. Tyle mi twarzy na świecie się śniło,
Któż sny pamięta?

Dowmunt.

Lampa tak ciemno się pali,
Dlatego nie poznała.

Bierze lampę i z nią przystępuje do Aldony.

Patrz! twój Dowmunt żyje,
Stoi przed tobą. Patrzaj! choć nieszczęście zmienia,
Nie zmieni rysów twarzy — zginął stróż więzienia,
Ja odzyskałem wolność...

Aldona.

Ach, jak mi wesoło!
Idę do ślubu, wianek zawieszę na czoło.
Jeden kwiat polnej róży
I dużo rozmarynu,
Niechaj mi szczęście wróży;
Dwie gałązki jaśminu
I jeden liść paproci.
Patrzaj! oto poranek blado niebo złoci.
I tak mi słabo — tak mi w oczach ciemno.

Dowmunt.

O luba! droga moja — chodź ze mną! chodź ze mną!
Nie płacz — czas wszystko zgładzi, zmysły ci powrócą,
Strzedz cię będę jak kwiatu, otoczę kwiatami,
Żadne ponure myśli szczęścia nie zakłócą,
Łzy moje cicho będą płynąć z twemi łzami.

Aldona, wpatrując się w Dowmunta z uśmiechem.

Dowmunt!

Dowmunt.

Ty mnie poznałaś ...

Aldona, oglądając się.

Jak tu ciemno w gmachu,
To kwiaty na podłodze...

Dowmunt.

Krew skalała głazy.
Chodź! chodź! oto ich twarze pobladły z przestrachu.

Aldona, śmiejąc się z obłąkaniem.

Cha! cha! ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy.
I ból. Niech go uczuję głębiej. — Och! rozdziera.
Rozdziera mi wnętrzności. Wyrwij mi go z łona.
Już widmo ciemne myśli bladnie — obumiera.
I wszystko przeszło. Boże, och! och! och!

Umiera.

Dowmunt, padając przy niej na kolana.

Aldona!

Wchodzi Krzyżak.

Krzyżak, do Trojnata.

Kapłan litewski panem Litwy cię ogłasza,
A lud radosnym krzykiem jego wybór święci.

Trojnat.

Nie gadaj do mnie... wszystko wygasło w pamięci.
Lecz głos dumy — sumienia boleści rozprasza,
Może o tem zapomnę, gdy włożę koronę.
Dowmuncie! chodź z tej sali...

Dowmunt.

Patrzaj na Aldonę.
Jaka blada, jak zimna — to Aldona!

Trojnat.

Blada?
Ach właśnie taka bladość była dzieci twarzy,
Tak były ciche, zimne... Okropna to zdrada!
Zabijać dzieci! dzieci! Ale mi się marzy,
Że jeden jeszcze westchnął... pójdę tam zobaczę,
Nie, nie, to było tylko konających drganie.
Tyle razy słyszałem z ich kolebek płacze,
Nie dziw, że mi się marzą.

Krzyżak.

Lud cię woła, Panie.

Trojnat.

Tak, prawda — lud mnie woła i na króla święci,
Matko! matko Mindowy! spełnione twe chęci.
Cóż to? nie słyszysz, matko?... Nic nie odpowiada.
Rognedo! twego syna ziemia dziś pokryje.
Rognedo? cóż ty milczysz?

Zbliża się do nieruchomie siedzącej Rognedy.

Przebóg! jaka blada,
Nieruchoma, skościała — zimna —

Bierze ją za rękę.

Już nie żyje.

Warszawa 1829.

Ktokolwiek zechce przeczytać do końca dwa tomy niniejszej poezyi, przekona się, jak mało czytelnika sobą i własnemi uczuciami zatrudniam; usilnie kryłem się za osoby działające w powieściach, jeszcze mniej widać autora w dziełach scenicznych. Odczytując świeżo dramat Mindowe, wpadam na myśl, że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu, drugim bezbożność, a oprócz tych zarzutów, iluż błędów wiersza nie wyśledzi oko wglądającego przez mikroskop gramatyka. Niech mi więc wolno będzie, uprzedzając krytyki, wyznać, że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniej błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty wtenczas, kiedy autor miał lat... Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych polskich, naśladując Edinburgh Review — (tylko samo bardziej błahe i nad bardziej błahym pastwiąc się autorem) powiedziało: iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej, w przypisach o przywileje małoletnich upominam się. I tak Mindowe powinien był wiecznie w tece dziecinnej pozostać; wiecznieby w niej pozostał, gdyby

nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego. Ależ i w akcie trzecim, na który niejako uwagę czytelnika zwrócić usiłuję, pozostało mi tu uczynić przykre może dla wielu innych, ale dla mnie mało ważne wyznanie. Jeden z literatów, który dawniej przebiegał sceny Mindowy, uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej Grażynie Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historyi Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnem ubóstwie królów i kniaziów. Nieraz książę Tweru albo Nowogrodu, testamentem rozpisując swoje skarby, jednemu z synów kubek, drugiemu szatę jedwabną, trzeciemu łańcuch daje w spuściźnie. Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny, i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz:

Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję.

I ten drugi:

A tu patrz, Lutuwerze, jak posępne gmachy.

Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam.

Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowie naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest Szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w Wallenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą.

Ale z drugiej strony, ileż w tegoczesnych poetach nowych myśli? jaka moc zadziwiająca wynalezienia? słusznie Cousin w historyi filozofii osiemnastego wieku powiedział: że wiek dziewiętnasty będzie bogatym w wielkich poetów, albowiem Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi nowe zasoby imaginacyi; ale niesłusznie tenże pisarz dodał, że Bóg uczynił to jakoby dla wynagrodzenia ludzi za oschłość politycznych wypadków wieku; sądziłbym, że wiek ten będzie w wypadkach swoich poetycznym i że skarby imaginacyi wylane zostały na świat celem usposobienia ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć, celem silniejszego popchnięcia dążności ludów.

Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność w słowach Mindowy odkrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy. Trzebaż było, aby Mindowe w każdem słowie, lękając się obrazić czytelnika, obrażenia krzyżaków lękał się? Wyrzeczenie się wiary, zerwanie z krzyżakami, bula papieska, w której Innocenty IV daruje królowi wszystkie kraje, jakie kiedykolwiek Mindowe mieczem pozyska na Danielu, książęciu z Halicza, są to fakta z historyi wyjęte. Te rysy były głównym zawiązkiem utworu, musiały więc pozostać, i śmiem dodać, że sceny te, jako żywcem z historyi wydarte, są jedyną zapewne zaletą źle ułożonego obrazu.

MARYA STUART.

DRAMA HISTORYCZNE

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

Marya Stuart, królowa Szkocyi.
Henryk Darnlej, mąż Maryi Stuart.
Morton, kanclerz.
Rizzio.
Botwel, kochanek Maryi.
Duglas.
Lindsay.
Paź Maryi Stuart.
Nick, błazen Henryka.
Astrolog.

Scena w pałacu Holy Rood.

AKT I.

SCENA I.

Sala w pałacu Holy Rood.

Marya Stuart, Rizzio, Paź.

Paź, wbiega prędko.

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj, królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiej kaplicy.
Dziś, królowo, nad rankiem, za ogrodu murem
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda:
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem,
Mały Janek i strzelce i Maryanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem; wtem zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się dokoła;
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potem wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli... Znów ten człowiek blady
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy
Przeciwko tobie, pani, lud budził do zdrady.

Rizzio.

Poznałem z opisania, to był Knox,*) królowo;
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,
Lud modli się i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześciańskie podaje nauki;

*) Cz. Noks.

Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!
Jak Papież klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

Paź.

Królowo! śmielsi z ludzi, do zbrodni gotowi,
Wpadli do twej kaplicy z dzikiemi okrzyki;
Gniazdo papistów! krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
Wtem patrzę, oto w szaty kościelne przybrany
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja — i śmieli
Jak ksiądz zaczął kazanie w święconym kościele.
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza, zdjęty i rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mnie orężem — o ścianę oparty
Miałem uledz — wtem Botwel z królewskiemi warty
Przybył — ocalił pazia, kaplicę otoczył.

Marya.

Rizzio! słyszałeś? Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich, lud mnie nienawidzi;
Ów Knox śmiało urąga kobiecej koronie,
Takżem to nizko spadła? przeklina mię, szydzi,
Rozdzierają to serce. Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam! czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocyo!. .

Rizzio.

Przestaną!

Przestaną cię obrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak pozwól, królowo;
Paziu, pisz rozkaz — niechaj schwytani na zbrodni
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

Paź bierze pióro i siada nad kartą pergaminu.

Pisz rozkaz, przewinili, litości niegodni.
Wszystkich bym jednym stosu ogarnął płomieniem.

Marya.

Cały lud byś wytępił? jaka zemsta dzika!
Lud mię zdradza.

Paź, pisząc.

Królowo! czyliż z twem imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

Marya.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś jego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem,
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz? — nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła.

Rizzio.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy, na obłoków tronie
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie,
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłem czołem widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonej kary,
A cnót przyćmionych kiedyś znajdą się obrońce,
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce.

Marya.

Wiara każe przebaczyć.

Rizzio.

Bóg ma kary w niebie,
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryje niesławą,
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie
Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie
Zapalić jasny świecznik, niech błyska i płonie.

Do pazia, który skończył pisać i wstaje.

Skończyłeś, paziu? dobrze, zawołaj rycerza,
Który dziś straż odbywa.

Paź wychodzi.

Wyrok swój usłyszą.
Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza.
Jak pióra, co na mojej głowie się kołyszą,
Zadrżą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

Marya, Rizzio, Duglas, Paź.

Marya.

Witam ciebie, Duglasie, niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowej.
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.

Duglas odbiera pismo z rąk królowej, przegląda je i czeka.

Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niem ubliżyć kobiecie? królowej?

Duglas.

Królowej? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz, pani — oto na tym pergaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłej godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba,
Imię z twojem imieniem zawsze było w parze:

Wybacz śmiałości mojej, może się podoba
Sprostować błąd?

Rizzio.

Królowa nie błądzi, gdy każe.

Duglas, ze wzgardą.

Niech z samych ust królowej otrzymam odprawę,
Czekam jej odpowiedzi.

Marya.

Spełń rozkaz.

Duglas, zapalając się.

Na Boga!
Wstrzymaj, pani! o! wstrzymaj te rozkazy krwawe!
Królowo! chceszże, aby krwią zalana droga
Wiodła do twego tronu? do tronu kobiety?
I niezgody pochodnia na królewskim dworze,
Nie wiem, kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty,
Albo ją wiatr francuski roznieca przez morze.
Słowa wyroku wzięte z weneckiego śpiewu,
Z barkaroli harfiarza, lub z hymnów Papieża.
Więc aż w Szkocyi je słychać... pragną krwi rozlewu!
Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza,
Może zostanie...

Marya.

Dosyc! pamiętaj, Duglasie!
Mnie twoje płoche słowa obrazić nie mogą,
Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą,
Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie...
A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
Jestem królową...

Duglas.

Przebóg! ja stracę ostrogi?
Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie,

Ani je podstępnemi zdobywałem drogi,
Nie dała mi ich harfa, nie dało śpiewanie,
Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu;
Gdziem je zyskał, powiedzą pola Albionu:
Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
Szczycę się długim przodków szlachetnych poczetem,
A wszyscy! — wszyscy! mieczem służyli Stuartom.

Rizzio.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem...

Duglas.

O nędzny! coś wymówił? co słyszałem? Boże!
Ha! więc znasz, jak Duglasy mścili swej zniewagi?
Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze,
Na kimże ja się zemszczę? — lalka bez odwagi,
Oto trefione włosy i różane lice:
Przystąp tu, małe dziecko — rzucam rękawicę!

Rzuca rękawicę.

Podnieś — jeśli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

Rizzio, podnosząc.

Podnoszę.. Z mojej strony, oto masz wyzwanie.

Bierze kwiaty leżące na stoliku przed królową i rzuca je pod nogi Duglasowi.

Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi
Tu, w obliczu królowej...

Marya, do Rizzia.

Z mojego rozkazu
Odrzuć tę rękawicę...

Rizzio.

Rzucam, nie mam zbroi,
I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu...
Daj mi wachlarz, królowo!...

Duglas, z wściekłością.

Jeszcze raz znieważył,
Odrzucił rękawicę... Królowo! królowo!
Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,
Już nie zaśnie pod dachem, gdzie pożar rozżarzył.
Przysięgam, ścigać będę... Nie zechce się bronić?
Zostanę podłym zbójcą, pójdę za nim w ślady;
Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.
Znajdzie mnie tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,
Znajdzie mnie u podwoi, w ogrodach, w kościele,
Znajdzie na dworze Francyi, przed tronem Papieża,
Choćby mu się słał u nóg, jak się teraz ściele,
Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza...

Zimno ze wzgardą.

Kiedyś, królowo... kiedy dworem okolona
Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty,
Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,
A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,
Podam ci ten kwiat — we krwi!...

Marya.

Rizzio! chodź z tej sali.
Widzisz, Duglasie! jestem ze Stuartów rodu,
Umiem pogardzać.

Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potem wraca.

Rizzio.

Jutro — w chłodnikach ogrodu
Czekam ciebie, Duglasie, i na ostrzu stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

Odchodzi śpiesznie za królową.

SCENA III.

Duglas, sam.

Jutro — dzięki tobie!
Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi;

Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie...
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał?... nawet drżącą dłonią
Rzucał pod nogi kwiaty — gardził?... być nie może,
Żeby Duglasem wzgardził! on wie — śmiercią grożę...

Zamyślony, spokojniej.

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią?...
Czuję, nie mógłbym w piersi odkryte uderzyć...
Dam Włochowi miecz dłuższy doświadczonej mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć,
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila,
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

Duglas, Morton, wchodzi.

Duglas.

Witam, wielki kanclerzu, właśnie szukam ciebie;
Obacz, jako małżeńska miłość się przesila,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.

Daje rozkaz królowej.

Przyłóż pieczęć.

Morton, przeglądając pismo.

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?
Ja mam przyłożyć pieczęć — jeśli nie przyłożę,
Królowa powie na to...

Duglas.

Mówiła królowa:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.

Morton.

Tak mówiła? słyszałeś?...

Duglas.

Słyszałem.

Morton.

Mówiła!?...

Duglas.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!
Trzeba pieczęć przyłożyć...

Morton.

Lecz gdy król się dowie,
Co powie na to?

Duglas.

Łatwo zgadnąć, co król powie:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Weźmie ją ręka dotąd dzwonkami brzęcząca.

Śmiejąc się, odchodzi.

Morton.

Czekaj! czekaj, Duglasie — bojaźń mię przenika,
Pójść do królowej?... Nie, nie, pójdę do Henryka.

Odchodzi.

SCENA V.

Scena w pokojach Henryka Darnleja.

Henryk Darnlej, Nick.

Nick.

Nagródź mi, królu...

Henryk.

Za co?...

Nick.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki bez dzwonków.

Henryk, śmiejąc się.

O! szkoda!...

Nick, smutno.

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię, tajemnicę chowałem Midasa:
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!

Po chwili milczenia.

Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnej nie będzie różnicy...
Takiej żądam nagrody...

Henryk.

Cha! co ci się roi?...
Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

Nick.

Prócz ubioru, coś jeszcze biedny Nick dostanie?

Henryk.

Żądaj więc...

Nick, myśląc.

Królu, daj mi — daj —

Wesoło.

Portret królowej.

Henryk.

Dam ci swój...

Nick.

Twego nie chcę, daj mi szyling, panie,
Na nim jest wizerunek królowej w koronie;
A ciebie na szylingu niema...

Henryk.

O! straszliwie!
Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie,
Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,

Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia!... jam na wszystko gotów,
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mnie małe:
Oto jest mąż królowej!... Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowej — to wielka dla Darnleja sława?...

Zamyśla się.

Nick, niby do siebie mówiąc głośno.

Nie dał szylinga, pójdę, nie wytrzymam dłużej,
Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
Ja służę Henrykowi — Rizzio Maryi służy —
I któż z nas lepiej wyszedł?... Gdym przybył do dworu
Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczem,
Zaraz mi dano szatę różnego koloru,
I kij, na którym głowa z podwójnem obliczem,
I czapeczkę z dzwonkami, i pas, a przy pasie
Były dwa worki próżne, i dziś jeszcze próżne,
I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
Opatrzony podwójną twarzą... i okryty
Łataną szatą... w workach żadnego cekina;
Dziś patrz! Włoch już drogiemi błyszczy aksamity,
Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
Z pełnych worków twarz Maryi wygląda przyjazna,
Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
I gdyby miał takiego, jak ja jestem, błazna,
Możeby był podobny do takiego króla
Jakim jest...

Pokazuje ze złośliwym uśmiechem na Henryka.

Zasnął w myślach, zaraz go obudzę...
Królu, słyszysz głos harfy?

Henryk.

Gdzie?

Nick.

W tronowej sali...

Henryk, z mocną boleścią.

Szatanem jesteś, Nicku, ja się dręczę, trudzę —
Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
Niech zagrzebie tron, harfę... Gdzież znajdę zacisze?
Coraz bliżej strasznemi nabawia mnie snami!
Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę —
Jak jej nie słyszeć?

Nick.

Królu, wdziej czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

Henryk.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

Henryk, Nick, Morton.

Morton.

Królu! racz słuchać, królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią... Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

Henryk.

Któż o tem wątpi?

Morton.

Racz więc posłuchać mię, książę?

Henryk, z oburzeniem.

Książę?

Morton.

Królu, racz słuchać!... Nie znajdę wyrazów...
Oto jest pismo, pieczęć przyłożyć kazano.

Henryk, przegląda pismo.

Cóż to? gdzież moje imię? z jakich to rozkazów?
Nie! to pomyłka...

Morton, z uśmiechem.

Tak jest, króla nie wpisano,
Przez pomyłkę zapewne?

Henryk.

Wątpisz o tem, starcze?
Wnet pójdę do królowej, a wszystko przemieni!
Pójdę i wymówkami niewierną obarczę...
Nie, prosić będę... Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli;
To prawie moja wina... jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas... zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.
Gdzie jest Marya?

Morton.

U siebie — Rizzio u niej bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi.

Henryk, gwałtownie.

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę.
Któż mnie uwolni?

Morton.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się... Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarżenie, ja przyjmę obronę,
Zginie.

Henryk.

O nędzny starcze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowej być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, ze krwi obmyć dłonie.
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie!
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłej sprawie?
Ten Włoch nikczemny może w sądzie uwolniony
Znów mi będzie urągał? Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony;
Powróci pokój w domu... Tak — ja się namyślę...
Poco myśleć, myślałem, wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo, zimno, dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie,
Grabarze na cmentarzach już dlań kopią doły.

Nick, widząc, że Morton nie może wesołości utaić.

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś, Mortonie,
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły.
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

Henryk, Nick, Morton, Lindsay.

Lindsay

Królu! dostałem dzisiaj sokoła, król ptaków!
Norweski, cały srebrnem osłoniony pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

Henryk.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

Lindsay.

Cha! cha! bez porównania, lekszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiet, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosiła go na dłoni nad Klydu*) rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

Morton.

Dziś król ma zajęcie.

Henryk.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy,
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj, Lindsayu! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiet, celem pośmiewiska,
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz, Lindsayu?

Lindsay.

Powinieneś się zemścić srogo! — to tak właśnie,
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiej.

*) Cz. Klajdu.

Henryk.

Nim słońce zagaśnie,
Lindsayu, dziś pomożesz zastawić mi sieci.
Wiesz, kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!
Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświeci.
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

Lindsay.

Najchętniej w twe zamiary wchodzę,
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

Henryk.

Ja cię za to sowicie nagrodzę.
Będziesz w jego zwierzyńcu płoche sarny gonił.

SCENA VIII.

Henryk, Nick, Morton, Lindsay, Duglas.

Lindsay, do wchodzącego Duglasa.

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?
Odgłos o waszej zwadzie rozszedł się daleki,
Słyszałem . . .

Duglas.

Dobrześ słyszał, lecz gdy chcesz rozgłosić,
Pamiętaj, że dzwon może zamilknąć na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

Lindsay.

Słuchaj! złącz się z nami,
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

Duglas.

Któż cudzej dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was! ja pragnę, Rizzio niechaj żyje!
Jutro go oddam waszej zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję,

Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się, że boju nie zechcesz, Mortonie?
Lindsayu! jam nie jeleń, co w borach popasa?
Henryku! pomnieć zechcesz, że w twojej koronie
Słabszy daleko kruszec niż w mieczu Duglasa.
Na jutro złóżcie zemstę — kto pójdzie inaczej,
Jest wrogiem moim.

Odchodzi.

SCENA IX.

Henryk, Nick, Morton, Lindsay.

Lindsay.

Cóż to? oszalał z rozpaczy?

Morton.

Królu! czyliż cię groźba Duglasa zachwieje?

Henryk.

Nie — lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.
Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje,
Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
Rycerze! niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
Trzymamy w ręku życie nieszczęsnej ofiary.
A ty, mały trefnisiu, śpiesz do astrologa,
Niech powie, jaki skutek odniosą zamiary.

AKT II.

SCENA I.

Teatr wystawia mieszkanie astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami; teleskopy w oknach obrócone na niebo.

Astrolog, sam.

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia!
Myśleć, zgłębiać, i potem wszystkiemu nie wierzyć;
Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć,
Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia?
Przeznaczenie!... szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
Ty, coś ręce zakrwawił, podnieś czoło blade!

Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem,
Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę,
W kolebce byłeś takim jak dzisiaj zbrodniarzem,
Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!
Ty, co posiadłeś cnoty, umierasz nędzarzem,
Przestań się dręczyć — cnota twoja nie jest cnotą.
O! gdybyś w późnej chwili, na smiertelnem łożu,
Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi.
Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
Szedłeś samotny nędzarz... Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

Astrolog, Nick.

Nick.

Jak się masz, ojcze?..

Astrolog.

Ojcze!... skąd to pokrewieństwo?

Nick.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

Astrolog.

O nędzny! nie znasz nauk i badań potęgi!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą.

Nick.

Więc mi pokaż kres dalszy — Ojcze! proszę ciebie.

Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.

Cha! cha! cha!

Astrolog.

Cóż widziałeś?

Nick, śmiejąc się.

Niebo!

Astrolog.

A na niebie?

Nick, spokojnie.

Nic!...

Astrolog.

Zasiane jest ono światy rozlicznemi.

NICK patrzy drugim końcem teleskopu zmniejszającym przedmioty

Widziałem...

Astrolog.

Cóż widziałeś?

Nick.

Ziemię!

Astrolog.

A na ziemi?

Nick.

Nic...

Astrolog.

Mnie musiałeś widzieć?

Nick.

Byłeś oddalony...
Byłeś mały jak proszek, mądry astronomie.
Nie patrz na niebo, zniknięsz w tych światów ogromie
Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtej strony,
Jak małą ci się wyda! Nauki! i sława!...
Tem lepszy jest teleskop, im bardziej oddala.
Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
A mędrzec króla...

Astrolog.

Błaznom rozprawiać dozwala.
Lecz z czemże tu przyszedłeś?

Nick.

Pyta mąż królowej
Jaki los czeka Rizzia?... Nie łam sobie głowy,
Przy mojej się pomocy rzecz łatwo wysłowi,
Powiadam ci, że zginie — ty powiesz królowi,
Że zginie...

Astrolog.

Precz mi z oczu! nie żądam pomocy.
Nieś to pismo królowi, w niem jest tajemnica;
Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem tej nocy:
Wszystkie pobladły, srebrne zachmurzyły lica.
Precz mi z oczu.

Nick.

Lecz powiedz jeszcze, co mnie czeka?

Astrolog.

Śmierć prędka...

Nick.

A po śmierci?

Astrolog.

Nie wiem...

Nick.

Do widzenia,
Równośmy mądrzy...

Odchodzi.

Astrolog.

Podłe jestestwo człowieka,
Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

Astrolog, Paź.

Paź.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawię się, mądry mistrzu.

Astrolog.

Słuchaj, paziu młody!
Czy ty kochasz królowę?

Paź.

Skądże to pytanie?
Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?

Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jej czoła?
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonej koronie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!

Astrolog.

Paziu! nim chwila przeminie,
Masz stanąć u królowej i donieść jej skrycie,
Że człowiek milszy dla niej nad tron i nad życie
Zginie dzisiaj.

Paź.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

Astrolog, z zadziwieniem.

Botwel? innego miałem w przestrodze na celu?
Paziu! ja nie myślałem wcale o Botwelu?

Paź, z rozpaczą.

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem,
Nie wierz mi! ona tego sobie nie wyznała,
I mnie się nie zwierzyła — z rumieńca odgadłem.
Jam zbłądził... Nie, Botwela nigdy nie kochała.
Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,
Zatrzymaj wszystko w sobie, czcij honor królowej!
Nie dziw się, całą duszą słuchałem twej mowy,
Cóż dziwnego, że słowo wyrwało się z duszy?
O nieszczęśliwy paziu! Z serca mi wyrwałeś
Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!

Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.

Weź tę sprzączkę — zapomnij!... Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
A ty byś nie zapomniał?

Astrolog.

Chodź tu, moje dziecię.
Czy myślisz, że nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie,
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam, żeś dawał,
Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?
Patrz na komnatę, oto są królowej dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
Kiedyś wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
Patrz na te czarnym płynem nalane puhary,
W nich złoto rodzą mojej sztuki tajemnice;
Takiego kruszcu z Peru Hiszpania dostaje.
Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

Paź.

Lecz któż ma zginąć?

Astrolog.

Rizzio! Rizzio, w jego serce
Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
Jutro płakać będziecie; silni są morderce,
Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

Paź.

Ojcze, więc śpieszę.

Wybiega.

SCENA IV.

Astrolog sam, bierze jeden z puharów.

Tutaj są moje nadzieje.
Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę,
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?

Patrzy w puhar.

Nie, jeszcze niema — dzisiaj wcześnie, jutro może?
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co? na co sława?
Pierwszeństwo wynalazku — wytrwałość jest cnotą,
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem, miałżebym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! skądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela? dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa, Saturna znamiona,
To znaczy... Otóż Botwel, zdziwi się gwiazd mową.

SCENA V.

Astrolog, Botwel.

Botwel, zamyślony.

Czemuż wszedłem w te drogi? muszę być szalony?
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony,
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemna, cicha;
Śmierć we mnie uśmiech budzi; zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech?... I czegoż żądałem!
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? przepaść mi odkryje;
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzucę.
Zgłębić przyszłość! niech tylko obecność przeżyję!
I czegoż tu przyszedłem? tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się, zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

Astrolog.

Gwiazdami pisane
Zgłębiłem tajemnice.

Botwel.

Powiedz mi więc szczerze,
Czy wierzysz w twe wyroki?

Astrolog.

Wierzę, jak w śmierć wierzę.

Botwel.

Nigdy nie mylą?

Astrolog.

Nigdy.

Botwel.

Marność nauk świata!
Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.
Czy długo ja żyć będę?

Astrolog.

Trzy lata.

Botwel, ze wzgardą.

Trzy lata?
Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.
Trzy dni dla mnie za wiele — trzy lata? daremnie.
Widzisz mnie, astrologu, na wybladłej twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mię zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny umrzeć muszę.

Pokazuje truciznę w kryształowem naczyniu.

Patrz — oto jest trucizna, a przeszkody — żadne;
Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę?
Cóż, jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?
Od długich bolów krótkim uwolnię się bólem.
Umieram...

Astrolog,
bierze go za rękę i prowadzi do stołu, gdzie leżą horoskopy.

Nie, żyć będziesz trzy lata, Botwelu.
Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem...

Botwel.

Królem?
Co mówisz? będę królem? do takiego celu
Dążyć z nad brzegu grobu? miałem zasnąć w grobie.
Będę królem... Kląć ciebie? czy dziękować tobie?
Nie wiem... powiedz mi, starcze, powiedz, czy na tronie
Spokojniej jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie.
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I pocóż? poco ścigać tak znikomą marę?
Wypiję tę truciznę... nie, rozbiję czarę —
Ale poco rozbijać — może mi się przyda?
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem...
Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem?
Wygrałeś, astrologu! żyć będę!...

Astrolog.

Wygrałem.

Botwel.

Idę do celu.. nie chcę umierać przed czasem.
Prowadź mnie astrologu, w wysokie komnaty
I pokaż mi władnące moim losem światy...

Wychodzą.

SCENA VI.

Pokój królowej, w głębi okno gotyckie.

Marya, Faż.

Paż.

Zaraz przybędzie Rizzio.

Marya.

Czemuż nie przybywa?
On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu
I wkrótce zginie.

Paż.

Pani — tyś niesprawiedliwa,
Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu,
Paż nie śmie się przypomnieć, może nie ma prawa.

Marya.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
Wachlarz na miecz zamienisz, powoła cię sława.
Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?
Botwel... lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
Ty płaczesz? paziu! paziu!

Paż.

Dziecinne łzy ronię,
Darуj mi — ja myślałem, że w twojej obronie,
Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
Teraz pierwszy raz czuję, że nastąpić może,
Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
Lecz, wszak Botwel rycerzem? przecież jest na dworze,
I mógłby jeszcze bliżej, bliżej być królowej.

Marya, zamyślona, jak echo.

Botwel... tak... mógłby bliżej, bliżej być królowej.

Faż.

Był jednak blizko wczora, kiedy w dworzan kole
Towarzyszył ci, pani, na królewskie łowy;
Tajemniczy miał smutek wyryty na czole.
Potem, gdy cały orszak siadł na strojne łodzie.
Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
Patrzał w głębinie wody, jak gdyby w tej wodzie

Widział jakie straszliwe, dręczące widziadła;
I coraz się nachylał, drżałem, nigdy w świecie
Takiej myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
I pojąć jej nie mogę — dotąd mi się marzy
Jak sen jaki okropny.

Marya.

O! niewinne dziecię!
Ja łatwo ją pojmuję... dzika myśl szaleńca.

Paź.

Królowo! wiatr, co sprzyjał tej wodnej podróży,
Silniej w żaglach zaszumiał, i z twojego wieńca
Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął,
Zbudził się Botwel, zadrżał i na sługi skinął,
Łódź mu podano... usiadł samotny do łodzi
I ścigał kwiat zerwany... śledziłem go długo,
Aż zniknął we mgle.

Marya, niecierpliwie.

Odejdź! odejź, wierny sługo!
Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi...
Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

Paź odchodzi.

SCENA VII.

Marya, sama.

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy,
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.
Długo ją usypiałam, już uśpić nie mogę,
Będę widzieć Botwela... oddalę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie...
Co?... ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia. . O bojaźń dziecinna!

Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie,
Ludzie są u stóp moich, nade mną Bóg w niebie.
Wczoraj tak było... Dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mnie sądzić może.
Ciężko mi w tej koronie... francuska korona
Z lekszego była kruszcu... na chwilę ją złożę...

Zdejmuje koronę.

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstręczał wielu.
Teraz wolna... Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

Zdejmuje pierścień.

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony, i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twej posępnej twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia.
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole,
Niech tę chmurę rozprószy uśmiech szczery, tkliwy;
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

Marya, Rizzio.

Rizzio.

Wezwałaś mię, królowo?

Marya.

Bojaźnią dręczona.
Przyzwałam ciebie, Rizzio, w te skryte komnaty.
Jesteś w niebezpieczeństwie, bo rzucone kwiaty
W roli Duglasa, śmierci wydały nasiona.
Posłuchaj więc cierpliwie, mój błędny rycerzu,
Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga

Łatwo znaleść obronę w mieczu i w pancerzu,
Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.
Wierzaj mi, źle, kto wrogom ukrytym zawierza,
Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.
Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,
Okręt gotowy... żaglów rozpięte zasłony.
Bądź zdrów!

Rizzio.

Królowo moja! powtórz te rozkazy!
O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani
Nie posłucham... choć ściągnę twój gniew, twe urazy
Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? pani!
Maryo! o! ja zostanę — przysięgam, zostanę!
Postanowienia żadna nie naruszy siła!
Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane,
Żeby choć głos był zadrżał, gdyś ją wymówiła...
Maryo! posłuchaj!...

Marya.

Rizzio, chciej mówić z królową
Rozmawiałeś z kim innym.

Rizzio.

I gdzież twa korona?
Nie widzę jej na czole... kwiatem uwieńczona
Jesteś mi równa... śmielszą przemówiłem mową.
Daruj mi! ja myślałem!... myślałem szalony!
Że ją umyślnie zdjęłaś dla mnie...

Marya.

Źleś osądził.
Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony,
I teraz się modliłam.

Rizzio.

Przebacz mi, jam zbłądził.
Lecz nie kładź jej na czoło... czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żałobą.

Marya.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —
Ciszej, kładąc koronę.
Z sobą.

Rizzio.

Śmiałość mi odebrała... więc dobrze... odjadę.
Staje w gotyckiem oknie i z udaną obojętnością mówi.
Dziś dzień taki pogodny... dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade,
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.
Obacz, proszę, królowo, jak cicho na dworze.
Kwiaty w twoim ogrodzie odświeżone kwitną,
Tam góry Szkocyi barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia; jak tam szumi morze!
Białą mgłą osłonione chwieją się okręty...

Marya.

Rizzio! czemu tak zbladłeś?...

Rizzio, odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.

Tam żagiel rozpięty...
Patrzeć nie mogę...

Marya.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

Rizzio.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie!
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby.
Wkrótce ten zamek w mgły się roztopi błękicie,
Będę stał na pokładzie... a morze pode mną.
Ha! kto wie, gdzie zapłynę? w tłum świata się rzucę.
Zapomnienie już szatą okrywa mnie ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! wszak nigdy nie wrócę?
Już mnie boleść głęboka strawiła i zmogła.
Pocóż mam wracać? poco? łzy westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mnie mogła!

I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć!...
Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

Marya, wzruszona.

Rizzio!

Rizzio.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
Z dźwiękiem mowy głos duszy twojej się wyrywa.

Marya, zimno.

Rizzio, chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
Proś ode mnie Papieża, niech zamknięty w złoto
Przyśle mi chleb ze stołu Pańskiego.

Rizzio, z oburzeniem.

Pobożna!
Gardzić, poniżać serce, zabijać jest cnotą,
Potem można się modlić? wszystko zgładzić można.
Żegnam cię...

Marya.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!
Bądź zdrów! Marya ci wiecznie pamięci dochowa.

Rizzio.

Mamże odjechać?

Marya.

Cóż to znaczy?

Rizzio.

Przebacz, pani!
Ale twój głos był tkliwszym, smutniejszym niż słowa,
Pozwól mi dziś pozostać... jutro się oddalę.

Marya, z ironią.

Zostań! zostań! dziś możesz pozostać bez grzechu,
Dziś bal na dworze, maski napełnią te sale,
Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu;
Przyjdź więc... tam nowe z nami będzie pożegnanie,
Przyjmiesz je, choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowej.

Rizzio.

Pani! żegnam na wieki!

Odchodzi.

Marya.

Raniłam go słowy,
Lęka się mego śmiechu, dłużej nie zostanie.
Jedno słowo od pewnej śmierci go wybawia,
Zawsze gorzkie lekarstwo, dobre skutki sprawia.

AKT III.

SCENA I.

Ogród. — Noc. — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę św. Krzyża. Okna pałacu oświecone wewnątrz. Księżyc świeci.

Botwel, sam.

Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu,
On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
Nie żyć, albo być królem — dotąd jużbym nie żył!
Czyliż się na krok jeden zbliżyłem do tronu?
Jestem, czem byłem — marnym łudzę się pozorem,
Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem,
Dziś wcześnie — jutro będziesz na tronie, Botwelu.
Gwiazdo, z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo mej drodze przyświeca.
Może krew na tej drodze, świeć — krwi się nie boję.
Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
I kiedyż się w niej będą modlić za mnie? może
Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
Tłum zalotników pełen nadziei, zapału,
Ja — jak nędzarz u progu... okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu,

Tak — to ona — królowa! poznałem koronę...
Bliżej! bliżej — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
Gdyby mnie jaki człowiek obaczył w tym stanie,
Rzekłby z gorzką litością: Botwelu! tyś chory!
Idź do szpitala! słuchaj! ty jesteś szalony!

SCENA II.

Botwel, Paź.

Paź.

Szukam ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
A ty w murach zamkowych, w królowej ogrodzie?

Botwel.

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie!

Paź.

O! prawda, jak tu miło! w tym lesie topoli
Kwiaty milszą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta,
Chcesz ją widzieć?

Botwel.

Co mówisz! królowa zezwoli?

Paź.

Zezwoliła!

Botwel.

Widzieć ją! kiedy?

Paź.

Za godzinę.

Botwel.

Sama ci to mówiła?

Paź.

Spełniam jej rozkazy.

Botwe..

O gwiazdo! świeć mi, gwiazdo! na morze wypłynę,
Niech łódź moją strzaskają wodokryte głazy,
Nie dbam o nic, zaczęły sprawdzać się wyroki.

Paź.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki,
Strwożyć możesz królową tych nieszczęść widziadłem,
A cień twojego czoła na jej czoło spadnie.

Botwel, z ironią.

Co? rozpogodzić czoło, paziu? to tak snadnie.
Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem,
To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorzki twarzy
Nie jest owocem cierpień! igraszka dziecinna.
Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna,
Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy,
O! paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy?
Tak jak na pergaminie zaloty pisane
Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
Bywaj zdrów!

Odchodzi.

Paź.

Jak gorzkiemi przeraził mię słowy;
Śpieszę teraz do Rizzia z rozkazem królowej.

Wybiega.

SCENA III.

Henryk, Morton i Lindsay. Wchodzą śpiesznie.

Henryk.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

Morton.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi
I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.

Trzeba śpieszyć — nie wiemy, jakie ma zamiary?
Pod liliami Francyi bezpiecznie odpłynie.

Henryk.

Co! miałżeby uniknąć zasłużonej kary?
Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

Lindsay.

Śpieszmy więc!

Henryk.

Czekaj! czekaj! niech dobrze rozważę.
Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?
Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły
Będzie wskazywał palcem... Jaka myśl straszliwa!
Będzie wskazywał, będzie urągał mej twarzy,
Jeżeli twarz pobledniе. Kto wie, co się zdarzy?
Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
Jego trup zakopany — tu, blizko królowej,
Więcej mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
Skoro się stąd oddali.

Lindsay.

Panie! skończmy łowy:
Już prawie wpół dognany ów jeleń pierzchliwy.

Henryk.

Nie, nie, niechaj odjeżdża.

Morton.

Tak, niech z Bogiem płynie,
Niech po krajach rozszerza twoją sławę, panie,
Jeszcześ nie był dość znany francuskiej krainie.
Harfiarz na dobrowolne skazany wygnanie
Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
On trzyma serce Maryi, trzyma rządu szalę,
A Henryk!

Henryk.

Co chcesz mówić?

Morton.

Że Henryk w tym kraju
Jest królem.

Henryk.

Jestem królem! czy słyszysz, Lindsayu?
Co on śmie mówić?

Morton.

Lindsay tym słowom zawierza.
Napiwszy się dowoli płochych kadzideł dymu,
Uda się może Rizzio do dworu Papieża;
Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,
I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.
Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnley powie,
Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

Henryk.

Przestań! już idę!...

Chcą wychodzić, w progu spotykają Duglasa.

SCENA IV.

Henryk, Morton, Lindsay, Duglas.

Duglas.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

Henryk.

Nieba! więc moja zemsta spełnić się nie może?
Jużbym się był nie wahał!... Pójdę ponad morze,
Każę okręt zatrzymać.

Duglas.

Już żagle rozwinął.
Jam winien! teraz na mnie mścijcie się, rycerze,
Oto piersi odkryte i miecz obnażony;

Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
Że ludziom już nie wierzę, i sobie nie wierzę.
Sam chciałem przeciąć żywot tak podłej osnowy,
Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowej,
Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
Życie Włocha zostało na mojem sumieniu;
Myślałem, że ten harfiarz wierny przyrzeczeniu
Jutro jak rycerz bronią ze mną się rozprawi.
Ufajcie teraz ludziom? znoszę brzemię sromu,
Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział;
Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
Przynajmniej uciekając, gdyby był powiedział,
Że nie waszych sztyletów, mojej zląkł się broni,
Możebym żyć mógł jeszcze.

SCENA V.

Henryk, Morton, Lindsay, Duglas, Paź.

Duglas, chwyta za piersi wbiegającego Pazia.

Paziu! paź ten zginie!
Ja go zabiję... Pazia tak kocha królowa
Jak Rizzia.

Postrzegając pismo w rękach pazia, wyrywa je.

Cóż to znaczy? na tym pergaminie
Widzę jakieś skreślone niewyraźnie słowa,
Czytajcie...

Paź.

List — królowej oddać mi kazano,
Nie czytajcie! nie macie prawa!

Lindsay, biorąc z rąk Duglasa pismo.

Prawem siła.

Czyta.

„Dzięki tobie, królowo, żeś mi pozwoliła
Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj" podpisano:
Rizzio.

Duglas.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

Lindsay.

W klasztorze
Czytać mię nauczono, pojąłem nauki.

Henryk.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?
To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?
Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.
Lindsayu, zamknij pazia do mojej komnaty,
Żeby nie zdradził, żeby nie mógł nam przeszkadzać.

Paź.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać.
Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czole,
Daj mi miecz równej miary, jak miecz przy twym boku,
A czarną zdradę we krwi obmyję potoku.

Lindsay.

Paziu mój, jesteś dziecko!... O! młody sokole,
Ty jeszcze pierwsze pióra utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

Paź.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

Lindsay wyprowadza pazia.

Duglas

Więc Rizzio zginąć musi!

Henryk.

Kiedy?

Duglas.

Dzisiaj zginie!

Henryk.

Gdzie?

Duglas.

Ty się wahasz jeszcze? gdzie? w tronowej sali,
U nóg królowej — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojej stali.

Henryk.

Lecz w obliczu królowej spełnić czyn tak krwawy,
To mnie od niej na wieki! na wieki oddzieli!

Duglas.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy,
Wzgarda nie ośmieliła, nic cię nie ośmieli.
Idź pełzać przed królową w udanej pokorze,
Lecz wiedz — kobieta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

Henryk.

Gardzić? nigdy w świecie!
Dziś będę śmiałym... dzisiaj męstwa dam dowody,
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,
Potem potajemnemi wprowadzę was wschody.

Odchodzi z Duglasem.

Morton.

Poszli — nie pójdę z niemi. Marya się nie dowie,
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zmowie.

Odchodzi w stronę przeciwną.

SCENA VI.

Pokój Maryi, jak w scenie VI. aktu II.

Marya, sama, siedzi nad krosnami.

Sama jestem. Gdzież paź mój? dotąd nie powraca.
Czemże czas sobie skrócę? tak pomału płynie!
Najmilsza ta godzina, gdy mię zajmie praca,
Kiedy się kwiat na płótnie pod igłą rozwinie,

Gdy jak wiejska dziewica siądę za krosnami.
Lecz jak mało tych godzin, wiecznie! wiecznie w tłumie
Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
Uśmiech nie jest uśmiechem, nikt mnie nie rozumie.
Gdybym tak oświecona blaskami klejnotów
Zeszła do nizkiej chaty, gdzie lud mój przebywa,
I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
Jest szczęśliwa? odpowie: musi być szczęśliwa!
Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
Widziałem oświecone okna jej komnaty;
A ja nędzny do grobu skazany na pracę,
Mchem i zielem porasta strzecha mojej chaty,
W pocie czoła uprawiam te skaliste góry;
Widziałem groby królów, na grobach marmury,
A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa.
Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa.

SCENA VII.

Marya, Rizzio.

Rizzio.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię, królowo!
U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę,
Każdą chwilę bym życia okupił połową.
Maryo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
O pani! Maryo moja! tak się szczęściem łudzę,
Jak gdyby wieczór szczęścia miał trwać długie wieki.
O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

Marya.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

Rizzio.

Królowo! co ja powiem, niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutra, do rana,

Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie,
Że się z nim widzieć będę, dotrzymałbym słowa.

Marya.

Rizzio... to być nie może?

Rizzio.

Zamiaru nie zmienię.
Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły,
O mojem oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem.
Zda mi się, że już płynę na łonie gondoły
Czarnym wybitej kirem, jak na łonie trumny;
Okna pałaców długim świecą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem;
A nade mną, daleko, na błękicie ciemnym
Posępnem światłem księżyc roztacza się złoty,
I w duszy czuję dzikie uczucie tęsknoty;
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym
Potrzeba takich cierpień, niech się karmi łzami.

Marya.

O! Rizzio, serce twoje nie wesoło marzy,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

Rizzio.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojej twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie, prędko, prędko skona!
Można za szkłami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona.
Ale poco się smucę? wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś! wrócę! czemużbym nie wrócił!
Czemu?... Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił,
Może nigdy nie wrócić... Nie, to niepodobna,
Ja będę kiedyś w Szkocyi, w tych samych komnatach,

Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,
Zabrzmi znów wesołością, rozjaśnią się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach.

Marya.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie;
Szemrać będą dworzanie.

Rizzio, z wzrastającą wesołością.

Szmer zgłuszą oklaski,
Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta: „znasz mnie?“ każdy mu odpowie:
„Nie znam cię, masko,“ ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten, kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy!...

Słychać szczęk broni.

Marya.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

Rizzio.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutnem jękła brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie,
Ty mnie jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

Marya, z niespokojnością.

Lecz gdzież się paź mój bawi?

Rizzio.

Pani, rozjaśń czoło!
Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.

Siada na małym stolku pazia, u stóp Maryi.

Siądę przy twoich stopach... Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć.

Marya.

O! co ci się marzy?
Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełnem nadziei.

Rizzio.

Nadziei? chciałem na twej wyczytać ją twarzy;
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei —
Nadziei tam nie było... Pani! nie chmurz lica,
Niech paź z twarzy królowej gniewu nie wyczyta,
Paź dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżyca...
Pani! piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
Daj mi róż kilka.

Marya.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

Rizzio.

We Włoszech, na ołtarzów święconym marmurze
Zawieszę ten dar drogi, nad złoto bogaty,
Pokazywać je będą, patrzcie! oto róże
Maryi Stuart Szkockiej, anioła w koronie.

Marya, dając mu kwiaty.

Nie odmówię twej prośbie, lecz zamiaru bronię,
Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

Henryk wchodzi tajemnemi wschodami i staje za krzesłem Maryi nieposrzeżony.

Rizzio.

Pani! jestem twym paziem — Paź ciebie zaklina,
Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
Ma jakąś woń czarowną, woń, co przypomina
To gór szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki
Przyniesie zapach róży, co ciebie otacza,

Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
Marzyć będę...

Marya, z uśmiechem.

Królowa paziowi przebacza;
Rizzio nie śmiałby do niej użyć takiej mowy.
Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
Dobrze, żeś nie zapragnął purpurowej szaty!
Dobrze, żeś na wachlarzu przestał.

Daje mu wachlarz.

Rizzio.

Dzięki tobie!

SCENA VIII.

Marya, Rizzio, Henryk, stojący zawsze za krzesłem Maryi, *Duglas, Lindsay.*

Duglas uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.

Właśnie dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty,
Z kwiatami i wachlarzem teraz legnie w grobie.

Rizzio.

Królowo!...

Marya, powstając.

Stój, Duglasie! skądże ta odwaga?
Ty w komnacie królowej! czy gardzisz królową?
Stój! stój! Duglasie, odejdź! królowa cię błaga.
Nie!... mogę rozkazywać... precz! odpowiesz głową!
Rizzio! chodź do mnie.

Duglas.

Próżno wołasz go do siebie,
Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.

Do Rizzia.

Módl się! za chwilę będziesz lub w piekle, lub w niebie.

Marya.

Duglasie! precz stąd! precz stąd! splamisz stopnie tronu.
Pomyśl! próżno mnie będziesz błagał przy skonaniu,
Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłonią;
W obliczu ludu zelży kat na rusztowaniu.

Duglas.

Próżno grozisz, królowo! wiesz, że władam bronią.
Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,
Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wasali.
Mam się lękać kobiety? Poco wszczynać boje?
Na tym samym okręcie, na którym miał płynąć,
Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję,
Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinąć,
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty,
Podłego Włocha dobrze wyuczę się roli;
Wnet mię zgraja francuskich trefnisiów okoli,
Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;
Będę pierwszym przy ucztą zastawionym stole,
Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę...
Chyba mnie zdradzi kropla krwi na mojem czole,
Lub te szaty splamione, pióra połamane.
Giń, Włochu!... Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Odrzuca sztylet.

Marya.

O Boże!
Duglasie! ach Duglasie! — nie, nie mogę wierzyć,
Żebyś ty go śmiał zabić.

Duglas.

Przekonam cię może,
Duglas, słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

Marya.

Duglasie! nieszczęśliwa zniżę się do prośby...
Nigdy krwi nie widziałam!... widok mi nieznany
Oddal — oddal ode mnie te krwawe obrazy!

Duglas.

Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,
Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
Chciałbym, żeby jęk Rizzia echem powtarzany
Zabrzmiał, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy,
Niechaj krew jego wsiąknie głęboko w te głazy,
Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.

Rizzio.

Maryo! och! Maryo!... Boże, zmiłuj się nade mną.
Och! och! och!...

Kona.

Marya.

Rizzio!... Boże! zmiłuj się nade mną
Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
O! gdyby tu był Henryk!... Tak cicho jak w grobie,
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

Henryk, nachylając się, cicho.

Jestem tu, przy tobie

Marya, odwracając się zwolna.

Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!

Pada na poręcz krzesła.

Henryk.

Omdlała.
Wynieście jego zwłoki.

Duglas, ponuro.

Przyszedłem zabijać,
Lecz nie wynosić zwłoki — wołajcie grabarzy.

Lindsay wyciąga trupa z sali i wraca.

Henryk, do Duglasa.

Duglasie! straszna teraz bladość twojej twarzy.
Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?
Miałeś wdziać jego szaty?

Duglas.

Krwią czarną skalane?

Henryk.

Ciebie dręczy zabójstwo?

Duglas, zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.

Henryku! a ciebie?...
Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane,
Ty zabiłeś człowieka! i wejdź teraz w siebie?...
Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?
A jesteś tak spokojny! patrz, jaka różnica,
Ja pomściłem się czarnej na honorze skazy,
A jestem tak wzburzony! rozpogódź więc lica...
My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,
Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,
Życzę, aby na niebie powstająca zorza
Ujrzała twarz Darnleja jak dzisiaj rumianą.
Królowo! przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni.

Odchodzi.

Lindsay.

Ci rycerze — imienia rycerzów niegodni.

Henryk.

Słuchaj! Królowa wkrótce otworzy powieki,
Uciekajmy z tej sali.

Lindsay.

Chodź! jedźmy na łowy...

Henryk.

Lindsayu! ty znasz może uczucia królowej?
Będzie mnie nienawidzić?

Lindsay.

Zbądź niewczesnej trwogi,
Chodź! chodź! królu! chodź ze mną, słyszę czyjeś kroki!

Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.

SCENA IX.

Marya omdlona. *Botwel.*

Botwel.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Skąd ta krew? poraz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska...
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze? sztylety! — któż skonał?
Może król!...

Marya.

Och!...

Botwel.

Królowa budzi się.

Marya z pomieszaniem.

Duglasie!
Ach miej litość!... gdzież jestem? Boże, jak tu ciemno.
Za późnom się zbudziła! tak jest! już po czasie...
Jestem przy tobie... Boże, zmiłuj się nade mną!...
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie — zabijał.

Botwel, z zadziwieniem.

Henryk zabijał?...

Marya.

Może krew plami te szaty?
Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łzo natrętna... Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — drżyjcie! czyż krew płacić łzami?
Krew za krew — drżyjcie! zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.

Botwel.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

Marya.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

Botwel.

O! nie, chyba własną...

Marya.

Tyżeś to w tej godzinie? słuchaj! w jakim celu
O! niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię, Botwelu!
Nic jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

Botwel.

O Maryo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiedz! zabójstwa? otrucia?

Marya.

Nie, nic nie żądam — chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, — gdym serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze!... Boże! cóżem wymówiła!

Wyrywa się z rąk Botwela i ucieka.

SCENA X.

Botwel, sam.

On żyje jeszcze?... W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty w niej ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza.
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jej odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

AKT IV.

SCENA I.

Pokoje królowej.

Marya, Botwel.

Marya.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza
Usypia wszystkie troski i uśmierza bole;
Czas, cierpliwość najsroższe rany ułagadza.
Wszystko znieść można.

Botwel.

Wszystko?

Marya.

Troski i niedolę...

Botwel.

I wzgardę?

Marya.

Dosyć! dosyć zniosłam na kobietę!
Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawionem.

Botwel.

O Maryo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem.
Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
Już zeń zdjęto szkarłaty, zasłano całuny;
Obejrzyj się, na tronie niedostaje truny.
Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki skona,
Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
Przykryją szkarłatami, na mary położą;
Dziwnie od martwej twarzy odbija korona;
Przeraża ludzi wstrętem ta postać woskowa,
Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie;
Nie obrażaj się, Maryo, lecz Szkotów królowa
Podobna do tej maski lężącej na grobie.

Marya.

Cóż uczynię?

Botwel.

Ha! módl się! przebaczaj!

Marya.

Przebaczyć!
Komu przebaczyć?

Botwel.

Wszystkim.

Marya.

Chciej mi wytłómaczyć!

Botwel się żegna.

Czego się żegnasz?

Botwel.

Pani! odmawiam pacierze,
Słyszę dzwon po umarłym.

Marya.

Co? dzwon, po kim dzwony?

Botwel.

Po śmierci Rizzia.

Marya.

Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony,
Szatan budzi mię ze snu.

Botwel, patrząc przez okno.

Patrz, pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi,
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala;
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi,
Ale ten najwierniejszy, który w trumnie zaśnie.
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną,
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;

Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą,
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą.
Śpij, Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie.

Marya.

Słuchaj! słuchaj! kobieta na cóż się ośmieli?
Patrz, Botwelu! ten obraz wiszący na ścianie,
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka
Ściga za mną oczyma... Nie zniosę tej twarzy!
Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika.
O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy,
Na obraz szatan przeniósł myśl moją, sumienie,
I serce moje dręczy boleścią okrutną.

Botwel.

Cha! cha! więc ci niemiłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić.

Marya.

Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
Ja go mam w sercu.

Botwel.

Pani! spełnię twe rozkazy,
Czy będziesz spokojniejszą?

Marya, niecierpliwie.

Spełnisz moje chęci?
Co wyrzekłeś?

Botwel.

Tak, zniszczę ten obraz Darnleja.

Marya, z przytłumionem westchnieniem.

Obraz!

Botwel.

Tak chciałaś?

Marya.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
Chciałam zgonu obrazu.

Na stronie.

Zniknęła nadzieja!
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

Botwel.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać.

Marya, z rozpaczą.

Co mówisz? mój drogi!
Dla nieszczęśliwej cios to nazbyt! nazbyt srogi!
Nie wytrzymam!

Botwel.

O pani! mam zostać przy tobie?
Każesz mi zostać? jesteś królową, masz władzę.
Dziś więc grób mój przy Rizzia każę kopać grobie,
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze.

Marya.

Ty mi serce rozdzierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

Botwel.

Nad Duglasem mścić się! to daremnie,
Duglas z Lindsayem oba uszli w obce kraje.

Marya.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu! miej litość!
Chciej mnie zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiem, że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie.
Powinien zginąć!

Botwel.

Kto?

Marya, długo pasując się z sobą.

On!

Botwel.

Kto?

Marya.

Król!

Botwel.

Zginie!

Marya.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa,
Ja chciałabym, ażeby bez echa skonały.
Lecz tak, już przeważyłam jednę stronę szali,
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały,
Dalej! dalej iść trzeba, idę dalej! dalej!
Nie wiem, gdzie zajdę? Słuchaj! jesteś taki blady,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

Botwel.

Królowo! ja zbladłem?
To może dawnych cierpień pozostały ślady.

Marya.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie zwierciadłem,
W którym czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem!
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie;
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu!

Botwel.

Królowo! on dziś zginie.

Marya, z przerażeniem.

Dziś? to nadto wcześnie!

Botwel.

Gdzie Henryk?

Marya.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.
Mówią, że chory.

Botwel.

Chory?... Chory umrzeć może.
Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddalę podejrzenie, chorobą się złożę.
Lecz dopomódz mi trzeba. Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora,
Dasz mu w lekarstwie napój, co go uśpi w nocy.

Marya.

O! to, czego ty żądasz, nie jest w mojej mocy:
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś nie mogę!

Botwel.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, trwogę,
Bez tego spać nie będzie, uchroni się zgonu.

Marya.

Daj więc! daj mi ten napój — zejdę z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występnym.

Botwel wyjmuje truciznę, którą pokazywał u astrologa.

Pani!
Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani,
Sen dla chorego w bolach wielką jest przysługą.

Marya.

Więc Henryk gdy wypije?

Botwel.

Zaśnie...

Marya.

Na jak długo?

Botwel.

Nie wiem...

Odwracając się.

Skoro napoju użyje królowa,
Mój sztylet niepotrzebny.

Do Maryi.

Królowo! bądź zdrowa!

Odchodzi.

Marya, sama.

Uważałam go pilnie, przez rysy oblicza
Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.
Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza;
Blady był? wszak on zawsze posępny i blady.
Nie, to nie jest trucizna; i któż się nie wzruszy,
Powierzając kochance narzędzie otrucia?
Chybaby nie miał w sercu żadnej iskry czucia?
Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

Odchodzi.

SCENA II.

Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkanie Henryka.

Henryk, Nick.

Henryk.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara boża,
Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi,
Zgryzoty przy wezgłowiach stoją mego łoża.

Nick.

O! nie, przypatrz się, królu, tylko błazen stoi.

Henryk.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.
Oświecam widma bladą umysłu pochodnią,
Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią,
Ich ciężar głowę moję do grobu nachyli;
Przeważa mię korona.

Nick.

I ja równie błądzę.
Oto czapka w królewskich pokojach wytarta,
Dotąd na niej zdobyte wieszałem pieniądze;
Wkrótce czapka od błazna będzie więcej warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie,
Dość rozumu i głupstwa.

Henryk.

Paziu! w twojej mowie
Więcej widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.
Ale gdy mnie widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy.
Jak ich nie widzieć, Nicku?

Nick.

Panie! zamknij oczy...

Henryk.

One nie przed oczyma — one w mojej duszy!
Widzę je, tak jak ciebie; jak me własne cienie
Ścigają za mną.

Nick.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą... Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą...

Henryk.

To nie w mojej mocy!
Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świecę?

Wpatrując się w głąb pokoju.

Patrz! tam stoi, w posępnej ubrany żałobie,
Jak gdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący, krwawy, blady, woła mnie ku sobie...
Wszak mu sztylety cialo rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu świeży, jak z kołyski dziecię.

Nick.

O panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?
Dziwię się, że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie, królu, podobnym w tej chwili.

Henryk, nie słuchając słów Nicka.

Precz! precz, Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia.
Wszystko bym oddał, byle życie ci wrócili!
Nie obwiniaj mnie, odejdź, niech spokojny zasnę;
Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie;
Więc i tam spać nie można?... Życie oddam tobie,
Lecz wróć mi sen! nie wracaj! życie oddam własne.
Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty!

Śmieje się dziko z obłąkaniem.

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomiesza.

Nick.

Ten cień lepiej cię, królu, ode mnie rozśmiesza,
Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty
Z ust twoich nie wyrwały tak szczerego śmiechu.

Henryk.

Czego chcesz, Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?
Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?
Powiedz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!
Dam na mszę! powiedz tylko, ile mszy potrzeba?
Zakupię msze na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały;
Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,

Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spróchniały.
Ha! jeszcze słychać harfę!

Nick.

Uspokój się, panie!
To przywidzenie strachu... Królowa tu zmierza...

Henryk.

Królowa!... Jakież będzie nasze powitanie?
Zabije wzgardą, wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

Marya, Henryk, Nick.

Marya.

Henryku! ja sądziłam, że cię tu zastanę
Wśród zgrai twoich dworzan! tyś samotny, blady,
Powiedz, czyś ty nie chory? oczy obłąkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

Henryk, z rozpaczą.

O Maryo!

Marya, przerywając.

Uspokój się! tyś chory, mój luby!
Połóż się, zaśnij, widać bezsenność ci szkodzi.

Henryk.

O Maryo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

Marya, z udaną obojętnością.

Ja nie wiedziałem o tem, cóż mię to obchodzi?

Henryk.

Ty mi przebaczasz? powiedz!

Marya.

I cóż mam przebaczyć?

Henryk.

Śmierć jego.

Marya.

Czyja?

Henryk, z przymuszeniem.

Rizzia...

Marya.

Jużem zapomniała

Henryk.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłómaczyć,
Lecz ten Włoch nie wart, abyś o nim pamiętała.

Nick, do Henryka.

Włoch nie wart, abyś o nim pamiętał, Henryku.
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

Henryk, do Nicka.

Precz! precz, nędzny Nicku!

Do Maryi.

Przebaczyłaś mi, teraz już spokojny zasnę.

Marya.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni,
Przyniosłam senny napój, poznasz jego siłę.
Sen cię po nim skrzydłami lekkimi osłoni,
Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmięszam go do lekarstwa.

Henryk, do Maryi, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.

Dzięki ci, królowo!

Nick.

Zadrżała, przed mem okiem nic się nie ukryje.

Do Maryi cicho.

Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda.

Marya, spojrzała na Nicka i odwróciła się ze wzgardą.

O jakże trudna rola, lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzej! prędzej! wyrwać z tej komnaty.

Henryk.

O Maryo! czemu nosisz te żałobne szaty?

Marya.

Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

Nick, na stronie.

Więc na to szat potrzeba.

Henryk, z czułością do Maryi.

Ja cierpię tak mało,
Zwiększono wielkość cierpień, chciano cię przerazić...
Teraz z mojej słabości nic już nie zostało,
Skoroś mi przebaczyła.

Marya.

Bądź zdrów!

Henryk.

Jeszcze wcześnie!
Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczerze, nieraz dręczę się boleśnie,
Nieraz cię obraziłem, przebacz mi, królowo!

Klęka przed nią.

Przebiegnij wszystkie chwile, któreśmy przeżyli,
Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli?
Błagam cię! utrać pamięć tej nieszczęsnej chwili.

Marya, odwracając się z drżeniem.

Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnej pościeli.
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia;
Gdy jemu nie przebaczę, czy mi Bóg przebaczy?
Wstań, Henryku! o przebacz! przebacz mi wzajemnie.

Henryk.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go ode mnie?
Powiedz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

Marya.

Bądź zdrów — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

Henryk, z czułością.

Kiedyż się zobaczymy?

Marya, drżącym głosem.

Nie wiem — jutro może?

Henryk.

Ty mnie tak zimno żegnasz? czyliż świeże śluby
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

Marya, całuje go w czoło.

Bądź zdrów!...

Henryk, z przerażeniem.

Tak mnie zimnemi dotknęłaś ustami,
Dreszcz mię przebiegł.

Marya, z gorzkim uśmiechem.

Ty jesteś w gorączce, mój luby.

Odchodzi.

SCENA IV.

Henryk, Nick.

Henryk.

O Maryo! mój aniele! Boże, dzięki tobie!
Nawróciłeś jej serce, kocha mnie tak szczerze.

Nick.

Ty wierzysz temu, królu?

Henryk.

Tak jest, wierzę! wierzę!
Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz w grobie.
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy.
Czy widziałeś jej uśmiech? uśmiech szczery, tkliwy;
Z pogodnem czołem przy niej zasiędę na tronie.
Ciesz się! ciesz się, Duglasie! zyskam przebaczenie,
Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
Ciesz się, mój wierny Nicku! zgasiłem sumienie,
Już nie o bladych widmach, lecz o szczęściu marzę;
Ciebie, Nicku, darami sowicie obdarzę,
Czapkę złotem napełnię, sprawię ubiór nowy.

Nick.

Spraw mi żałobę.

Henryk.

Po kim masz chodzić w żałobie?

Nick.

Spełń ten puhar, w nim znajdziesz lekarstwo królowej,
A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

Henryk.

Precz! precz! jesteś podobny do piekielnej jędzy!
Podły i podejrzliwy, kąsasz, trujesz jadem.
Precz! idź się błąkać, żebrać i umierać w nędzy!
Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
Obieraj rodzaj śmierci.

Nick.

Trudno mi obierać,
Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać,
Od wieków z nieprzerwanej wypływa osnowy.
Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
Nicku! gdzie twoja głowa? wszak ty niemasz głowy.
Cha! cha! nieprawdaż, królu, że to myśl wesoła
Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
Lecz ja jestem tak lekki, sam wiatr mię utrzyma;
Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci niema,
Chyba — to śmierć najlepsza, ten puhar wypiję.
Żądasz więc mojej śmierci?

Henryk.

Precz, straszna poczwaro!
Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?
Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.
Wyganiam cię ze dworu.

Nick.

Ja sam się ukarzę.

Wypija prędko puhar nalany przez królowę.

Henryk.

Co czynisz?

Nick.

Nic, wypiłem królowej napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe.

Henryk.

Zadrżałem mimowolnie, lecz czegóż się boję?
On tylko zaśnie.

Nick.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I tej może odmówią.

Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.

Przed daleką drogą
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.

Widzę tam, w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie;
A przy obrazie lampa, pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę, widzę — tam mój ojciec stary
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśń, jak przy mojej kołysce śpiewała.
O! któżby! któżby sądził, że pod dachem nędzy
Urodzi się istota, co się będzie śmiała.

Henryk.

Pierwszy raz wpadasz, Nicku, w tak czarną tęsknotę;
Ty byłeś tak wesoły.

Nick.

Tak, byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę:
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzarz śmiać się potrafi — potrzebuje chleba.

Henryk.

Powiedz! co ci jest, Nicku! ten napój! o Boże!
Może jaki ratunek?

Nick.

Już mi nic nie trzeba.
Słuchaj, królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu... Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies się do ciebie przywiązałem, panie.
Wiedząc, jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem, ażeby zawsze towarzyszył tobie;
Teraz król już mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną dzwony na pogrzebie.

Henryk.

On umiera! Królowo, okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

Nick.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w nizkiej chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna;
Niech matka, przędząc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce śpiewała nade mną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno.

Henryk.

Nicku! ty mnie rozczulasz! patrz, łzy moje płyną.

Nick.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną,
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

Henryk.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera.
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

Nick, wesoło.

Nagródź mi. Wybierz czterech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą;
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą,
Że Nick umarły więcej waży niż Nick żywy.
Tyś się uśmiechnął, panie! o jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
Przebacz mi, panie, wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy,
Tak słabo...

Henryk.

Nicku!

Nick.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

Henryk.

Przyjacielu mój! synu!

Nick, podnosząc głowę, z obłąkaniem.

Synu! któż mię woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno dokoła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Och! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpocznę — ja myślałem zawsze do was wrócić.
O matko! matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie. Och!

Pada u nóg króla i kona.

Henryk.

Skonał!...
To przyjaciel ostatni! żono tkliwa, czuła,
Patrz! to twój senny napój tej zbrodni dokonał,
Tyś go otruła... myślisz, żeś męża otruła?
Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,
Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
Gdyś mnie pocałowała, piekło było w tobie,
Dlatego całowałaś ustami zimnemi...

Bierze lampę i oświeca nią twarz Nicka.

Zobaczę go raz jeszcze... Jak twarz jego zbladła!
Zsiniałe usta — twarde usłał sobie łoże.
O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła,
Szalony! ja ją gaszę — on jej czuć nie może,
Nic już nie czuje... Skończył. Tu rozpacz daremna!
Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiety.
Ujść przed nią — gdzież uchodzić? wokoło noc ciemna;
Może tu koło domu ukryte sztylety?

Czegoż się nie dopuszczą? na co nie odważą?
Niema większej poczwary na ziemskiem przestworzu.

Po chwili.

Zostanę tu! obaczę z jaką jutro twarzą
Przyjdzie szukać zmarłego męża na tem łożu.
A twarz jej uda bladość — może ubielona?
Może jęk jej usłyszę za drzwiami komnaty,
Pewna jest mojej śmierci, wprzód nim się przekona,
Czy ja umarłem! będzie płakać mojej straty.
Wtenczas ją jednem! jednem spojrzeniem zabiję.

Stawia lampę u głów Nicka.

Więc Bóg czuwa nade mną i od śmierci strzeże.
Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
Będę nad zmarłym w nocy odmawiał pacierze.
Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
Sam jeden... Boże! Boże! zmiłuj się nade mną.

AKT V.

Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfiks, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.

SCENA I.

Marya, Paź.

Marya.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?
Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
Nikt wiedzieć nie powinien, że ja czuwam w nocy.

Paź, gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfiksem.

Czy i tę lampę zgasić?

Marya.

Lampa niech się pali.
Jej blask mię przed obcymi zdradzić nie powinien,
Chyba przed Bogiem zdradzi, ale boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

Paź.

Któż winien?

Marya.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

Paź.

Widziałem Botwela;
Błąkał się w zacienionej drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu, gdzie Henryk przebywa.

Marya.

Widziałeś! miałże sztylet?

Paź.

Żadnej nie miał broni,
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

Marya.

Jakże nagle czas płynie! jak straszna odmiana;
Teraźniejszość zatruła! przyszłość zatruć może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.
A dziś.

Paź, przynosząc zwierciadło.

Dzisiaj, królowo, spojrzyj w to zwierciadło.
Czy mogłaś być piękniejszą?

Marya.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciadle moją twarz wybladłą.

Paź.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie...
Czy ci przykre to światło? Ja lampę zasłonię...
Pani! ty mię przerażasz! coraz bardziej blada;
Czemże ten czarny smutek serca rozweselę?
Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
Dotąd krąży śpiewana między szkockim gminem.
Pozwól, królowo! milczysz? a więc się ośmielę...
Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem:

Królowa siedzi zamyślona, paź dziecinnym głosem mówi następującą balladę.

Synu mój! synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?
O matko! syn twój zabił sokoła,
Dlatego dzisiaj twarz niewesoła,
Dlatego we krwi żelazo.

Synu mój! synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole
I miecz nie taki czerwony?
O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.

Synu mój! synu! źleś się obronił,
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?
O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem,
I we krwi ojca — miecz syna.

Synu mój! synu! po takim czynie
Gzież się obrócisz? w jakiej krainie
Schronisz się, synu mój miły?
O matko! matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec,
Spokojnej szukać mogiły.

Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?
O matko! matko! niech na nich spada
W dziedzictwie nędza, pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba.

Synu mój! synu! w czarnej żałobie
Została matka, i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?
O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca.

Marya obudzona nagle z zamyślenia.

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu, czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabija mnie!...

Paź.

Ballada smutna, mnie rozczula
A ciebie przeraziła?... Dziś cierpi królowa.

Marya.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mnie przeklinasz! kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać,
Przekleństwo! tak, przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — to Botwel mówi do mnie, Boże!
To Botwel mówi!

Paź.

Pojąć nie mogę przyczyny,
Czem ją mogłem obrazić?

Marya.

On pojąć nie może?
A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy.
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa.

Paź.

Królowo, oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

Marya, Paź, Botwel.

Marya, wpatrując się w Botwela.

Botwelu!... Cóż to? milczysz?

Botwel.

Czas wszystko odkryje,
Czas złym jest powiernikiem...

Marya.

Botwelu!... On — żyje?...

Botwel.

Żyje? nie wiem, królowo — dotąd już mógł skonać..

Marya.

Co? więc zaczętej zbrodni nie mogłeś dokonać?

Botwel.

Nie widziałem dziś króla...

Marya.

Więc żyć będzie?...

Botwel.

Zginie..
Może już zginął?...

Marya.

Jakto ty go nie widziałeś?....

Botwel.

Aleś ty go widziała...

Marya.

Czyż wzrokiem jedynie
Mogłam go zabić?...

Botwel.

Możeś chciała?

Marya.

Nie, ty chciałeś!
Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem... O Botwelu!
Jeżeliś na mnie liczył, uchybiłeś celu,
Tak, jedynie obłudy zmazałem się grzechem...
Ja się do niego śmiałam...

Botwel, szyderczo.

Zabiłaś uśmiechem,
Dosyć, żeś go zabiła... Nie badaj, królowo,
Teraz potrzeba zgładzić naszej zbrodni ślady;
Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
Siarka z saletrą zdradne usłały posady.
Daj mi pochodnię.

Marya.

Luby! dziś miesiąc na niebie.
Na co ci światło?

Botwel.

Umarł... pogrzebać go trzeba...
W gruzach własnego domu Henryka pogrzebię...

Marya.

Lecz on żyje!...

Botwel.

Więc żywy uleci do nieba...
Pod jego domem mina burząca spoczywa
I czeka iskry... Ognia! ognia!

Marya.

Nieszczęśliwa!
Cóż uczynię?...

Botwel, z wzrastającą gwałtownością.

Daj ognia!...

Marya.

Ciebie gruz przywali!...

Botwel.

Ognia!...

Marya.

Zgasły pochodnie...

Botwel, pokazując lampę.

Tam lampa się pali,
Posłuży mi...

Marya.

am moja domowa kaplica...

Botwel.

Paziu! daj mi tę lampę...

Marya.

To lampa z ołtarza!

Botwel.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświeca,
Wszakże idę na cmentarz, grzebać wśród cmentarza...

Maryd.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz! przy świetle tej lampy błyszczy krzyż ze spiżu
I Chrystus hebanowy — on cierpi na krzyżu!
Zdaje mi się, że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo...
Boże!...

Klęka przed ołtarzem.

Botwel.

O śmierć Henryka modlisz się, królowo?
Wysłuchane modlitwy... Może w tej godzinie
Henryk kona...

Marya, zrywając się z przed ołtarza.

Co mówisz? Henryk teraz kona?
A ja się modlę?

Botwel, zdejmując lampę.

Śpieszę, niech ślad zbrodni zginie.

Marya.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona...

Botwel.

Wróci! wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

Marya.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

Botwel.

Marna trwoga!
Jeśli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem:
Lampa, to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniej Boga przerazi, bo mniej winną będzie.

Marya.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiem!

Botwel.

Czytaj książkę modlitwy.

Marya.

Tak ciemno w tej sali!...

Botwel, z szyderstwem.

Więc udawaj, że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Niejeden powie: patrzcie! ma świętość anioła!
Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie,
Promień światłości wkrótce wystrzeli z jej czoła;
Patrzcie! ona się modli za męża skonanie...
O Maryo! porzuć trwogę i płoche przesądy,
Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy;
Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy
Przeważonej już szali dalej nie przeważy.
Żegnam cię!...

Marya.

Stój, Botwelu!

Botwel.

Bądź zdrowa!

Marya.

Zaklinam!
Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

Botwel.

Lecz wahać się nie możesz.

Odchodzi

SCENA III.

Marya, Paź.

Marya.

Poszedł... Nie wstrzymałam...
Czuję, że mogłam wstrzymać... Czarne moje serce!
Mogłam go jednem słowem wstrzymać — i nie chciałam.
Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce...
O! nie! nie dla mnie szczęście. Paziu, powiedz szczerze,
Ja okropną być muszę?...

Paź.

Pani! jesteś blada.

Marya.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze...

Paź odchodzi przed ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królowę.

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada,
Marzę i czuwam... barwę przybrały marzenia...
Tron i świateł tysiące... ja siedzę na tronie...
Teraz wszystko ciemnieje... w purpurze, w koronie
Idę — o Boże! Boże! to mury więzienia...
Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie.

Wokoło jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dlaczegoż płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nade mną czarne grzechy przypomina,
Jakież grzechy?... dzisiejszą noc... dzisiejsze zbrodnie!...
Teraz... wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiejś sali? to tronowa sala.
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,
Na moim tronie obca zasiadła kobieta...
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy...
Klękać mi każą — poco?... modlić się do Boga?
Ach!!!

Paź, przybliżając się.

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy
Przepowiedzeń dziwacznych twego astrologa.

Marya.

Lecz czemuż w tej godzinie stają mi na myśli?
Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory,
Postaci ich odbija, wszystkie twarze kryśli,

Paź.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

Marya.

Czy nic nie słyszysz, paziu?

Paź.

Wkoło głuche cisze,
Tylko echo pałacu słowom odpowiada.
Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,
I przez gotyckie okna blady księżyc pada.

Marya.

Co? księżyc świeci? jaka blada przy księżycu
Musi być twarz Botwela? Na ponurem licu

Głęboki zamysł zbrodni uśpiony spoczywa;
Za nim księżyc na trawie długie kładnie cienie;
Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
Aby jej nie zgasiło silne wiatru tchnienie...
O! tak, bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
Lecz przynajmniej nie ujrzę zbrodni na tej twarzy.
Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
Henryk zginie!... O Boże! zmiłuj się nade mną!

Po chwili, z wzrastającem przerażeniem.

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła?...
Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula...
Nigdy krwi nie widziałam!... szat mi nie splamiła...
Stój, Duglasie! Patrz, paziu! patrz tam za mnie, w cie-
Czy tam kto stoi za mną? .. [niu,

Paź.

Kto?

Marya.

Niema tam króla?...

Paź.

To mara utworzona w twojem przywidzeniu...

Marya.

Słyszysz, powtarza: — jestem! jestem tu przy tobie!
Jest przy mnie? tu w tej sali, jeszcze w takiej porze?
Lękam się spojrzeć za mnie... powinien spać w grobie
A on jest teraz przy mnie! Nie, to być nie może!
Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!
Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz, mój paziu drogi!
O paziu! ty zadrżałeś? z radości? czy z trwogi?
Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije...
Na miłość Boga! Śpiesz się...

Paź.

Botwel nie posłucha.

Marya.

Prawda... Nieś mu ode mnie, nieś ten pierścień złoty...
Wszak jeszcze czas! czas jeszcze. Wszędy cichość głucha.
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

Paź.

Śpieszę...

Biegnie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.

Marya.

O Boże! Boże! Śpiesz, mój paziu miły!
Czegoż czekasz?...

Paż.

Krolowo moja! nie mam siły,
Tak mi słabo...

Marya.

Śpiesz, paziu!...

Paź.

Już idę, królowo!
Już idę! idę!... Och! Och!...

Pada.

Marya.

Paziu! drogie dziecię!
Paziu! przemów, mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie... on umrzeć nie może.

Paź, słabym głosem.

Te bole przeminą...
Senny jestem... Królowo, kochasz mnie?

Marya.

Jak syna!
Paziu! obudź się, drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

Paź, drżącym głosem.

Już piłem dziś wino...
Maryo moja! och! och! och!...

Kona.

Marya.

Paziu! moje życie!
Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?
Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziecię!
Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,
A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.

Klęka na stopniach przed krucyfiksem.

Boże! błagam cię! przyjmij mnie na twoje łono,
Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
Na cóż mię szata ziemskiej wielkości okryła?
Blask marzenia już zniknął, gdym tę noc przeżyła!

Słychać wybuch miny.

Ach!!!

Po chwili zrywa się i biegnie do okna.

Widzę! widzę! kłęby dymu i promieni,
A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy!..

Odwraca się od okna i znów cofa się z przestrachem.

I tu znów Henryk! Henryk przede mną w tej sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali...
Precz! precz ode mnie! szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! już odejdź — nie jestem twą żoną.
Ach Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
Dręczyć tak duszę tylu mękami dręczoną!...
Ach zlituj się nade mną — jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędze.

Patrz na twarz moją — z oczu strumień łez nie spływa;
Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną.

SCENA IV.

Marya, Botwel.

Botwel, wchodzi ze zgaszoną lampą.

O Maryo! uchodź! uchodź!

Marya.

Patrz! patrz!... tam przede mną

Botwel.

Tak, widzę, na podłodze krwi strumienie płyną...
Krew Rizzia.

Marya.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno,
Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą.
Zdradę króla czarniejszą zmazaliśmy zdradą,
Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy!
Patrz tam!

Botwel.

To paź nieżywy.

Marya.

Boże! paź nieżywy!...
Botwelu, co to znaczy?...

Botwel, z dzikim śmiechem.

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszej zbrodni... umarł...

Marya.

Nieszczęśliwy!
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojem sercu,
Precz! precz ode mnie, zbójco z tem wybladłem czołem!

Botwel.

Chodź ze mną!

Marya.

Gdzie?

Botwel.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu...
Teraz idźmy się błąkać... słyszysz te okrzyki?
To lud nas ściga mściwy... wkrótce motłoch dziki,
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Maryo! uchodź! uchodź!

Marya, odstępując od niego z przerażeniem

Ja się ciebie boję!

Botwel.

Serca zbrodnią skalane zbrodni się nie boją,
Słuchaj! otrułaś króla, jesteś moją!

Marya.

Twoją?...
O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

Botwel.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną.

Marya.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

Botwel.

Przekleństwa.
Chodź, Maryo! uciekajmy! chodź ze mną! chodź ze mną!

Warszawa 1830.

SPIS RZECZY.

Str.

POEMATY.

Poema Piasta Dantyszka Herbu Leliwa o piekle 7
Beniowski 60
Król-Duch. 160

DRAMATY.

Mindowe, król litewski 211
Marya Stuart 281

Czcionkami Karola Miarki. Sp. z ogr. por. w Mikołowie.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 25903
BGZs 25903

11/1/27

78,-